

KS. ADAM BONIECKI MIC

NOTES

SPOŁECZNY INSTYTUT WYDAWNICZY ZNAK

Ks. Antoni Podleś

W tej książce jest mowa o Kościele, tak jak go widziałem tam, gdzie udało mi się być. Nie tylko zresztą o Kościele. Mowa jest o wierze, o niewierze, o ludziach, którzy szukają sposobu, by w dzisiejszym świecie żyć Ewangelią. Szukają, co nie znaczy, że znaleźli, że nie popełniają omyłek i błędów. Ale czyż w Ewangelii nie czytamy: „szukajcie tedy naprzód Królestwa Bożego... A więc nie jest powiedziane, że mamy najpierw Królestwo Boże znaleźć. Wezwanie dotyczy s z u k a n i a!

Poszukiwania, które tu przedstawiam, wzbudziły we mnie wielką sympatię, z czego nie należy wyciągać wniosku, że wszystko, co opisałem, uważam za model, wzór do naśladowania. Zanotowałem to, co mnie poruszyło i zmusiło do własnych poszukiwań.

W książce jest również mowa o sprawach niekoniecznie religijnych, bowiem rzeczywistość poszukiwania Królestwa dokonuje się w świecie, który taki właśnie jest: niekoniecznie religijny. Gdyby tytuł „Chrześcijanin w świecie współczesnym” nie był zbyt duży, taki dałbym podtytuł tej książce. Ale obiecywałby on zbyt wiele jak na książkę, która jest zapisem bardzo fragmentarycznym. Stąd tytuł „Notes”, oddający uczciwie jej formalny kształt. Jest to rzeczywiście zapis robiony na gorąco, rzeczywiście notatnik, nawet jeśli znajdują się w nim partie opracowane szerzej, niż zwykło się to czynić w notesie. Może fragmentaryczność tego zapisu jest jego wadą, ale przyznam się, że wolę taki zapis niż syntezy, z którymi nie bardzo wiadomo co zrobić. Zresztą zrobienie syntezy i tak przekracza moje umiejętności.

Ponad połowa książki to notatki dotyczące spraw dziejących się za granicą, bo właśnie dzięki temu, co tam widziałem, pojąłem trochę z tego, co jest tu, u nas, w Polsce.

Trudno mi powiedzieć dokładnie, na czym to polega, ale tak jest.

Druga część książki jest zapisem własnych poszukiwań, stawianiem pytań, przymierzaniem odpowiedzi. Jeśli Dobra Nowina jest Słowem Żywym, do końca naszych dni skazani jesteśmy na szukanie, stawianie pytań, błędzenie. Może tą drogą zbliżamy się do prawdy o świecie, bliźnich, o Bogu, o nas samych.

Winien jestem wdzięczność wielu ludziom: tym, dzięki którym mogłem wyjechać, dzięki którym mogłem tam być, tym, którzy gościli mnie i pokazywali nieznany świat. Także tym, którzy cierpliwie czytali te zapiski i nakłonili mnie do wyrzucenia całej masy rzeczy nie wiążących się z tematem. Wszystkim, których dłużnikiem jestem, ośmielałam się dedykować tę książkę.

Ks. A. B.

**NOTATKI
Z
PODRÓŻY**

BOŻE CIAŁO NA TOR DEI SCHIAVI

Na wysokim podium przed kościołem na Tor dei Schiavi, już właściwie na przedmieściu Rzymu, ołtarz, tron, ławki dla ważnych gości. Tron — właściwie jakiś zabytkowy fotel — zabawnie wygląda w tym otoczeniu. Podium, napisy na domu parafialnym, tłum... wszystko bardzo przypomina przyjazd księdza biskupa do Mogielnicy. I ten fotel. We wszystkich bazylikach stoją takie fotele-trony dla papieża, gdyby chciał odprawiać tam mszę św. Ale papież wolał tu przyjechać.

Stopniowo upał słabnie. Nabożeństwo zaczęło się o 18. Coraz więcej ludzi. Klaszczą... Nie wiem dlaczego, bo przepycham się z biletem w rękę na uprzywilejowane miejsce. I nagle, nie z żadnego uprzywilejowanego miejsca, po prostu stojąc w tłoku, widzę księdza ubranego w biały ornat. I twarz znana na pamięć, nagle urealniona. I śmieszne zaskoczenie: człowiek. Nie portret, nie „Papież Paweł VI”. Zwyczajny, drobny, skupiony, poruszający się ostrożnie ksiądz... Ludzie właściwie się nie tłoczą, choć jest ich bardzo wielu. Inaczej niż u nas. Wiedziałem, że inaczej. Ktoś pali papierosa, ciągle chodzą, gadają, i to tak, że mimo głośników chwilami nie słychać, co mówi papież. A głos ma zaskakująco silny.

Procesja z darami na Ofiarowanie. Przynoszą papieżowi baranka, którego ten bierze na ręce i pokazuje na wszystkie strony, ku nieopisanej radości tłumy.

Tuż obok mnie stoi długowłosy chłopak, ma bardzo zniszczone ręce, jakby powalane cementem, na włosach i ubraniu ślady lakieru czy farby. Miałem przez całą mszę św. wrażenie, że w tym zgromadzeniu na pewno modli się dwóch ludzi: papież i ten chłopak. Kiedy przyszła chwila: *Scambiatevi il segno della pace*, serdeczny uścisk po chwili — jakby wahania, i uśmiech, i wielkie wzruszenie. Potem, kiedy się skończyła msza św. i kiedy ojciec św. powiedział

kilka słów już bez kartki (bo kazanie całe było przeczytane), kiedy zdjęto z ojca św. ornat i na białą sutannę włożył purpurową pelerynkę, wszyscy chcieli uściskać jego rękę. A on chodził dookoła podium, przyklękał i pochylał się, a wszyscy bardzo się cieszyli i pchali. Potem już gdzieś dalej słyszałem klaskanie, pewnie pożegnalne.

I na placu Św. Piotra w niedzielę. Gęstniejący tłum, minutę przed dwunastą otwarte okno, kilimek i wysoko w oknie biała sylwetka, i silny charakterystyczny głos, ze wszystkich stron przybliżony przez głośniki, Anioł Pański, błogosławieństwo. Ktoś koło mnie klęczy, Amerykanie filmują, Niemcy przykładają do oczu lornetki. Jedni potem w domu będą odtwarzać tę chwilę na ekranie (niedawno odkryto film z Leonem XIII, stareńki papież porusza się jak w filmie rysunkowym), drudzy będą mogli powiedzieć, że widzieli papieża dokładnie, przez lornetkę...

WIELKI TYDZIEŃ W RZYMIE 1974

Wielki Piątek

Po nieco bezbarwnych ceremoniach Wielkiego Czwartku u Św. Jana na Lateranie, w czasie których papież umywał nogi ministrantom (czego zresztą nie było wcale z mojego miejsca widać) i na zakończenie których zmęczonym głosem odczytał przemówienie, oraz po nabożeństwie wielkopiątkowym w bazylice Św. Krzyża Jerozolimskiego, gdzie poszedłem przed trzecią, żeby odprawić Drogę Krzyżową i trafiłem akurat na nabożeństwo, któremu przewodniczył bardzo stary i utykający na nogę kardynał — wieczorna Droga Krzyżowa pod Koloseum. Idziemy pustymi uliczkami, obok Św. Piotra w Okowach, i oto Koloseum. Mammy nagle przed sobą oświetlone reflektorami ruiny bazyliki Maksencjusza, niemal białe w tym świetle Koloseum i w dole tłum. Ludzie w niebieskawym blasku reflektorów wyglądają szaro i czarno, powietrze jest niebieskie, a niebo nad ostro oświetloną zielenią czarne jak smoła.

Schodzimy w dół i mieszamy się z tłumem. Zaraz niedaleko samochody obsługujące telewizję czy reflektory; warkot tych urządzeń będzie nam towarzyszył przez cały czas. Potem trzepot oklasków: w górze, drogą biegnącą wzdłuż starych ruin i zielonych zarośli, przybywa odkrytym samochodem papież. Wysiada z samochodu, w pur-

purowym płaszczu, który zaraz zdejmuje, w białej sutannie, czerwonej pelerynce, jest jedynym kolorowym elementem obrazu zaniebieszczanego światłem reflektorów. Podchodzi do balustrady balkoniku, z którego normalnie turyści podziwiają Koloseum, wyciąga rękę, przechyla się, przechodzi na drugą stronę balkoniku, te same gesty wzniecające oklaski coraz to w innym miejscu.

Papież klęka, twarzą zwrócony jest ku tłumowi i Koloseum. Z Koloseum wyrusza procesja, to znaczy kardynał wikariusz Rzymu, Ugo Poletti, niosący krzyż, czarny, bez pasyjki, a obok niego dwaj mężczyźni z pochodniami. Obok papieża nie ma nikogo. Chór, prałaci, ludzie z aparatami fotograficznymi i kamerami pozostają w głębi, niemal niewidoczni z dołu. Lektor odczytuje przez głośniki krótkie, piękne rozważania i modlitwę, po czym wszyscy odmawiają „Ojcze nasz” po łacinie i po łacinie śpiewają jedną zwrotkę „Stabat Mater”. Kardynał z krzyżem w rękach wchodzi wolno na schody biegnące wzdłuż muru. Stacja dziewiąta, dziesiąta. Papież podnosi się z klęczek, podchodzi, bierze od kardynała krzyż. Rozważanie, modlitwa, śpiew. Papieżu, trzeba iść dalej. Z ciemnego tła wyłania się sylwetka księdza w czarnej sutannie z czerwonym pasem. Prałat dotyka lekko ramienia papieża. Papież postępuje kilka kroków, zatrzymuje się. Stacja jedenaście. Pan Jezus przybity do krzyża. Rozważanie, modlitwa, śpiew. Znowu delikatne dotknięcie ramienia. Stacja dwunasta, trzynasta, czternasta. Koniec. Papież wraca na balkonik i odczytuje krótkie przemówienie. Jeszcze pozdrawia ludzi, którzy już zaczynają się wolno rozchodzić.

Jest ciepło i nareszcie nie pada. Nad tłumem kołysze się ucepiona u ramienia dźwigu kamera telewizyjna, błękitne reflektory huczą nam za plecami. Wolno idziemy ku ogrodowi Nerona, niosąc w pamięci obraz drobnego człowieka w białej sutannie, na tle czarnego jak smoła nieba, z ciężkim, czarnym krzyżem nad głową, nad stłoczonymi na placu ludźmi. Samotnego, zatopionego w myślach papieża niosącego krzyż.

Wielka Sobota

W czytaniach brewiarzowych opowieść autora z czwartego wieku o tym, jak po śmierci krzyżowej Pan Jezus

przyszedł do Adama oczekującego na owo przyjście w otchłani. Kiedy Go pierwszy ojciec, Adam, zobaczył, pelen zdumienia uderzył się w piersi i zakrzyknął do innych, którzy tam byli: „Pan mój niech będzie z wami”. A Chrystus odpowiedział Adamowi: „I z duchem twoim”. I ujmując go za rękę powiada: „Obudź się, o ty, który śpisz, i wynijdź z krainy zmarłych, a Chrystus cię oświeci. Ja jestem twój Bóg, ze względu na ciebie stałem się twoim synem, mam moc powiedzieć tobie i twoim potomkom: wyjdźcie stąd!...”

Przy jednej z odchodzących od via Nomentana uliczek, już za Villa Torlonia, znajduje się najładniejszy podobno z nowoczesnych kościołów Rzymu. Wielki, ale zaciszny jak wnętrze kwiatu. Lekki mimo betonów, ciepły i żyjący, ale żyjący już nie dzięki architektom, tylko ojcom sakramentynom, którzy prowadzą tu od lat mądre, odważne duszpasterstwo. W ciemnościach, długim pochodem nieśmiemy przez ten kościół zapalony przed wielkimi drzwiami paschał. Potem słuchanie wielkanocnego „Exsultet”, znakomitej improwizacji muzycznej śpiewającego księdza, który opowiada, zachwyca się i wzrusza. I wszyscy słuchają w zupełnej, idealnej ciszy, i widać wzruszenie, i człowiek czuje, jak go za gardło coś łapie, i łzy w oczach. Potem jeszcze chrzest małej Angeli, którą strasznie długo matka musi trzymać na rękach stojąc obok celebransa — widać, że jest niewiastą krzepką, zważywszy, że bardzo niedawno urodziła Angelę, a teraz nie wygląda wcale na zmęczoną; i jeszcze kazanie proboszcza, takie bardzo włoskie, gdzie przymiotniki mnożone bez końca są wyrazem przejęcia i uczucia; a potem, już w domu, wielkanocny toast ciężkim od hiszpańskiego słońca winem...

Wielka Niedziela

O jedenastej w Wielką Niedzielę papież. Ołtarz zbudowany na schodach bazyliki i plac wypełniony po brzegi. Znowu przestało padać i grzeje słońce. Ekipa ratownicza wynosi jednych zemdlonych i biegnie po następnych. Ceremonie papieskie, bardzo zresztą proste, właściwie zwykła liturgia koncelebry, w blaskach słońca i na tej wielkiej, otwartej przestrzeni wyglądają zwyczajnie i pięknie.

W tłumie zobaczyłem grupkę ludzi: księży i młodzi

chłopcy, może klerycy, w niemodnych ubraniach. Sta-
łem za nimi, ciekawy, skąd są. I bardzo długo nie wie-
działem, że Polacy, bo nie rozmawiali między sobą, mo-
dląc się w skupieniu. (To jakieś Amerykany bez przerwy
rozmawiały mi za plecami.) Dopiero pod koniec mszy
chłopak powiedział po polsku: „...niech ksiądz zrobi zdję-
cie z tego miejsca”. I drugi raz, już po mszy św., kiedy
wszyscy czekali, aż papież ukaże się w łoży nad wejściem
do bazyliki i udzieli błogosławieństwa, jeden z nich od-
wrócił się, popatrzył na plac i powiedział: „...plac jest ca-
ły kolorowy od baloników”. Popatrzyłem. Nie, nie był
wcale kolorowy, ledwo tu i tam widać było czerwone
zajączki-baloniki.

Papież po drodze zatrzymał się przy wejściu do bazyli-
ki i dawał medaliki barwnym jak egzotyczne ptaki Wiet-
namczykom, którzy asystowali w czasie liturgii przy sa-
mym ołtarzu, a potem, kiedy już te medaliki dostali i kie-
dy papież porozmawiał z nimi, skupili się na ławeczce,
przy bocznym wejściu, tam, gdzie urzędowało pogotowie
do cucenia mdlejących. I byli jeszcze bardziej jak kolo-
rowe ptaki. Potem z łoży papież udzielił błogosławieństwa
„urbi et orbi” i czytał życzenia „Wesołych Świąt” we
wszystkich możliwych i kilku zupełnie niemożliwych języ-
kach.

W ZAŁĘKU AKWEDUKTU FELICE

Baraki, to w rzeczywistości ciągnące się kilometrami
osiedla domków skleconych z cegieł, blachy, kamieni,
domków przyklejonych do starego Acquadotto Felice.

Starożytny wodociąg jest czynny, stąd w domkach-ba-
rakach dokucza wilgoć. Mieszkańcy Rzymu oczywiście
wiedzą o istnieniu baraków, ale baracatti (mieszkańcy ba-
raków) nie cieszą się dobrą opinią u porządnym ludzi
w mieście.

Powiedziano mi, że bym nie był naiwny; że to ludzie,
którzy nie chcą pracować, którzy chodzą po klasztorach
i naciągają pobożnych; że są wśród nich tacy, którzy wo-
lą mieszkać w barakach a swoje mieszkanie w mieście
wynajmują za wysoką cenę; że w barakach mieszkają
w zasadzie przejściowo; że najpierw przyjeżdża jeden
z jakiejś południowej wioski, potem natychmiast sprawa-

dza za sobą następnych i chatka przechodzi z jednych rąk do drugich. Tak mówili mi ludzie, których nie mam podstaw posądzać, że mówią o sprawach, na których się nie znają. To, co mówili, popierali licznymi przykładami. I na pewno jest w tym wszystkim wiele prawdy. Ale...

Don Silvio mieszka tu od kilku miesięcy. Najpierw miała się kilka chałupek otoczonych płotem — dom Sióstr Misjonarek Miłości Matki Teresy z Kalkuty — i kilkadziesiąt metrów dalej, pod wieżą, jest mieszkanie księdza. Nie trudno trafić, bo dzieci widząc bezradnie rozglądającą się postać natychmiast prowadzą, ładując się naturalnie razem z nami do ciasnego wnętrza. Domek, który zajmuje Don Silvio, składa się z małej kuchenki, do której wchodzi się prosto z rozpalonej słońcem uliczki, i z pokoiku. Za kuchnią jeszcze jedno pomieszczenie, rodzaj składziku. Don Silvio smętnie stwierdza, że do niedawna w tym domku mieszkała rodzina z ośmiorgiem dzieci. W kuchni witają nas z uśmiechem jacyś ludzie, którzy przygotowują obiad. Mówią, że ksiądz w tej chwili jest zajęty, że studiuje, ale że powiedzą i zaraz pewnie będzie można się z nim spotkać. I za chwilę rzeczywiście drzwi się otwierają i naprzeciw nam, energicznie poruszając rękoma koła fotela, spieszy ksiądz. Po wypadku samochodowym utracił władzę w nogach. Jeżeli są ludzie, którzy budzą sympatię od pierwszego wejrzenia, to na pewno on do nich należy. W tym, co mówi, w spojrzeniu, uśmiechu, w młodej, mizernej twarzy jest coś z tego, co pewnie miał na myśli Pan Jezus, kiedy powiedział, że błogosławieni są czyniący pokój.

Rozmawiamy o sprawach baraków. Ksiądz mówi, dlaczego sytuacja tych ludzi jest straszliwą niesprawiedliwością: że niektórzy po czterdzieści lat czekają tu na mieszkanie, że wielu ma je już od dawna w całości spłacone, że ogromne sumy dawno przyznane na budowę mieszkań wciąż leżą nie wykorzystane i są kapitałem, którym się obraca, który nawet kto wie czy nie ratuje lira przed inflacją, a ludzie muszą żyć tu, w tych okropnych warunkach, w wilgoci akweduktów, w prymitywie. Oczywiście nie można sprawy upraszczać, załatwienie mieszkania nie oznacza bynajmniej rozwiązania wszystkich problemów tych ludzi. Droga, którą trzeba z nimi przebyć, jest nieskończenie długa, jak to bywa z ludzkimi drogami.

Rozmawiamy o liście w sprawie baraków, który ukazał się w prasie i który wzbudził dość ostrą reakcję, m. in. czynników kościelnych. Okazuje się, że wydrukowany tekst w zasadzie nie był tekstem przeznaczonym do publikacji, lecz jedynie materiałem roboczym do dyskusji wewnętrznej. Potem polecono komuś opracowanie listu, on zaś po prostu dał do druku ten tekst. Ksiądz prosi o podanie mu jednej z teczek: — Teraz napisaliśmy taki list. Nie do prasy. Nam nie chodzi o polemiki prasowe, ale o rozwiązanie tragicznego problemu. Kiedy zaczynają się publiczne polemiki, niemożliwe jest wspólne działanie.

Ksiądz zastrzega się: on nie jest przywódcą tutejszych ludzi, nie chce nim być. Jest księdzem. Nigdy nawet nie przewodniczy dyskusji. Jedyne miejsce, gdzie przewodniczy to liturgia. Odprawia przeważnie w domach, kolejno. Ma też małą kapliczkę, w planie większą. Będą tę kapliczkę robić własnymi siłami w ciągu lata: zaraz obok domu księdza stoi stara chałupka, która ma być przerobiona. Ludzie są chętni. Przydałby się może ktoś, kto by pomógł fachowo zaprojektować.

Księży, którzy mieszkają w barakach, w różnych osiedlach, jest zaledwie kilku. Wielu jednak jest z nimi w łączności, wielu się z nimi solidaryzuje. Także świeccy.

Don Silvio daje nam powielony tekst listu. „Jesteśmy chrześcijańską wspólnotą z Zaulka Akweduktu Felice i Tor Fiscale, składającą się z barakatów i innych ludzi, którzy uczestniczą w życiu osady. Więzią, która nas jednoczy, jest znak chrześcijaństwa: miłość Boga, która przechodzi wprost na bliźniego...”

Dalej jest mowa o „Liście chrześcijan Rzymu”, tym, który wywołał owe ostre reakcje. „Apel zawarty w tym piśmie — czytamy — był apelem ważnym, dotyczy sytuacji, z której bez pomocy wszystkich chrześcijan nie ma wyjścia. Czujemy się odpowiedzialni za szukanie wspólnej drogi do rozwiązania tego problemu, a nasza wspólnota jest szczególnie powołana do zabrania głosu, ponieważ sama żyje w sytuacji barakatów. Kościołowi zresztą sprawy te nie są obojętne...” Autorzy listu przytaczają kilka wypowiedzi Papieża, który, szczególnie do zakonników (*Evangelica testificatio*) zwrócił się z przypomnieniem, że ich ubóstwo ma być znakiem miłości i sprzeciwu wobec wszelkich niesprawiedliwości społecz-

nych. „Wielu z nas — czytamy dalej w liście — uważa, że Watykan może rozwiązać problem całkowicie. Nie wiemy, czy jest to twierdzenie słuszne czy nie. Jedno jest pewne, że Kościół ma być ubogi. Prosimy więc biskupa, żeby nam wyjaśnił tę kwestię. Opublikowanie bilansu diecezji byłoby niewątpliwym znakiem zwrócenia się instytucji ku ubóstwu ewangelicznemu. Obojętność, neutralność i milczenie wobec tego problemu jest poważnym zaniedbaniem i oznacza odmówienie pomocy ubogim. Jest grzechem, z którego wszyscy chrześcijanie pojedynczo i jako instytucja powinni zrobić rachunek sumienia...”

.... Nie sposób milczeć i czekać. Podczas kiedy się dyskutuje, ci ludzie cierpią”.

List podpisany jest przez Wspólnotę Chrześcijańską Akweduktu Felice i Tor Fiscale w parafii Św. Stefana.

Don Silvio zatrzymuje nas na obiad. W kuchni stoi garnuszek sugo. Przygotowujemy spaghetti, jakieś zielsko, i siadamy do stołu. Jest jeszcze jeden człowiek przy stole: stary robotnik — Jugosłowianin. Trochę pomyłony, trudny we współżyciu, bezdomny, niezdolny do pracy. Mieszka w komórce, tuż obok księdza i u niego się stojuje.

Ksiądz przeprasza, że do obiadu nie ma wina, rzecz tu istotnie nie spotykana (w restauracji wino kosztuje taniej niż woda mineralna), ale — powiada — staramy się nie pić wina ze względu na alkoholików. Kiedy nie ma w domu wina, nie ma okazji do picia. Kawy też tu się nie pije, przez solidarność z tymi, którzy na kawę nie mogą sobie pozwolić.

W chwili, kiedy piszę te słowa, wspólnota z baraków akweduktu Felice spotyka się z biskupem Ugo Polettim. Bardzo tym spotkaniem niepokoił się nasz gospodarz. To będzie sytuacja trudna dla mnie — mówił. Nie będę mógł przyznać całkowitej racji moim przyjaciółom, zbyt bojowym w niektórych sprawach, nie będę prawdopodobnie mógł zadowolić i biskupa. „Jedno jest ważne i istotne — powiedział uśmiechając się do siebie — żebym był w zgodzie z Panem Jezusem”.

Idziemy przez wyludnioną w godzinie sjesty gorącą uliczkę. Uderza czystość i porządek. Kiedy tu jechaliśmy przez miasto, widać było przed domami stosy igelitowych worków wypełnionych śmieciami. Z niektórych, popęka-

nych, wyciekały strużki cuchnącej cieczy. To pozostałości po jednodniowym strajku tutejszego MPO. W barakach ten strajk nie zostawił żadnego śladu. Proste: tu nie dociera żadne przedsiębiorstwo oczyszczania miasta sprzątają sami. Jakiś malec poważnie kroczący uliczką uśmiecha się do nas i wita *ciao* — co oznacza dużą zażyłość. Wracamy przechodząc koło domu księdza, wsiadamy do auta. W środku temperatura dochodzi do 50 stopni. W dali majaczą Castelli Romani.

ZAPISKI LUŻNE

Iwona jest Angielką, studentką trzeciego roku literatury angielskiej i amerykańskiej. Chciała, żebym poznał jej narzeczonego, Włocha. Powiedziała mi, że różni się od innych Włochów, którzy mają bardzo specyficzne wyobrażenie o rodzinie i o roli kobiety. Na ogół trudno tu mówić o równouprawnieniu, tak w sprawach poważniejszych jak i w drobnych. Kiedy na przykład w południe człowiek znajdzie się w jakimkolwiek miasteczku włoskim, może zobaczyć w licznych kafejkach rozmawiających i odpoczywających mężczyzn. Kobiety w tym czasie oczywiście pracują w domu. Podobnie wygląda traktowanie wierności małżeńskiej i tak dalej.

Chłopak Iwony jest mechanikiem precyzyjnym w jakiejś wielkiej firmie sprzętu medycznego. Rozmowa zesłała dość szybko na temat religii. Jest katolikiem, ale do kościoła nie chodzi. A w ogóle, to Kościół i ojciec św. mu się nie podobają. Ojciec św. w niedzielę przez okno mówi: macie takie, takie, takie problemy, módlcie się, słuchajcie słów Chrystusa — a sam jest bogaty. Watykan gromadzi kapitały, ma udział w wielu wielkich przedsiębiorstwach, gdy tymczasem tyle jest na świecie potrzeb...

Zanotowałem tę rozmowę, jako typową. Zupełnie podobnie mówiła pobożna wiejska kobieta, matka mego przyjaciela w Avezzano, choć mimo pretensji o bogactwo Kościoła i o książęce podobno pochodzenie Piusa XII i Pawła VI jest do Kościoła przywiązana głęboką, tradycyjną wiarą.

Taki jest sposób myślenia wielu ludzi, których spotkałem. Nic dla nich nie znaczy to, że jeśli gdziekolwiek jest jakaś potrzeba, Stolica Apostolska śpieszy z pomocą. Nie-

dawno na przykład sprzedano jeden z pałaców, by za te pieniądze zbudować mieszkania dla „barakatów”.

*

Bazylika. Starszy, łysy pan w okularach, Seymour Fischer z Los Angeles, odłączył się na chwilę od grupy, z którą zwiedzał bazylikę, żeby sfilmować „Pietę” Michała Anioła. W tym momencie balustradę odgradzającą ołtarz z rzeźbą od reszty bazyliki przesadził jakiś człowiek i młotkiem zaczął walić w rzeźbę. W poniedziałek ze wszystkich kiosków patrzyła na przechodniów zmasakrowana twarz Madonny bez nosa i oka. Laszlo Toth, Australijczyk pochodzenia węgierskiego, twierdzi, że jest Chrystusem. Włosi potraktowali wypadek jako tragedię, którą porównują z tragiczną śmiercią policjantów zabitych przez bombę podłożoną w porzuconym samochodzie przez nieznaną sprawców. Sprzedawczynie pamiątek przy katakumbach Św. Kaliksta powiedziały mi, że chyba teraz będzie koniec świata i że to wszystko dzieje się przez nowe wynalazki, głównie przez telewizję, która podsuwa ludziom zbrodnicze pomysły. Coś w tym chyba jest, bo trzeba przyznać, że gazety i telewizja roją się tu od relacji z zamachów i zbrodni.

*

W Rzymie kwitną już lipy. Ulice, którymi jadę codziennie na małym motorino, przypominają aleję w domu mego dzieciństwa. Nawet smród spalin nie jest w stanie uporać się z tym koncertem zapachu. Przed oknem jaskółki tańczą wieczorny taniec. Zupełnie tak jak u nas.

*

Parafia na Prima Valle. Peryferie Rzymu, jakby oddzielne miasteczko. Tu, przy parafii, pracują szare urszulanki. Połowa to Polki, połowa Włoszki. Najpierw mówią mi, że muszę zobaczyć „ich bazylikę”. Jest to jeden z tych kościołów w Rzymie, które nic sobie nie robią ze znakomitości sąsiadów — starożytnych i sławnych. Ten jest urządzone według gustu ludzi, którzy do niego chodzą. Czy brzydki? Nie mam odwagi napisać tego słowa. Każdy słodki święty jest obsypany wotami, każdy ołtarz ozdobiony roz-

maitymi kolorowościami, Matka Boska schodzi ku ludziom z głównego ołtarza. To jest kościół kochany.

W niewielkim budynku przy kościele mieszkają siostry. Tu mają szkołę elementarną. Klasy napchane ławkami, wzdłuż ścian na korytarzu rodzaj pulpitu czy półki, na której przygotowują dla dzieci śniadanie. Na dole przedszkole, które obejmuje więcej dzieci niż szkoła, w sumie całość ogarnia ponad pięćset maluchów. W tej chwili są już wakacje, ale i tak dom i podwórze roją się od dzieci. W sali dzieci przygotowują z siostrą jakieś śpiewy, na boisku jest ich cała gromada. W różnych miejscach ładnie zrobione napisy: „Każdy człowiek jest moim bratem”. Akurat pod taką tabliczką stoi gromada malców. Pytam więc jednego z nich, 6—7 lat, czy ja także, bo ja nie jestem Włochem? Odpowiedź jest natychmiastowa: „niente... to nic, jesteś moim bratem”. To wobec tego — pytam podchwytliwie — ty jesteś moją siostrą? Tu chwila namysłu i uśmiech, „tak, jesteś”.

Niedaleko kościoła domy, w których one mieszkają. Ciasne, nędzne osiedle mieszkaniowe. Wielu bezrobotnych. Natykamy się na dziewczynę, którą widziałem w klasztorze, jak szukała przyborów do mycia okien. Właśnie w kilkoro urządzają mieszkanie w miejscu, gdzie koczowała w potwornym brudzie i nędzy kobieta, alkoholiczka, która ostatnio zgodziła się iść na leczenie odwykowe do szpitala. W biurze siostry Urszuli widziałem meble, które udało się zebrać, by po ludzku urządzić pokoiik. Właśnie chłopcy kończą oklejanie ścian tapetą. Sufitu niestety nie można poprawić. Spec jakiś powiedział, że ruszenie sufitu grozi zawaleniem. Kiedy idziemy z siostrami przez osiedle, ze wszystkich domów wychodzą ludzie, żeby się przywitać, jakiś starzec gwałtownie zaprasza mnie na piwo i usiłuje opowiedzieć przygody wojenne, ktoś pokazuje mieszkanie: „...to wszystko zrobiły dla mnie siostry”, ktoś dopytuje o lekarstwo... Dzieci pętających się po ulicy prawie nie ma. Część jest na koloniach (też z siostrami), część tam, u nich w domu.

ALEJANDRO

Mógłbym powiedzieć, że historia Aleksandra to przykład tego, jak bardzo to miasto otwarte jest dla talentów albo

że sztuka Aleksandra jest fenomenem niezwykłym, albo mógłbym wymyślić jeszcze jakiś inny motyw tak zwanej natury ogólnej. Tylko że ja wcale nie dlatego piszę o Aleksandrze.

Kiedy patrzę, jak siedząc na wysokim stolku przed sztalugami z niezachwianą pewnością rozprawia farby albo cienkim pędzelkiem szkicuje kontury, natychmiast, jakby bez zastanowienia stwarzając świat obrazów i treści, od którego nie będę mógł przez całe dni się uwolnić, myślę nie tyle o jego sztuce, co o nim. Lubię tak siedzieć i patrzeć, wiedząc, że mu nie przeszkadzam. I lubię ich dom, do którego można zawsze przyjść, wiedząc, że Prudencja podniesie ręce gestem szczerej radości, i że potem będziemy siedzieli w kuchni jedząc prosciutto con melone, rozmawiając o życiu, o sztuce, o naszych rodzinach, a ich córeczka Maja na dobranoc powie mi *ciao, zio*.

Prudencja nazywa męża Alejandro, co należy czytać Alehandro, w domu mówiono na niego Alik. Ojciec Aleksandra przeszedł wszystkie koleje losu Armii Andersa i ostatecznie osiadł w Argentynie. Matka jest Rosjanką. Aleksander trochę rozumie po polsku, mówić jest mu jednak trudno. Nic dziwnego, trzeba było wcześniej opuścić dom i zacząć pracować na siebie, pomagać rodzinie. Od małego chłopaka pracuje i wędruje po świecie. Był robotnikiem w fabryce lodówek, potem akrobatą cyrkowym, scenografem w teatrze lalek i w teatrze objazdowym. Przewędrował w ten sposób kraje Ameryki Łacińskiej... I w 1968 roku pierwsza wystawa. W wielkiej tece starannie wycięte i przechowywane pierwsze recenzje. Miał wtedy 21 lat. W „Touring Club Argentino” w Buenos Aires wystawia swoje rysunki wraz z kolegami, z którymi uczył się malarstwa pod kierunkiem starego maestro Demetro Urruchue. O tej wystawie Aleksander mówi, że dla niego była jedną z dwóch najważniejszych. W piśmie „Turismo” mała notatka, bardzo pochlebna, i zdjęcie grupy młodych ludzi. Potem wystawa w „Sala de Arte Victoria” i znów małe, ale pochlebne recenzje. Potem dalsze wystawy, recenzje. Nie wyliczam ich wszystkich. Dla Aleksandra nie jest to interesujący temat i musiałem rekonstruować jego artystyczne curriculum vitae z notatek gazetowych, które po zapelnieniu albumu-teczki, traktowane już z dużo mniejszym pietyzmem, bez wycinania z czasopism leżą na

stole w pracowni. Siedząc tam, za jego plecami, co jakiś czas pytałem: to miałaś wystawę w Londynie? a tak, miałem w lutym tego roku. I w RFN? — tak, w Hamburgu. Z większym zainteresowaniem mówi o tych, które będą: w grudniu w Mediolanie, a w październiku w Madrycie. No i o pierwszej wystawie we Włoszech, w Rzymie.

To było tak. Najpierw Londyn, potem Paryż. Miał trochę pieniędzy ze sprzedaży obrazów, ale po drodze go okradziono. Przyjechał do Rzymu z kilkoma rysunkami, bez grosza, bez niczego. Pierwsze dwie noce na dworcu Termini, dwa dni bez jedzenia. Potem poszedł do człowieka, którego polecili mu przyjaciele, do Rafaela Alberti. To był luty tego roku. Nie wiem, z jakimi uczuciami szedł do domu pisarza. Miał sporo smutnych doświadczeń. Anglik, przyjaciel za czasów argentyńskich, na telefon Aleksandra w Londynie zareagował tak, jakby dzwonił kolega z klubu, z którym rozstał się przed godziną. Aleksander był wtedy w położeniu fatalnym. Spotkanie, wypicie filiżanki herbaty w kawiarni, rozstanie. Koniec. Ale tutaj Alberti przyszedł z pomocą, pomógł nawiązać kontakt z galerią, pomógł materialnie. Więc pracownia w malowniczym zaułku della Frusta na Zatybrzu. Teraz jest tam wściekły upał, wtedy panował przenikliwy ziąb. Pracownia musiała być jednocześnie mieszkaniem. Żona i półtoraroczne dziecko zostały w Argentynie. On miał życzliwe pismo od ambasady włoskiej w Argentynie, pomoc przyjaciela i własny talent. I zaraz w lutym pierwsza wystawa: „Alejandro Kokociński” — disegni. Presentato da una poesia di Rafael Alberti e uno scritto di Carlo Quattrucci, dal 26 febbraio al 20 marzo 1972 in Trastevere via S. Francesco a Ripa, 27”. „Una poesia” nosi tytuł: „Aleksander Kokociński dziś”.

W kwietniu mógł sprowadzić żonę i dziecko. Jakiś szczęśliwy traf zetknął ich z dobrymi ludźmi, u których wynajęli mieszkanie za stosunkowo znośną cenę. Meble kupili na Porta Portese (tutejszy Kercelak, ale jaki!), stare graty można było pomalować, odnowić; zresztą, jeśli się umie szukać, można na Porta Portese kupić rzeczy zupełnie niezłe. Jest więc dom. Spokojny, pogodny. Jest kuchnia z gościnnym stołem, jest fotel na biegunach odmalowany przez Prudencję, jest papuga w klatce, kwiaty w doniczkach, małe krzeselka dla Mai. Ten dom jest także dziełem sztuki,

które stworzyli oboje. Alejandro planuje: w grudniu sprzedam wszystkie moje obrazy i zaproszę ojca, niech z nami pobędzie.

Nad stołem do pracy w pokoju Aleksandra przypięta do ściany fotografia Che Guevary. Mówią o nim słowami największego podziwu: gdybyśmy mieli kilku takich ludzi, świat by wyglądał inaczej.

Opowiadają o Ameryce Łacińskiej: widziałeś ludzi umierających z głodu? bo myśmy widzieli. Czy wiesz, że tam stosuje się tortury? Znamy ludzi, którzy przez to przeszli. O księżach, którzy mieszkają w dzielnicach ubogich, żyją życiem ubogich, cierpią z nimi, z nimi są prześladowani, mówią z sympatią. Taki ma być Kościół. Taki był Chrystus. Pokazuję im „Il Messaggero”: Błogosławieństwo papieża dla „kapłana-powstańca” (*guerrigliero*), korespondencja z Buenos Aires. Za pośrednictwem biskupa Juan Carlosa Aramburu przekazał Ojciec św. błogosławieństwo ojcu Alberto Carbone, aresztowanemu ostatnio w Buenos Aires. Fakt ten zrobił wielkie wrażenie w kołach politycznych — pisze autor notatki.

Aleksander żyje tym, czego nauczył się w swoim kraju. Ten małomówny, skoncentrowany, spokojny chłopak w swoich rysunkach i obrazach jest zupełnie inny. Krzyczy. Zachodnioniemiecki dziennik zatytułował recenzję z jego wystawy: „Realizm socjalistyczny” — i coś tam o autorze, że z Ameryki Łacińskiej. Oczywiście to w RFN dobra reklama. Ale to nie jest prawda. Pod powyższym tytułem umieszczono reprodukcję rysunku: robotnik przytwierdzony do krzyża. Robotnik? Może nie robotnik; umęczony, ubogi człowiek. Poważniejsze recenzje piszą, że wpływ Grosza, Ottona Dixy, Kirchnera i ekspresjonizmu niemieckiego. Może, nie wiem, jak maluje Otto Dix. Wiem, że jest to wpływ tego, co pokazało mu życie. W jego malowaniu, w rysunkach, w dramatycznej deformacji, w niesłychanie wyrazistych, mówiących rękach i wzroku ludzi, których pokazuje, wyraża się konieczność wykrzyczenia prawdy o okropnościach świata, o nędzy człowieka, nędzy wewnętrznej wyrażającej się w bezkresnej tępacie pijackich twarzy, w obnażonej ohydzie wytwornej damy z pieskiem, oraz piękna, którego nędza materialna nie może unicestwić, piękna twarzy ciężarnej nędzarki, godności ojca czuwającego przy umierającym dziecku.

Siedzę za plecami Aleksandra w jego pracowni i przeglądam teczkę z recenzjami, a właściwie patrzę na to, co maluje w tej chwili. Mówię mu po polsku: „Alessandro, to jest okropne”. Odwraca się do mnie. Jest zmęczony, siedzi tu od 6 rano, bez śniadania, boli go głowa, nawet nie wie, że już po pierwszej. Upewnia się zadowolony: *Orribile?* Tak to właśnie miało być. Na płótnie unosi się dostojnik kościelny, przez deformację wyrażona jest bezradność, strach, pokraczność tej postaci wobec zstępującego z nieba Chrystusa-Sędziego. Ten pomysł powstał w chwili, kiedy zobaczył dostojnika kościelnego w luksusowym samochodzie. Próbowałem mówić mu, że to uproszczenie, że ostatecznie pewnie ten samochód jest jakimś darem, że to jest patrzenie chyba dość powierzchowne, bo w końcu pieniądze Kościoła przeznaczone są właśnie na pomoc tym, którzy ich potrzebują, i tak dalej. Ale miałem uczucie, że nic z tego do niego nie dociera. Mercedes-benz... Ameryka Łacińska, bogaty Kościół, Chrystus... On się z tym nie zgadza. Widzi i nie może pogodzić jednego z drugim. Koniec dyskusji.

Aleksander pyta, która to godzina, wyciera pędzle i prosi, żebym poszedł do nich na obiad. Bronię się, że Prudencja będzie zaskoczona, że kłopot, ale wiem, że to nieprawda, że większa od kłopotu będzie dla nich radość z podzielenia się tym, co mają.

STARY I NOWY DOM MOJEGO ZGROMADZENIA

Tamten dom był stary. Oczywiście nie tak stary jak bazylika Piotra w Okowach. Janek twierdzi, a zna się na tym, że jest ona jedną z najstarszych, ale ostatecznie trzeba pogodzić się z tym, że rytm starzenia się domów nawet w Rzymie nie jest jednakowy. Tamten dom był rzeczywiście stary. Kiwał się, kiedy ktoś szedł po korytarzu na wyższym piętrze, a w piwnicach (gdzie kuchnia) w nocy wychodziły ze szpar karaluchy. W starym domu na najwyższym tarasie znajdowały się resztki pasieki ojca Władysława, meble były swojskie, jakby skupowane na Porta Portese. Ze ścian sypało się wapno. Obiektywnie rzecz biorąc rozkład pomieszczeń domu stopniowo rozbudowywanego nie był praktyczny. Kiedy pewnego upalnego dnia specjalnymi maszynami do burzenia uderzono w ten stary

dom, rozsypał się natychmiast i cała okolica zrobiła się biała od wapna, smutku i kurzu. Rybki, te kolorowe rybki, które były w sztucznej sadzawce w ogrodzie, gdzieś przepadły, woda pokryła się białym, suchym proszkiem. A rybki? może korzystając z tego uciekły do morza (Tyrreńskiego, jako że najbliżej, choć trzeba jechać metrem). Karaluchy zeszły głębiej pod ziemię. Marianie na czas budowy przenieśli się na drugą stronę miasta, za wzgórze usypane ze śmieci i gruzów, gdzie szeroki widok przetykany jest sylwetkami okolicznych domów generalnych rozmaitych zakonów. Właściwie wszyscy cieszyli się, że ten stary dom przestanie istnieć, że będzie nowy, lepszy, bez karaluchów, gdzie wszystko będzie funkcjonować i będzie funkcjonalne. Tylko ojciec Józef, który był przy organizowaniu starego, chodził smutny. Został do ostatniego dnia, niemal do przyjazdu tych maszyn obłączniczych. Tego dnia, kiedy już trzeba było opuścić dom, zaprosił nas, ostatnich, którzy zostaliśmy w pustych murach, na kolację do restauracji, która słynie z zachodów słońca, gdzie ludzie przychodzą patrzeć z tarasu, jak ściany starożytnego grobowca Cecylii Metelli różowieją i złocą się, żeby ostatecznie poddać się cieniowi.

Ten dom jest nowy. Królestwo biurek, telefonów, małych lampek, które zawsze świecą czerwono w różnych miejscach domu za matowymi szybami tablic rozdzielczych. Karaluchy zamieszkały na dobre w korytarzach odkrytej przy kopaniu fundamentów prastarej kopalni i nie przychodzą już więcej. Schody nie są jeszcze ani trochę zdeptane. Na dachu nie ma śladów pasieki ojca Władysława. Przechodziłem dziś przez bibliotekę, w której piętrzą się zwaly pak i w jedynej otwartej, znalazłem, jako pierwszą z brzegu książkę, jakieś pismo ATK, a w nim pracę o ojcu Władysławie, w której pieczołowicie zebrano o nim niemal wszystko, co się dało. O tym, że miał pasiekę na dachu starego rzymskiego domu, nie wspomniano.

Wielki dom, gdzie o wszystkim pomyślano, gdzie niemal odgadnięto wszelkie możliwe życzenia przyszłych mieszkańców, dom z kaplicą, która jest trochę jak gniazdo, a trochę jak akwarium, czeka na tych, którzy będą duszą domu, wydepczą schody i może, może, na dachu założą pasiekę.

Starszy pan najzwyczajniej w świecie chciał z kimś porozmawiać. Najpierw ze staroświeckiej teczki wyjął oprawioną fotografię brodatego biskupa. Biskup przed iluś tam laty był generałem Zgromadzenia i mieszkał w tym pokoju, w którym przez kilka ostatnich dni ja mieszkałem i który dziś opuszczam, bo klasztor zostaje zburzony, a na jego miejsce za rok ma stanąć nowy, jako że starego nie opłacało się remontować. Już w tej chwili gmach jest pusty i częściowo rozebrany. A więc wyjął to oprawione zdjęcie, pokazywał odręczną dedykację napisaną pięknym, drobnym pismem zmarłego biskupa, powiedział o niedawnej śmierci żony i że dzieci mają swoje własne domy, a on w wielkim mieszkaniu jest sam, sam gotuje sobie, sam sprząta i że mu jest ciężko i smutno. A potem o swoim życiu. Na wizytówce kilka linijek zajmują tytuły. Stary, emerytowany, dość wysoki urzędnik, Ci, którzy dziś rządzą państwem — tak mówił — kiedyś mu podlegali. Tylko że on zawsze był i będzie faszystą... Nie dowierzałem znajomości języka. Tak — starszy pan zrywa się z jedyne go w pokoju krzesła, bije — i to z jaką siłą — ręką w biurko. Tak, jest i zostanie faszystą. Był kiedyś bersalierem. To dopiero formacja! Teraz chcieli rozwiązać bersalierów, a kiedy było ich święto, on przemówił i powiedział prezydentowi. Cóż socjaliści? Tą partią kierują bogacze (tu sypią się znane nazwiska). Demokracja Chrześcijańska?... Oni nie są już wcale chrześcijanami. Ale on widział, na własne oczy widział, jak podpisywano konkordat. Tylko faszyzm może zapewnić Włochom przyszłość, faszyzm zwycięży, cierpliwości, *piano, piano*... Starszy pan krzyczy jak na wiecu, wali w stół. Rozkładam ręce: pan wybacz, nie mam ciepłych uczuć do faszyzmu... Więc przyskakuje do mnie i krzyczy mi w twarz: młodzieńcze, ty wielu spraw nie rozumiesz, jesteś młody. Studiujesz? Widzisz, nie możesz studiować, bo profesorowie strajkują (fakt, właśnie teraz, w czasie egzaminów, jest strajk profesorów niektórych uczelni), widzisz, jest bałagan, nikomu na niczym nie zależy, tylko na tym, żeby najeść się samemu.

Bąkam coś, że hitleryzm, nazizm, że to wszystko...

Nowa burza.

— Nie wolno utożsamiać faszyzmu z nazizmem...

I tak dalej. Ostatecznie zostawiliśmy ten temat. Starszy pan poprosił, żeby mógł nazywać mnie wnukiem, opowiedział wzruszającą historię, jak w czasie wojny nakarmił głodną kobietę. Poszedł, unosząc w staroświeckiej teczce fotografię brodatego biskupa. Patrzyłem za nim. Na murze otaczającym niedaleki ogród czerniała w słońcu swastyka, porostalność po niedawnej propagandzie wyborczej. Tych swastyk i liktorskich różg jest na rzymskich murach bardzo wiele, choć podobno starano się je ścierać.

Jak dziecko stojące nad mrowiskiem patrzę na to miasto. Paryż... Znany z tylu książek i zupełnie inny, stary przecież, a dzięki wyszorowanym do białości zabytkom jakby uśmiechający się sztuczną szczęką, świadomy tego, że jest stolicą świata (czy jest rzeczywiście?), Mekką artystów i snobów, wystawiający swoje prawdziwe i pozorne wdzięki na sprzedaż i lekceważąco nie interesujący się tymi, którzy nie mają pieniędzy, by płacić za dostąpienie zaszczytu przebywania tutaj. Nie znam tego miasta. Jestem w nim zaledwie kilka dni. Znajomi, których chciałem odwiedzić, najczęściej nie mają czasu albo jeszcze nie wrócili z tych swoich Hiszpanii, Włoch czy innych letnisk. Wiem, że kiedy będę już miał za sobą kilka miesięcy pobytu w tym mieście, zobaczę inne jego twarze. Teraz mogę spokojnie patrzeć jako obcy. Na Rzym ani przez chwilę nie patrzyłem jako obcy. Włosi, którzy nie mają bogactw mineralnych, ale mają zabytki, przeliczają turystów tak mniej więcej, jak u nas przelicza się tony wydobytego węgla czy siarki. Może jest to zaszczerpione w ich podświadomości, że na obcego patrzą jak na grudkę rudy zawierającej cenny kruszec, może jest inaczej, dość, że każdego, kto potrafi wystękać kilka słów w ich języku, zapewnniają, że mówi doskonale i wychodzą ze skóry, żeby coś z tego stękania zrozumieć.

Tu nie tak. Zdumiony, nie rozumiejący wzrok: jak można nie znać poprawnej wymowy naszego języka?

Stare uliczki Montmartru czy Wyspy św. Ludwika są oprawą dla handlowego kuszenia turystów. A turyści ciągną. Autokary pełne Japończyków, Amerykanów i innych nacji, różnojęzyczny tłum leniwie przechadza się między kramami, sklepami, automatami, kupuje tandetne pamiątki, zjada wymyślne potrawy, płacąc niesamowite ceny, fo-

tografuje, fotografuje, fotografuje, wgapia się w malarzy, którzy, niestrudzeni, malują stale te same widoczki.

Turyści kupują wszystko, nawet fotografie brudnego kłoszarda, które on sam z zapalem sprzedaje: „kupujcie i patrzcie, jaki ja jestem charakterystyczny”. W bramie starej kamieniczki siedzi starzec z białą brodą, w stroju napoleońskim, obwieszony orderami. Za niewielką opłatą można się z nim sfotografować. Czemu nie? Jeśli chcecie płacić...

I jeszcze Pigalle, jakiś smutny w świetle jesiennego słońca, wyblakły i tandetny, błyszczący światłem w nocy. Smutni Japończycy w „seks-butikach” zawałonych książkami o zawsze podobnej treści, książkami, które będą świadectwem ubóstwa naszych czasów. I co kilka kroków wielkie, wrywające sobie przechodniów reklamy: „striptis przez całą noc, tylko za 2,50 F.!” i przyklepione do lornetek jak w fotoplastykonie postacie wgapiających się w pornograficzne filmy (czy przeźrocza). A w bramach, przed barami dziewczyny z Pigalle, ładnie ubrane, z porozumiewawczym, niby to konspiracyjnym mrugnięciem oka zapraszają: „idziemy?...”

Nad tym wszystkim wielki, biały kościół z wystawioną zawsze, dzień i noc, monstrancją i zawsze z modlącymi się ludźmi. Przebłaganie i zadośćuczynienie Miłości za to, że nie jest kochana.

Dostałem adres księdza, który zajmuje się studiującymi tu obcokrajowymi księżmi. Podobno pomaga w znalezieniu im mieszkania i pracy. Dziwię się: pracy? kiedy nie mogę z moją nieznaną języka nic tu właściwie zrobić jako ksiądz? Mówią mi: proszę iść. Poszedłem. Oczywiście nic z tego nie wyszło.

*

Niedzielną msza św. w Saint Séverin. Przed mszą nauka śpiewu, teksty rozłożone na ławkach, sporo ludzi, koło trzystu. W czasie koncelebrowanej mszy św. wszyscy śpiewają. Liturgia prosta, bez nadzwyczajności. Na komunię św. koncelebrujący księża rozchodzą się do kilku punktów kościoła. Komunię św. przyjmuje się stojąco, podawana jest do ręki. Kazanie proste, o przebaczeniu. Po mszy ogłoszenia związane z rozpoczynającym się rokiem szkolnym. Proboszcz przedstawia nowego księdza. Wita, życzy dobrej

pracy we wspólnocie. Msza skończona. Księża wychodzą, tak jak weszli, przez nawę środkową, nie wracają jednak do zakrystii, w nawie rozbierają się z szat liturgicznych i wychodzą z ludźmi. Przy kościele pomieszczenie z barkiem, sporo osób. Zatrzymujemy się tu na kawę i na rozmowę.

*

Stoimy przed Alliance i rozmawiamy: Marta, Bożena, jej szkolna koleżanka i ja. Podchodzi młody człowiek: przepraszam, państwo rozmawiają po polsku. Może potrzebujecie pracy, płacę 4 F za godzinę. Suszenie i układanie zdjęć.

Nazywa się Marek. Skończył elektronikę czy automatykę w Warszawie. Tutaj początkowo pracował w swoim zawodzie, ale doszedł do wniosku, że w ten sposób nie osiągnie niczego. Otworzył pracownię fotograficzną. Fotografować nauczył się tutaj. Nieźle mu się powodzi. Polski fiat, mieszkanie. Opowiada o różnych znajomych. Historie raczej smutne. Rezygnacje z zawodu, niezaradność. Jeden wyjątek: dziewczyna (także po jakichś studiach) zajęła się projektowaniem mody. Zarabia znakomicie. Ale znowu niezbyt szczęśliwie ułożyła sobie tzw. sprawy osobiste.

*

Koniec błogich kapelańskich dni. Mieszkam w gościnnie użyczonym pokoju. Stara kamienica ze śmierdzącą klatką schodową. Pokój duży, także śmierdzący i brudny. Tu przez wakacje przyjmowano Polaków, którzy zjawiają się niespodziewanie, zwykle bez grosza, bez znajomości języka, pełni poznawczego zapachu. Zostawili szafę zapchaną brudnymi talerzami, zwały brudu po kątach i brudną pościel. Kupują szczotkę, śmietniczkę, płyn do mycia naczyń, miskę, dzbanek i wiadro. Naprawiam zepsutą lampę. Mieszkam. Wszędzie daleko. Obliczam, że na metro będę wydawał miesięcznie około 100 F. Dzielnica biedna. Nade mną mieszkają Murzyni, naprzeciwko, po drugiej stronie podwórza, jakiś warsztat, właściwie mała fabryczka. Woda na korytarzu, klozet wspólny dla dwóch pięt (okropny).

*

B.: przyjechała na wakacje. Studiowała romanistykę, jest po pierwszym roku. Postanowiła zostać tu na rok.

Znalazła jakąś pracę w biurze. Szuka stale możliwości do-robienia. Mieszka w pokoiku na poddaszu. Zgodziła się pracować u Marka. Od tej pory więcej jej nie widziałem, choć do tego czasu spotykaliśmy się codziennie, wychodząc z zajęć o tej samej godzinie. Mówiła wtedy, że rodzice telefonowali z Polski, by koniecznie wracała.

M.: szuka pracy. Przyjechała na wakacje. W przyszłym roku miała skończyć studia. Tata, profesor wyższej uczelni, nie chciał nawet słyszeć o tym, żeby na rok przerwała naukę. Uparła się. Ciotka pożyczyła czy dała pieniądze. Zaproszenie przysłał poznany w Polsce Francuz. Zwiedziła Hiszpanię, Maroko i miała zamiar zostać przez rok w Anglii. Zna dobrze angielski. Ale Anglicy nie dali jej wizy. Szuka więc pracy w Paryżu, chodzi na Alliance. Pracowała w kawiarni, ale wspomina to niedobrze: „żeby taki patron bez wykształcenia pokrzykiwał na mnie, jeśli tylko na chwilę przystanę...” Przy dzieciach też nie chce pracować. Ma tymczasem mieszkanie za darmo i jakieś oszczędności.

O.: jak twierdzi, skończył w tym roku politechnikę, wydział samochodowy. Jeśli idzie o języki, to, jak przy każdej okazji podkreśla, zna jedynie łacinę. Więc Alliance od czasu do czasu („to okropnie nudne zajęcie, ta nauka języka”). Powiada, że chce tu zostać rok. Nie bardzo wie, po co właściwie. Szuka pracy. Nie, raczej nie w swoim zawodzie, bo język, bo właściwie jest teoretykiem bez praktyki, nie było jeszcze czasu do praktykowania...

X i Y: Jeden inżynier, drugi technik. Kanada, Stany Zjednoczone... trzeba zdawać jakieś egzaminy i tak dalej. Można tymczasem malować pokoje.

Kiedy staliśmy z Z. na wysokim tarasie Tour Eiffel i patrzyliśmy na światła Paryża, Z. powiedział, że mógłby napisać powieść, może dramat pt. „Tajemnice pokoju na szóstym piętrze”. Nie zrozumiałem, co ma na myśli i wtedy wyjaśnił mi, że na szóstych piętrach, na poddaszach, w pokojkach pomyślanych jako pomieszczenie dla służby *chambre de bonne* zamieszkują zwykle Polacy. Nieraz przed wiele lat. Siedzą trzymani lękiem utracenia szansy „dojścia do czegoś”.

Mieszkam na szóstym piętrze. Kominek, nad nim lustro, wielkie, w złotistej ramie. Co kwadrans słyszę, jak zegar wydzwania upływanie czasu.

*

„Tygodnik” i listy konsjerżka przynosi mi na szóste piętro i wsuwa pod drzwi.

Właściciel pokoju, w którym mieszkam, kiedy zapytałem go o zameldowanie na policji, odpowiedział z dumą, że Francja to kraj wolny i nic takiego nie jest potrzebne. Po kilku dniach przybiegł i wyjaśnił, że jednak muszę się zameldować.

MARIA MORSTIN-GÓRSKA

Sobota. Znakomity wynalazek wolnej soboty. Wczorajsze zmęczenie odpłynęło. Ciężki tydzień został za mną, o tym, który przyjdzie, nie muszę jeszcze myśleć. Wracam z kościoła i jak zwykle emocjonujące oczekiwanie: jest poczta, czy nie? Pod drzwiami ułożony przez konsjerżkę stosik listów i dwa numery „Tygodnika”. Dziś są same listy trudne; sprawy, które mogą wydawać się nie do rozwikłania. „Tygodnik”, dwa numery. Pierwsze strony pełne biskupich fotografii. I potem już trudno przeglądać resztę. W czarnej ramce nekrolog Marii Morstin-Górskiej. Zmarła 14 października, przed tygodniem. Kilka zdań w nekrologu, zdań natłoczonych treścią, czytelną dla tego kto je kreślił, i dla tych, którzy Ją znali.

Jeżeli nawet do tamtego domu przy alei Krasińskiego nie przychodziłem często, to już samo jego istnienie było dla mnie ważne. Nieraz szedłem tam, kiedy nie mogłem się pozbierać i kiedy gniotły mnie tak zwane chandry. Bo tam było zawsze jasno i zawsze było się oczekiwanym gościem. Wystarczyło sięść w wielkim fotelu w łagodnym świetle lampy, by różne wewnętrzne dygotania, z którymi się przyszło, odpłynęły. Maria Morstin-Górska należała do tych nielicznych, którzy posiadli sztukę rozmawiania. Spotykało się tam zawsze różnych ludzi i zawsze rozmowa obejmowała wszystkich, wciągała wszystkich, każdy był słuchany z zaciekawieniem — prawdziwym, nie jakimś grzecznościowym, zdawkowym. I zawsze przesiadywałem tam ponad wszelką miarę czasu, nie czując upływu godzin.

Kiedy przed wyjazdem szedłem się pożegnać, wiedziałem, że to może być pożegnanie na zawsze, ale dziś, po przeczytaniu tygodnikowego nekrologu zrobiło się jakoś pusto. Trudno będzie przechodzić koło tamtego domu...

Pamiętam, kiedyś, chyba siedem lat temu, powiedziała, że częściowo straciła wzrok, że nie widzi już zupełnie jednym okiem i cieszyła się, że jest to drugie. Nie najlepsze, ale jest. Potem przychodziły choroby, jedna za drugą. I wydawało mi się, że jest w Niej jakaś wewnętrzna niezdolność do pogodzenia się z tym, że wzrok... (mówiła: rozumiesz, czym jest wzrok dla pisarza. Przecież czytanie i pisanie...), potem wypadek i chyba bardzo trudne dni. Kiedy w tym okresie odważyłem się tam iść, jeden, jedyny raz widziałem Ją jakby przygaszoną, nie promieniującą zwykłą pogodą. I znów po jakimś czasie odnalazła to, co było jednym z Jej charyzmatów. Znów był to jasny dom. Mówiła mi wtedy pogodnie, że teraz, kiedy nie może nic innego robić, wróciła do poezji, do tego, co zawsze najbardziej kochała. Wakacje spędziła w Laskach. Nauczyła się pisać na maszynie bez używania wzroku, nauczyła się trudnej sztuki wykonywania wszystkich codziennych czynności w nowym niewidzialnym świecie.

Jaki był ten świat? Mówiła pogodnie, że dzięki poezji, do której wróciła, nie traci czasu. Ale w „Tygodniku” przeczytałem Jej wiersz *Więzienie**. Pisała o tym świecie. To nie było łatwe. Pogoda, którą odnalazła, to była pogoda odnaleziona „na innym piętrze”.

Nie wiem, jak dochodziło do tego, że tłumaczyła właśnie te książki, które tłumaczyła, nie inne. Nie przypuszczam, żeby było to tylko wynikiem takich a nie innych zamówień wydawniczych. Wszystkie te książki były ważnymi książkami mego życia, zwłaszcza Merton.

Kiedy rozmyślam o Niej, kiedy przypominają mi się rozmowy, w których Bóg był najbardziej realną rzeczywistością, w których los i życie były rozszyfrowane jako drogi Jego woli, szukam jakichś słów o dojrzałości i mądrości, ale wszystkie, jakie przychodzą na myśl, są zbyt pompatyczne przy prostocie i zwyczajności tego, co było w Niej nadzwyczajne.

* Zamieszczony w zbiorze *Poezje*, Kraków 1974, wyd. Znak.

30 października 1910 zakończyła się w Lourdes konferencja plenarna Episkopatu. Tu chcę zanotować kilka szczegółów z tego, co nazwano w Lourdes „Opération vérité”, mianowicie z raportu biskupa pomocniczego Bordeaux, Fretellière, o sytuacji w dziedzinie przygotowania do kapłaństwa. Kilka liczb: 1963 — w seminariach wyższych i niższych 15 702 studentów, 1971 — 5 471; w wyższych seminariach — 5 279 w 1963, 2 480 w 1971. W 1965 porzuciło kapłaństwo 45 księży, w 1967 — 89, w 1969 — 145, w 1971 — niemal 200. W tej ostatniej grupie 40 otrzymało święcenia w latach 1967—70. W owym okresie wyświęcono we Francji 1816 księży. W latach ostatnich notuje się szybki wzrost przeciętnego wieku księdza, inaczej mówiąc starzenie się kadry kapłańskiej. W r. 1965 zmarło 161 księży, w 1970 — 465. W 1971 r. 82 diecezje nie miały więcej niż po 10 wstępujących do seminarium, w 10 diecezjach nie wstąpił do seminarium ani jeden kandydat. Według przewidywań ks. Potel liczba księży we Francji z 40 994 w r. 1965 spadnie w ciągu dziesięciu lat do 31 820.*

BĄDŹ TU MADRY

Moje notatki spisywane w pierwszych dniach pobytu na paryskim bruku odczytywane na tymże bruku... Dyskusja: „co autor chciał powiedzieć?” Słuchałem bez prawa zabierania głosu. Słusznie. Dopiero na końcu. Odnotowuję tu niektóre głosy. — „Dlaczego autor czepia się innych, kiedy, jak wynika z tego, co pisze, sam nie jest także przygotowany do życia tutaj, także nie zna dobrze języka i tak dalej?” — „Świetnie. Tak właśnie wygląda pierwszy etap pobytu przeciętnego Polaka w Paryżu. My tu w większości jesteśmy na tym właśnie etapie. Istnieje mit, że kiedy wyjedzie się na Zachód, problemy się kończą. Okazuje się potem, że jest akurat przeciwnie”. — „To nie jest dobry artykuł, bo to jest napisane za bardzo subiektywnie. Nie pokazuje rzeczywistości — same ciemne strony. Pretensje, że Paryż nie jest taki jak Rzym, że pokój śmierdzący, że schody, że klozet... A przecież ten pokój zo-

* Jak zwykle, przewidywania statystyczne zawiodły. W 1975 było we Francji 43 557 księży.

stał jemu i tym studentom z Polski w lecie użyczony za darmo. To znaczy, że ktoś za to płaci, że są ludzie, którzy bezinteresownie coś dla innych tu robią. Tu, to znaczy w świecie, gdzie za wszystko się płaci. Takie dostrzeganie jedynie ciemnych stron jest niesprawiedliwe. Zresztą ci, którzy tu jadą i którzy tu są, jadą tu po coś, za coś tę cenę chcą płacić". — „Kiedy przeczytałam ten artykuł, najpierw pomyślałem, że to wszystko jest bardzo smutne, ale potem doszłam do wniosku, że warto było harować przez całe niemal wakacje, że warto i teraz się pomóc, ale zrobić te studia, które tu robię. Te studia, to moje wielkie osiągnięcie życiowe”.

Ktoś przyniósł mi na drugi dzień numer „Kulis” z artykułem Żuławskiego. Temat podobny. Widzisz — powiada, dając mi gazetę — można o tym samym, ale nie nastawiać. Żuławski napisał m. in. (cytuuję tak, jak zapamiętałem), że pobyt w Paryżu tłumaczy się sam przez się. Być tu po to, żeby być, już jest racją wystarczającą.

Nie twierdzę, że Żuławski nie ma racji. Może ma. Rzeczywiście to miasto jest magnesem dla ludzi ze wszystkich kontynentów nie wyłączając Australii, choć mieszkańcy Australii nie lubią podróżować. Powiadają, że nie ma po co, wszystko mają na miejscu.

Może właśnie dlatego, że wszyscy tu ciągną, tak ciężko jest na początku. Nikt się nie przejmie, że przyjechałeś z Brazylii czy z Polski. Ciężkie początki, to normalna sytuacja Jugosłowian, Hiszpanów, Japończyków. Nie wszystkich, rzecz jasna. Dziś w telewizji pokazano reportaż: Amerykanin kupił stary zamek i winnice w okolicach Bordeaux: „W grupie przyjaciół, podczas rozmowy prowadzonej w Nowym Jorku, wpadliśmy na myśl, że dobrze by było kupić jakiś stary zamek we Francji. Wobec tego zadzwoniliśmy do agencji...”

Kiedyś słyszałem, jak ksiądz z parafii polskiej w Paryżu mówił do młodych, których kilkudziesięcioosobowa grupa otaczała ołtarz: „... my doskonale wiemy, że nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na wszystkie wasze potrzeby, z jakimi do nas przychodzicie. O jednym chcę was zapewnić: możecie zawsze liczyć na naszą życzliwość i chęć pomocy. Chcemy, żebyście mogli znaleźć tu atmosferę przyjaźni i życzliwości”. I wiem, że nie były to sło-

wa bez pokrycia. Ludzie przychodzą, a Paryski Polski Proboszcz nie załatwia problemu: „... idź, bracie, niech cię Bóg opatrzy”. Jest miejsce, gdzie można przyjść, gdzie nikt nie pyta, po co tu jesteś i jakiej jesteś wiary. Może nie mówi się tu tyle o braterstwie co u Francuzów (tam zresztą ma to, choć nie zawsze, pokrycie w czynach) ale przychodzącego przyjmuje się jak brata.

OBYWATELE ŚWIATA

Z reporterskiego obowiązku chcę jeszcze odnotować, że byłem na wielkim zebraniu „Citoyens du monde”, na które poszedłem wiedziony przede wszystkim chęcią spotkania abbé Pierre’a, twórcy wspólnoty Emaus. Abbé Pierre’a nie było, a zebranie wydało mi się nieco dziwne. Przez cały czas krążyły w powietrzu, pięknie wykonane z licznie rozdawanych materiałów ideologicznych, samoloty, które wypuszczali młodszy uczestnicy zebrania, okupujący balkony. Przemawiali różni poważni ludzie, ale chwilami był taki tumult, że niektórzy zamiast mówić, pokazywali tylko płachty papieru z wypisanymi hasłami typu „My granice mamy gdzieś”. Dostałem cały plik książeczek, broszur i ulotek, z których niezbitcie wynika, że ruch, kiedy tylko będzie dostatecznie liczny, zmieni dotychczasowy podzielony świat na wielką, uniwersalną federację. Mój sąsiad, kiedy spytałem go o jednego z przemawiających właśnie brodaczy, wręczył mi książeczkę. Okazało się, że autorem jest on sam (to znaczy mój sąsiad, nie przemawiający brodaczy). Książeczka została wydana nakładem autora: *Renaissance de la France*. Wszystko tam jest dokładnie przewidziane (61 s.). Najbardziej podobał mi się program wielkiego Święta Odrodzenia, które odbędzie się już na wiosnę 1973 (s. 57), a rozpocznie się w rodzinnym miasteczku Autora. Autor zresztą ma za sobą duży sukces wydawniczy, jak bowiem podano na s. 4, wydał w 200 000 egzemplarzach *Carte des vitamines et calories (6 coulers)*. Spotkanie tego miłego, chudego i nieśmiałego człowieka bardzo mnie ucieszyło. Jest coś pięknego w tym, że tacy ludzie istnieją i kto wie, czy mimo bezkresnej utopijności ich pomysłów świat nie zmienia się na lepsze właśnie dzięki nim. W czasie przerwy, w ciągu której należało na kartkach zgłaszać pytania, wy-

stępował bardzo niedobry cyrk. W połowie występów postanowiłem iść do domu. Przy wyjściu zostałem obdarowany (przez miłą starszą panią) licznymi książeczkami. Na moje sceptyczne pomruki powiedziała, że trzeba mieć cierpliwość, a dzieło z czasem wyda owoce. Lektura materiałów obudziła we mnie wiele ciepłych uczuć dla „ruchu”. Nie wiem, czy ich działalność jest skuteczna, ale wiem, że naprawdę przejmują się losami świata i studiując takie zagadnienia, jak zatrucie środowiska, zbrojenia itp. widzą grozę sytuacji i nie chcą uchylać się od odpowiedzialności. Nie rozumiem tylko, dlaczego część artystyczną wykonywał cyrk, ale może to jakaś narodowa tradycja, na której się nie znam.

GŁODNY CZŁOWIEK

Z kartki Jacka Woźniakowskiego: „Mądrym bądź, własny sąd acz nie przedczesny o ludziach i rzeczach miej...”

Na wieczornej mszy św. cztery osoby, pewnie dlatego, że przez cały dzień pada i jest zimno. Właściwie są trzy msze, bo przy głównym ołtarzu jedna, ten ksiądz, który jest tu od dwóch tygodni, odprawia w quasi-kaplicy i ja przy bocznym ołtarzu. Potem, kiedy już mam iść do domu, jakaś kobieta przybiega do zakrystii: człowiek, który był na mszy, upadł wychodząc i teraz leży w kościele. Więc stoimy nad nim dość bezradni, a on rzeczywiście leży, z ogoloną gładziutką głową, w podniszczonej jesionce, obok żółta, także podniszczona teczka. Przytomny, ale jakby obudzony ze snu, patrzy na nas przez zaciemnione okulary w drucianej oprawce i przy tej jego ogolonej głowie twarz z długą, wąską blond brodą wygląda nieco egzotycznie. Nie jest ani młody, ani stary, nie kloszard, nie pijak, raczej urzędnik, może nieco zdziwaczały abnegat. Kiedy z tym księdzem, który dwa tygodnie temu przyjechał z Polski, podnieśliśmy go i posadziliśmy na ławce, zapytany odpowiedział cicho, że nie jest chory, tylko bardzo zmęczony i poprosił o szklanke wody, a że nie było w zakrystii szlanki, przyniosłem wielką, kryształową ampulkę, a on wypił wszystko i chciał się podnosić, ale, że był jeszcze bardzo słaby, zapytałem go, co to się stało, czy ma gdzie iść, czy mieszka tu, w Paryżu, i czy już dziś coś jadł? Odpowiedział, znów bardzo cicho, ale głos miał

przyjemny i wyraźny, że nie nie jadł, i że jeszcze nie ma mieszkania, bo właśnie wyszedł z więzienia i że idzie teraz na dworzec, gdzie w poczekalni będzie siedział do którejś tam godziny, a potem pójdzie do garaży, że od wtorku (to było w piątek) będzie miał pracę, którą mu ułatwili ci, co zajmują się więźniami, że będzie nocnym stróżem, że ma już zapewniony (od wtorku) pokój.

Tak staliśmy nad nim w tym kościele, ja i ten drugi ksiądz, obaj tu obcy, ten ksiądz gość zaprzyjaźnionej rodziny, ja mieszkający na drugim końcu miasta. W kościele ani w zakrystii nie było już nikogo, choć wszystkie światła paliły się nadal i było słyhać, że prawie przestało padać. Wtedy ten drugi ksiądz powiedział do mnie po polsku, żeby tamten nie mógł zrozumieć: „... przecież temu człowiekowi trzeba coś dać do jedzenia” — więc zapytałem, czy zechce pieniądze (bo nie wyglądał na zebraaka, nie prosił przecież o nic, tylko o tę szklanekę wody, i jedynie odpowiadał na moje pytania), żeby mógł coś sobie kupić do jedzenia, i on powiedział cicho, że jeśli mogę mu dać, to będzie bardzo wdzięczny. I kiedy przyniosłem z zakrystii, gdzie jeszcze była moja wiatrówka, te pieniądze i dałem mu, był jakby zdziwiony, że to nie miedziaki tylko papierek, najmniejszej co prawda wartości, ale w każdym razie nie miedziaki. Był to akurat banknot, który ktoś dał w tym kościele prosząc o odprawienie mszy św. i tę mszę też w tym kościele odprawiłem, więc pieniądze były związane z kościołem, do którego on schronił się przed deszczem i zimnem i w którym osłabiony upadł.

Potem wyszliśmy razem z kościoła, on poszedł ostrożnie, wolniutko, bo był naprawdę bardzo osłabiony, w stronę sklepu z pieczywem, a my, niosąc nad głowami nasze wielkie parasole, w kierunku metra.

MSZA W „KOLE ŚW. JANA CHRZCICIELA”

Dziś (niedziela) wysłuchałem kazania księdza kardynała Daniélou. Msza była odprawiona w niewielkiej sali i obecni siedzieli na czymś w rodzaju skrzynek, z których w razie potrzeby można złożyć podium. Przede mszą kardynał chodził po sali w płaszczu, spod którego nie wystawała sutanna, miał na palcu soborowy pierścień, ze

wszystkimi witał się i rozmawiał serdecznie i głośno. Potem gdzieś przepadł, a zebrani wysłuchali czytań mszalnych z dzisiejszej liturgii, milczeli, myśleli, wspólnie zastanawiali się nad sensem przypowieści o talentach. Potem znów przyszedł ksiądz kardynał, już bez płaszcza, w ciemnym ubraniu i koloratce, zawiesił krzyż na szyi i wyjął z kieszeni piaskę kardynalską, po czym ubrał się do mszy św. a z nim razem jeszcze dwóch księży, Chińczyków. Jeden — profesor Instytutu Katolickiego i Sorbony, ojciec François Houang, orionista; drugi bardzo młody, smukły, jak z chińskich obrazków. Dlatego była to msza „chińska”, bo poprzedził ją wykład ojca Houang o Chinach.

Kazanie mówił ks. kardynał (właśnie w tym tygodniu zaliczony do „grona nieśmiertelnych” Akademii Francuskiej. Powiedział podobno przy tej okazji, że nie wierzy w inną nieśmiertelność, niż nieśmiertelność duszy). A więc kazanie: przypowieść o talentach zawiera naukę o tym, że Bóg nam wszystko daje, wszystko jest darem wynikającym z miłości Boga do nas, nie czymś ze sprawiedliwości należnym, że darem jest Jezus Chrystus i że gospodarz z przypowieści dał swój skarb, kiedy wyruszył w drogę, więc przecież jest tu mowa o danym nam Duchu św. ... Duch św. jest zamknięty w sercu każdego człowieka, a dramat Kościoła, to dramat Ducha św. I żeby modlić się podczas tej mszy św. o to, by na dary miłości Boga umieć odpowiedzieć darem naszej miłości.

Wszystko to było powiedziane z wielkim wzruszeniem i bardzo po prostu. Kardynał przemawia całym sobą, ogromnie żywą mimiką wyrazistej, pomarszczonej twarzy, wymachując rękami.

MSZA NA RUE DE FLEURUS

Wczoraj wiadomość, że w foyer na rue de Fleurus, w małym punkcie duszpasterstwa akademickiego, prowadzonym przez jezuitów, oczekiwano na mnie. Kiedy tam byłem poprzednio, miałem wrażenie, że zaproszenie do przyścia w przyszłości miało charakter grzecznościowej formułki.

Jest to najzwyczajniejsze pomieszczenie sklepowe. Jeden spory pokój z wejściem wprost z ulicy i z dużym

oknem wystawowym oraz małe zaplecze. Zwykle gromadzą się tu studenci nie-Francuzi. Ale w poniedziałki są niemal wyłącznie miejscowi, zaledwie kilku obcych. Siedzą w kręgu na niskich krzeselkach. W środku niski stół. Większość to dziewczęta, kilku chłopców. Każdy kolejno się przedstawia. Imię, co robi, skąd jest. Jeden młody misjonarz — Włoch, ksiądz — Niemiec, ksiądz — Amerykanin, który będzie potem przewodniczył liturgii. Jedna z dziewcząt czyta tekst Ewangelii: Jan 8, 1—11 — „Chrystus i jawnogrzesznica”. Rozważaniu przewodniczy siostra zakonna, augustianka. Są tacy, którzy ją pamiętają jeszcze w habicie. Przerwała studia na Sorbonie i niespodziewanie wstąpiła do klasztoru. W spodniach, w wyłożonej na wierzch bluzce, w przyciemnionych okularach, może pięćdziesięcioletnia, może nieco młodsza, niezwykle sympatyczna, spokojna, inteligentna, bez żadnych „zakonnych” nawyków. Zapowiada, że po przeczytaniu tekstu będzie pięć minut ciszy i żeby nie bać się tej ciszy, żeby wtedy się modlić. Koło czterdziestu młodych ludzi siedzi w ciszy. Potem milczenie przerywa ta sama, która przeczytała tekst, mówią i inni. Zapowiedziano, że należy mówić o swoich refleksjach związanych z tekstem, że nie jest to dyskusja, ale wymiana myśli. Mówią o dobroci Pana Jezusa, o Jego sile, przewadze spokoju i miłości nad nienawiścią i gniewem, o tym, że trzeba dziś pomodlić się o umiejętność takiego patrzenia na ludzi jak Jezus, o kobiecie, która odeszła w milczeniu nie odgrywając się na faryzeuszach, o tym, że Chrystus nie powiedział jej: to nic nie szkodzi, że grzeszyła — lecz zwolnił ją od ciężaru przeszłości polecając, by nie grzeszyła więcej. Wypowiedzi przerywane są długimi chwilami ciszy. Egzemplarze Pisma św. nowe i stare podawane są z rąk do rąk. Niektórzy długo wczytują się w tekst a potem nie mówią nic. Wszystko to odbywa się w klimacie spokoju. Żadnego napięcia, nerwowości. Nikt nie podsumowuje, tylko amerykański ksiądz w rudym golfie i z lśniącą w wietle lampy łysiną otoczoną wianuszkciem czarnych kręconych włosów pyta, czy ktoś jeszcze chce coś powiedzieć. Już nikt. Rozważanie trwało koło godziny. Krótka przerwa i znów wszyscy siedzą wokół stołu. Na stole drewniany

kielich, drewniane talerze z kawałeczkami połamanego chleba. Łysy w rudym swetrze daje znak, że można zaczynać śpiew na wejście. Urywa się gwar. Śpiewają pieśń o Przycho-dzącym. Potem ksiądz bierze kolejno talerze z chle-bem i kielich, wypowiadając tekst „Błogosławiony jesteś, Panie Boże wszechświata...” i zaraz Prefacja, Modlitwa Eucharystyczna. Wszyscy, łącznie z celebransem, siedzą w kręgu otaczającym stół. Pali się jedna gruba świeca. „Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy...” przy tych słowach ksiądz naturalnym gestem wyciąga rękę z drewnianą mi-ską, a potem z kielichem: bierzcie, proszę. Komunia. Ta-lerz podawany z rąk do rąk obiega krąg. Każdy trzyma kawałeczek chleba. „Panie, nie jestem godzien...” Potem kielich, tak jak przed chwilą znak pokoju, obiega wszy-stkich. Ostatnia z przyjmujących wstaje i odnosi resztę Świętych Postaci na stół. Ksiądz puryfikuje kielich, dreb-niane miski. Znow długie milczenie, śpiew na dziękczyn-nienie. I koniec. Błogosławieństwo: „... idźcie w pokoju Chrystusowym, idźcie ze wzrokiem Chrystusowym”.

Po chwili milczenia przerywa siostra. Pyta misjonarza o jego kolegę, którego tu znają. Włoch opowiada o trud-nościach i problemach misji. Ogólna rozmowa rozbija się stopniowo na rozmowy w grupkach siedzących bliżej. Ktoś rozdaje plastikowe szklaneczki, ktoś rozlewa do nich oranżadę, krąży pudełko tanich biszkoptów.

„I MOŻE PRZYJDZIE KTOŚ NAJBARDZIEJ PROSTY”

Uroczyste „entrée” wielkiego kanclerza Legii Honoro-wej do teatru Champs-Élysées na galowy koncert nie-odparcie przypomina przepisane rytuałem przywitanie bi-skupa przybywającego na wizytację parafii. W hallu szpa-ler gwardzistów w lekkich, złocistych hełmach tłum w „liturgicznych” strojach, frakach, żakietach, wstęgach, długich sukniach, galowych mundurach. Na galeryjce nad wejściem orkiestra. Oczekiwanie. Ruch przy wejściu. Ze-brani formują szpaler. Grand Chancelier w czarnej pe-lerynie narzuconej na rozjaśnioną orderami czerń żakie-tu, ze wstęgą orderu przecinającą śnieżny gors, ściska dłoń kilku najważniejszym, pozdrawia ruchem ręki pozos-tałych. Orkiestra gra Marsyliankę. Wszyscy nieruchomie-ją.

Nie wiem, kto kogo kopiował. Czy Kościół był wzorem dla liturgii dworskiej, czy odwrotnie. Ani jednego błysku flesza. Nie było widocznie w owym uroczystym „entrée” nic nadzwyczajnego. Tamci przy wejściu z namaszczeniem celebrowali tę swoją liturgię, obok siebie miałem tłumek, po większej części ubrany w zwyczajne ubrania, który, podobnie jak i my, obserwował ze szczyptą rozbawienia ten swoisty „folklor”. Oczywiście i tamci celebруюcy na co dzień ubierają się zwyczajnie, chodzą do swoich firm, przedsiębiorstw, ministerstw czy przechadzają się po korytarzach Inwalidów.

Liturgia, którą powyżej opisałem, to liturgia świąteczna, wyjątkowa, ale i miasto ma, rzecz jasna, swój rytm „liturgiczny”, który jest przestrzegany ściśle i z namaszczeniem celebrowany. Rytm cotygodniowych weekendów, dorocznych wakacji, pielgrzymek do salonu samochodowego na jesieni, wielkich soldów i tak dalej.

Kiedyś widziałem nocny koncert jazzowy. To była także liturgia, oderwanie się czy może sublimacja przez muzykę tego, czym się żyje na co dzień. Młodzież przeżywała koncert jak nabożeństwo. Z największą powagą. Jeśli komuś nie odpowiada jazz, może iść do japońskiego teatru Red Buddha, gdzie Stomni Yamasch, w widowisku, na które składają się niemal wyłącznie obrazy symboliczne i artyści niemal przez całe przedstawienie mieszają się z publicznością, wciąga publiczność do kontemplacji życia *sub specie aeternitatis*, gdzie owa aeternitas przychodzi jako wizja ostatecznego dnia atomowej zagłady. I na pewno dla ludzi, którzy od wielu miesięcy co wieczór wypełniają ową prymitywną salę, ten obraz jest bardziej wymowny niż biblijny obraz końca świata, choć tu i tam jest mowa, przynajmniej w jakiejś mierze, o tym samym.

Daleki jestem od twierdzenia, że nie istnieje głód słowa Bożego. Był okres powodzenia ojca Duvala, jezuity z gitarą, którego koncerty były wielkimi konferencjami religijnymi. Ale to się chyba skończyło. Na listopadowym koncercie ojciec Duval nie zdołał wypełnić „Olimpii”, a potem, tej samej nocy, był kolejny występ Aznavoura, który koncertował całymi tygodniami, wieczór w wieczór. Ojciec Duval miał jeden tylko koncert. Opowiadano mi, że przed kilku laty kardynał Daniélou wypełniał najwięk-

szą salę Paryża ludźmi, którzy ciągnęli na jego wykłady i nie mogąc się pomieścić w sali, stali na zewnątrz.

Chodzi mi o inną rzecz: o to, że odwieczny język „świętych rzeczy”, i „świętych miejsc” musi przejść i przechodzi ewolucję.

*

Jak mam mówić o Bogu ludziom, których spotykam, którzy najczęściej chrześcijaństwo znają z gazet, którzy mają kilka schematów, kilka klisz, którzy nigdy do żadnego kościoła nie chodzili? Amerykanin, student psychologii, na temat Kościoła katolickiego wie tyle, że papieżowi więcej na sercu leży sprawa antykoncepcji niż bomby spadające na Wietnam. I nie ma z nim dyskusji. On wie, że misje to narzędzie kolonizacji; pogodnie stwierdza, że on nie ma żadnych potrzeb religijnych. Holenderka, dwudziestoletnia pielęgniarzka, zapytana o kościół w Holandii powiada, że mama jej kazała do kościoła chodzić, ale że to szalenie nudne, że zawsze taka sama msza, z której ona nic nie rozumie, że owszem, w Amsterdamie był jeden kościół nieco bardziej interesujący, bo zamiast kazania na mszy dla młodzieży ksiądz odpowiadał na pytania stawiane przez uczestników. Tu, w Paryżu, oczywiście nie chodzi do kościoła, bo po co? I tak dalej i tak dalej. Oni mają sąd urobiony. Oni nie chcą nawet słuchać na ten temat. Ich po prostu nie interesują te sprawy, a potrzeby metafizyczne, których istnienia zwykle nie przyjmują do wiadomości, są bez przerwy zaspokajane. Pokarmem? surogatem?... ale są zaspokajane. Jak tym ludziom powiedzieć, że msza św. to spotkanie rodziny przy jednym stole, gdzie jest Jeden Chleb, bo „jednym ciałem i jednym chlebem jesteśmy wszyscy, którzy tego chleba uczestnikami jesteśmy”?

Tadeusz Żychiewicz w „Tygodniku” stwierdził, że msza, którą wyżej opisałem, to teatr. Może mi Tadeusz Żychiewicz wierzyć, może nie wierzyć, ale dla wielu, bardzo wielu ludzi, których znam, właśnie liturgia tradycyjna jest teatrem, i to nie najlepszym. Znaki, które dla nas są od dziecka znane i które do nas przemawiają, im nie mówią absolutnie nic. Ingresy biskupie są na ogół gorzej zorganizowane niż *entrées* wielkiego kanclerza, a rytm weekendów jest bliższy życia niż kalendarz liturgiczny

przed czy po reformie. Taka jest rzeczywistość. I jej dramatyczne napięcie można z punktu widzenia religijnego śmiało porównywać z rzeczywistością, w której ksiądz — więzień odprawiał potajemnie swoją obozową mszę św. Tych ludzi po prostu nie obchodzi Bóg, a może ściślej rzecz biorąc, nie obchodzi ich zupełnie, co Kościół o Bogu chce im powiedzieć, co chce im powiedzieć o ich własnym życiu. Ich to po prostu nie interesuje.

Co wobec tego pozostaje? Pozostaje odwołanie się do tęsknoty, którą wyraził gdzieś Liebert: „i może przyjdzie Ktoś najbardziej prosty...”, pozostaje oparcie się na tym, co jest samym rdzeniem religii. Bo jeżeli nie to?... Ja nie twierdzę, że im tu, na rue de Fleurus, to się udało, ale mówię, że sytuacja zmusiła ich do tego, aby po etapie „wyjścia do świata” postawić sobie pytanie: „co to jest religia?”, „co to jest wiara?”.

Opisałem tamtą mszę. Potem, kiedy zrobił się koło sprawy szum, przeglądając różne rzeczy na ten temat trafiłem na instrukcję Kongregacji Kultu Bożego, przygotowaną w maju 1969 roku, a ogłoszoną na początku 1970. Instrukcja ta, w przeciwieństwie do decyzji episkopatów krajowych, które dawały księżom szerokie uprawnienia w zakresie sprawowania liturgii w małych grupach, zarządza praktycznie biorąc likwidację owej liturgii.

Stwierdzić jednak trzeba, że mimo tej instrukcji msze św. dla małych grup, dla rodzin itp. są nadal odprawiane w Austrii, RFN, Belgii, Francji i innych krajach. Pragnę pocieszyć stroskanych, że nikt nie ma zamiaru (przynajmniej tam, gdzie to widziałem) pozbawić Pana Jezusa należnej Mu czci. Z całą pewnością kwestią przyzwyczajenia jest to na przykład, że uważamy, iż gest otwarcia ust ma w sobie więcej szacunku, niż wyciągnięcie ręki po Chleb. Ale na pewno dla ludzi, którzy nie widzieli od dziecka przystępujących do komunii św., którzy nie widzieli komunii św. — gest wyciągnięcia ręki mówi więcej, jest bardziej czytelny, podobnie jak stół otoczony przez uczestników liturgii — bardziej niż ołtarz. Itd.

Nie mam zamiaru spierać się o drewniany kielich i inne akcesoria. Chcę tu jedynie wyjaśnić, gdzie i dla kogo sprawowana jest opisana przeze mnie liturgia. Rozmawiałem niedawno z księdzem, który prowadzi ten ośrodek. Powiada on: konfratryzy pytają mnie, czy my ewan-

gelizujemy. Jak na to pytanie odpowiedzieć? To jest ośrodek, gdzie zbierają się młodzi nie-Francuzi. Dziś na przykład są tu reprezentowane 32 narodowości. Różne religie. My im ofiarowujemy przede wszystkim to, co im najbardziej potrzebne: pomoc w nauczaniu się języka, w znalezieniu mieszkań, pracy, staramy się ofiarować im naszą przyjaźń. Możemy im jedynie proponować: przyjdźcie się z nami modlić. Spotkania są każdego dnia, msza w poniedziałki. Dajemy im informacje o mszy niedzielnej (normalnej, w kościele), o wykładach, konferencjach, spotkaniach. Tę mszę poniedziałkową określamy jako *partage d'Évangile*. To już istnieje 15 lat.

Jest to godzina modlitwy myślniej i dzielenia się tym, co się odkryło. Później liturgia mszy. Znak bardzo czytelny. Nie trzeba tłumaczyć, że wspólny stół — to jest wspólny stół, że chleb — to jest chleb. Nie wiem, czy koniecznie potrzebny jest drewniany kielich, mnie raził. Opisałem tak jak było, akcesoria są tam naprawdę nieważne. Ważna jest wiara tych, którzy są. Bardzo czytelny znak.

Krytycy tej liturgii powiedzieli mi, że, w Wieczerniku oraz w obozie, gdzie mszę św. odprawiano potajemnie, za drzwiami stał Judasz, więc to była autentyczna msza. Tu już nawet Judasza nie ma. Za drzwiami jest tylko obojętna ulica i samotny tłum.

*

Dla uniknięcia nieporozumień pragnę dodać, że we Francji około 85 proc. chrzci dzieci, posyła je do pierwszej (uroczystej) komunii św., i chce pogrzebu religijnego dla swoich zmarłych. Tych, którzy uczestniczą we mszy św. niedzielnej, jest około 15 proc. Biorąc pod uwagę fakt, że nawet te trzy wymienione liturgiczne przeżycia wielkich momentów życiowych świadczą przeciw tezie o całkowitej desakralizacji społeczeństwa, zdaję sobie sprawę, że omawiany tu problem dotyczy jednego tylko fragmentu bogatej rzeczywistości.

JESZCZE O PROBLEMIE POWOŁAŃ

Rozmawiałem z księdzem Xavier Thévenot, asystentem z Instytutu Katolickiego. Pracuje na wydziale teologii dla

świeckich. Jest salezjaninem. Mieszka w małej wspólnocie: kilku księży i kilku kleryków, którzy dochodzą na wykłady do Instytutu. Mówił, że ta forma seminariów jest coraz powszechniejsza we Francji. Opowiadał też o nowej formie przygotowania do kapłaństwa. Chodzi o coś pełniejszego niż księży-robotnicy, chodzi o robotników-księży. Są to ludzie pracujący, którzy pozostając w swoim środowisku, jednocześnie odbywają studia przygotowujące ich do kapłaństwa; oczywiście to przygotowanie trwa dość długo. Bodaj że do tej pory żaden nie ukończył studiów. Oczywiście istnieje problem, czy ludzie ci będą chcieli i mogli żyć w taki sposób, jak żyją „normalni” księży. Wydaje się, że nie, że styl życia tych nowych księży będzie zupełnie inny. Mówił też o dość licznych świeckich studiujących teologię w Instytucie, ludziach żonatych, którzy mają nadzieję, że Kościół zdecyduje się na udzielenie im święceń. Chcą więc być gotowi w chwili, kiedy taka decyzja zostanie podjęta. Czy do tego dojdzie? Xavier obrazowo ujmuje swoje przewidywania w ten sposób: kiedy biskupi po jednej stronie biurka będą mieli, stos podań z prośbami parafii o księży, których zaczyna brakować, z drugiej zaś strony stos podań o święcenia złożonych przez poważnych, przygotowanych ludzi, będą wręcz zmuszeni do podjęcia decyzji. Xavier widzi w tym działanie Ducha św.

W PARAFII ST. MANDÉ

W parafii Saint-Mandé na obiedzie. Któryś z siedzących przy stole księży ucieszył się, że ma okazję usłyszeć coś o Polsce: My się tu właściwie słabo orientujemy. Mówi się u nas: „Polski Kościół, wstrętne tradycyjny”. „Przerost ryty nad życiem”. Mówili sporo o swoich sprawach. Zaangażowani w kłopoty biednych ludzi, widzą doskonale, jakim ograniczeniem wolności jest tu być biednym czy nawet nie być bardzo biednym. Ludzie, którzy na tym przedmieściu Paryża mieszkali całe życie, wynajmując mieszkanie, są teraz wyrzuceni do mieszkań zastępczych (dostają sporą sumę jako odszkodowanie i zwykle przenoszą się na jeszcze dalsze przedmieście Paryża), ponieważ właściciele rozbierają stare budynki i budują na ich miejsce domy nowoczesne, tzw. wysoki standing. Najwłaściw-

szym rozwiązaniem, zastosowanym zresztą dzięki gwałtownej interwencji syndykatów w dzielnicy, w której mieszkańcom obecnie, jest „system szufladowy”; polega to na tym, że buduje się dla dawnych lokatorów tymczasowe budynki w pobliżu rozwalanych starych, a po zbudowaniu nowych dawni mieszkańcy mają pierwszeństwo i chyba lepsze warunki płatnicze, by tam się wprowadzać. Zważywszy z jednej strony ważność zakorzenienia społecznego w dzielnicy, co zwłaszcza na przedmieściu ma wielkie znaczenie, i to, jak wiele pieniędzy przez lata zamieszkiwania wpłacili do kasy właściciela, rozwiązanie rzeczywiście sprawiedliwsze. Trzeba walczyć, powiadają ci księża, a socjaliści, komuniści, marksiści tę walkę tu inicjują. Ci właściciele, to przeważnie bardzo dobrzy parafianie. Ale mentalność tych ludzi jest bardzo specjalna. W sprawach pieniędzy potrafią być twardzi jak stal. Kiedy wyprowadzałem się z pokoiku na poddaszu za który płaciłem tyle ile np. w Valence płaci się za dwa pokoje z kuchnią i łazienką, właścicielka, skądinąd sympatyczna, kulturalna pani, pierwsza rzecz przypomniała mi, że ponieważ nie uprzedziłem miesiąc wcześniej, muszę zapłacić dodatkowo za miesiąc, w którym nie będę już mieszkał. Na szczęście miałem lokatora na moje miejsce. O tej zasadzie zresztą nie wiedziałem i przy wynajmowaniu pokoju nie byłem uprzedzony. Od lat nie inwestują nic w ten pokój, w tym samym domu mają dwa czy trzy mieszkania, które kupili przed laty i teraz je wynajmują. Kupili je, kiedy mieszkania były tańsze (1/5 ceny obecnej).

*

Po obiedzie rozmawiałem z Jean-Luc o ich pracy: nie sprowadzają prawie wcale. Są co prawda dyżury, ale mało ludzi przychodzi. Mają dyżury w kancelarii, tam normalne formalności, ale i sporo ludzi, którzy chcą porozmawiać z księdzem. Główny nacisk na kontakty: z każdą rodziną, która chrzci dziecko, z małżeństwem pobłogosławionym itd. Katechizację prowadzą świeccy. Bardzo liczna grupa. Traktują to jako pracę społeczną.

O organizacjach Jean-Luc mówi, że są w stanie upadku, że młodzi do nich nie wstępują. Twierdzi, że w tym układzie pracy są bardzo zajęci. Tu gdzie teraz mieszkam: kościół otwiera się jedną minutę przed mszą św. o 8. Na

mszy około 10 osób. Przygotowuje wszystko ksiądz. Zakrystian przychodzi po mszę. Dziś odprawiał kto inny. Przyszedłem 5 minut przed mszą i zastałem go już przy ołtarzu. Klęczał w albie, przed tabernakulum. Na ołtarzu leżał przygotowany ornat. Ubrałem się do koncelebry i klęknąłem obok niego. Przywitał się ze mną (do tej pory właściwie nie rozmawialiśmy, mieszkam tu kilka dni zaledwie) spytałem czy mogę koncelebrować i na uderzenie zegara rozpoczęliśmy mszę. Na zakończenie życzył dobrego dnia uczestnikom bardzo prosto i naturalnie. Msza w dzień powszedni jest odprawiana w bocznej kaplicy. Kościół duży neoromański.

KARDYNAŁ JEAN DANIÉLOU

20 maja 1974. Machinalnie otwarte radio. Środek jakiejś audycji. Ruch ręki, żeby poszukać czegoś innego i nagle uświadamiam sobie, że mowa o kardynale Daniélou... w czasie przeszłym.

Fragment dawnego radiowego wywiadu. Jacques Chancel: „Czy ksiądz boi się śmierci?”

Kardynał: „Śmierć... jakkolwiek by rozumieć, zawsze w końcu trzeba powiedzieć, że śmierć jest czymś trudnym, jest ostatecznym pozbawieniem wszystkiego. Ja wierzę w miłość Boga i całe moje ubóstwo, całą moją nędzę składam w Jego ręce. W tym sensie mogę powiedzieć, że nie boję się śmierci. Ale nie w sensie stoickim. O, proszę pana, ja nie mam w sobie nic z herosa. W armii nie przeżywałem bohaterskich walk, byłem zaledwie drugiej klasy (nie rozumiałem czym), nie byłem bohaterem.

Jacques Chancel: „Ale dziś jest ksiądz kardynałem...”

Kardynał: „Że co?... A tak. Ale nic z herosa. Cierpienie budzi we mnie grozę, a śmierć to cierpienie największe...”

Potem komunikat, że dziś, 20 maja, na atak serca, nagle.

Wieczorem w telewizji powtórzenie innego wywiadu. Kardynał pod drzewami, jak zwykle gestykulujący, ożywiony, przejęty. Mówi o istnieniu szatana.

*

Wszyscy, którzy u niego studiowali, wspominają go jako niezwykłego profesora. Był uważany za jednego z naj-

lepszyc, jeśli nie najlepszego znawcę starożytnego chrześcijaństwa. Napisał o nim M. J. Rondeau, że „studiował dokumenty historyczne tak, jak się studiuje archiwum rodzinne”.

Kiedy został dziekanem wydziału teologicznego w Instytucie Katolickim (1962), potrafił zmienić klimat, jaki tam panował. Nie był stróżem przepisów, inspirował badania naukowe. Kładł nacisk na indywidualne traktowanie studentów. Już wcześniej, jako profesor „źródeł chrześcijaństwa” (od 1943) sprawił, że patrologia przestała być na wydziale traktowana jak uboga krewna.

Francois Mauriac powiedział o nim, że otrzymał wszelkie laski. Laski laskami, ale ileż pracy w życiu tego człowieka! Ogromna lista książek, artykułów. I co za książki! Jedna za drugą wymagające wielkiej kompetencji. Studia dotyczące starożytności chrześcijaństwa, ale także podejmowanie pytań, jakie stawia chwila obecna. Podejmowanie ich z pozycji erudyty, ale także z pozycji księdza, który nigdy nie przestał być w kontakcie z ludźmi. Książki pisane dla ludzi i z ludźmi. Wiele z nich powstawało jako wykłady i jako materiały seminariów naukowych. Czuje się w nich konfrontację z człowiekiem.

Leży u mnie na biurku bodaj ostatnia jego książka: *Dlaczego Kościół?* Pierwsze zdanie określa kierunek dalszego ciągu: „Jezus Chrystus porywa dziś wielu ludzi, jednak nie widzą oni żadnej racji, dla której mieliby. Kościół uznawać za środek ułatwiający zbliżenie do Jezusa. Wprost przeciwnie, Kościół jest dla nich raczej przeszkodą w owym zbliżeniu...”

*

Był bardzo znany. Pamiętam okresy, że co niedziela, kiedy otwierałem radio, słyszałem jego głos biorący udział w dyskusji.

Kiedyś przed zebraniem, które miało być transmitowane przez radio (a niebawem po wystąpieniu telewizyjnym kardynała z racji przyjęcia go do Akademii Francuskiej) zapytał go ktoś, czy ma tremę przed tego rodzaju wystąpieniami? Odpowiedział, że najmnieszej, że się po prostu przyzwyczaił.

Miał całą masę ludzi sobie niechętnych. Mówiło się wśród księży, profesorów i działaczy katolickich, że mówi

zbyt często, że na wszystkie tematy, że to nie jest poważne.

Teraz w różnej formie wracają do tych spraw wspomnienia pośmiertne w prasie. Ktoś napisał, że tym się różnił od innych dostojników kościelnych, że z pasją i pośpiechem zabierał głos w sprawach spornych, dyskutowanych, przynoszonych na falę dnia, podczas kiedy inni zwykle wolą tereny i formy bezpieczniejsze. Ale on był właśnie taki, jaki był. Mówił mi ks. Robert Jorens, który kiedyś mieszkał z kardynałem w jednym domu, że rozmawiał z nim o tych zarzutach. Kardynał przyznawał rację, mówił, że właściwie nie chce zajmować się innymi sprawami niż jego specjalność, to znaczy początki chrześcijaństwa. Ale po kilku dosłownie dniach ogłosił artykuł włączając się w dyskusję na temat konferencji episkopatów. Nie wytrzymał.

Przyjaciele i współbrat zakonny, jezuita Xavier Tilliet tłumaczył to tym, że kardynał był człowiekiem *merveilleusement disponible*, że z reguły nie odmawiał i w kalendarzu nie miał zwyczaju zostawiać wolnego miejsca; mówi również o „zmyśle pośpiechu”. To określenie jest bardzo trafne. Tak było jeśli szło o potrzebę zabrania głosu natychmiast, kiedy widział jakiś problem; tak było w całym sposobie życia. Ile razy widziało się go pędzącego z wielką teką w stronę metra czy Instytutu Katolickiego. Władimir d'Ormesson w przemówieniu witającym go w Akademii (odczytał je Jean Guilton, bo d'Ormesson już nie żył) prównywał nowego członka grona Nieśmiertelnych z jego poprzednikiem na tym miejscu, kardynałem Tisserant. Tisserant, z patriarchalną brodą, wielkiego wzrostu, imponujący i dostojny, mogący godzinami trwać nieruchomo podczas ceremonii liturgicznych — i Daniélou, który jest nieustannie w ruchu, który ani przez chwilę nie może usiedzieć spokojnie, w biskupiej pelerynce i z przekrzywionym biretem na głowie biega po kościele tuż przed rozpoczęciem ceremonii pontyfikalnych.

Przypominam sobie takie nabożeństwo. Tak to właśnie wyglądało, tyle że Kardynał był w garniturze a nie w birecie i pelerynce.

Wspomniany jezuita-przyjaciel napisał, że istotnie można krytykować niektóre wystąpienia publiczne Daniélou, że zdarzyło mu się grzeszyć nieprzygotowaniem, że nieraz

mówił balagańsko, że nie zawsze był „w formie”, że bywał roztargniony, ale też pierwszy gotów do śmiechu z tych roztargnień.

I był ujmująco miły, prosty, naturalny, kiedy przemawiał publicznie i kiedy rozmawiał z kimkolwiek. W artykułach o nim odmienia się wciąż przymiotnik „promienny”.

Nieraz patrzyłem na niego, kiedy w utworzonym przez siebie „Kole św. Jana Chrzciciela” siedział w tyle sali podczas wykładów i wydawało mi się, że jest bardzo zmęczony. Ale kiedy po wykładzie podchodził do każdego, żeby się przywitać, kiedy rozmawiał, a potem odprawiał mszę św. i mówił homilię — był znów jak rtęć. Zapalał się, gestykulował, promieniał...

*

Był też jeden powód, dla którego w pewnych środowiskach katolickich widziano w nim coś w rodzaju „czarnej owcy” (radio i telewizja nie omieszkały tego podkreślić zaraz w pierwszym komunikacie o śmierci). Przez wiele lat uważany za duchowego przywódcę postępu w Kościele, czołowy reprezentant „nowej teologii”, stał się zdaniem wielu „integrystą”, stał się członkiem instytucji. Mówiono o sklerozie, o nienadążaniu za duchem czasu. Na to wszystko Jean Daniélou miał jedną odpowiedź: ze wszystkich sił, gdzie tylko mógł, przeciwstawiał się laicyzacji chrześcijaństwa, degradującemu Tajemnicę, zeświecczeniu religii. To było w pełni świadome. Miał odwagę być niemodny, niepopularny. Przecież wiedział...

*

Znam ludzi, którzy na wzmiankę o ojcu Daniélou reagowali alergicznie. Nigdy nie udało mi się tego do końca zrozumieć. Można się z kimś nie zgadzać, ale aż tak?... Miał wrogów. Letni nie mają wrogów. Kardynał nie należał do letnich. Kiedy został kardynałem, nie zlecono mu w związku z tym żadnej określonej funkcji. Musiał sam określić swój życiowy status kardynała. Kiedy potem w 1969 otrzymał sakrę biskupią w małym kościele Instytutu Katolickiego, grupa kontestujących jego wyniesienie zasypała kościół ulotkami z ironicznym pytaniem: „Biskupie, gdzie jest twój lud?”

Strzał, trzeba powiedzieć, bez prochu i chybiony. Miał swój lud. Bardzo specjalny, to prawda. Środowisko intelektualistów, artystów, pisarzy, młodzieży, ludzi szukających, marginesy społeczne.

Niedawno słyszałem, że podczas ostatniej bytności w Rzymie kardynał Marty pytał ojca św. o możliwość mianowania biskupów — jak to określił — socjologicznych, to znaczy dla określonych środowisk, jak robotnicy, studenci itd. Papież miał odpowiedzieć, że tak, że niech o takich biskupów proszą, a z radością ich mianuje. Ale nie poprosili. Przyznają, że to w tej chwili zbyt trudna sprawa: środki materialne, swoboda skutecznego działania, określenie kompetencji...

*

Wszyscy niemal pisząc teraz o Zmarłym wspominają jego matkę. Podobnie zresztą, kiedy wkraczał do Akademii. Wspaniała, wielka tradycja rodzinna zaangażowania społecznego. Pani Magdalena Daniélou niezmiernie wykształcona, założycielka kilku szkół.

Wszyscy też starają się wymienić co znakomitszych przyjaciół kardynała: Emmanuel Mounier, Edmond Michelet, Jean Cocteau, Daniel-Rops, Mauriac, d'Ormesson, Gabriel Marcel...

Kiedy usłyszał, że przyjechał ktoś z Polski, reagował wspomnieniem ks. Kardynała Wojtyły, o którym mówił z zachwytem i serdecznością.

*

Nie napisałem tu nic o pracy naukowej Jean Daniélou. Mało kto na to się w tej chwili odważył. Najlepszym opracowaniem jakie znalazłem w prasie wydaje mi się przemówienie d'Ormessona na przyjęcie do Akademii. D'Ormesson śledził na bieżąco działalność naukową przyjaciela.

Moje małe doświadczenie: polskie tłumaczenie książki *Bóg i my* okazało się doskonałą pomocą na konwersatoriach w duszpasterstwie akademickim.

*

Na biskupim krzyżu Jean Daniélou polecił wygrawerować napis: *Fluvium aquae vitae*.

Wydany po śmierci kardynała Daniéλου komunikat Sekretariatu Episkopatu Francuskiego informował, że zmarły kardynał pełnił swoją misję apostolską w środowiskach najbardziej zaniedbanych moralnie. Odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób on sam swoje powołanie pojmował, trzeba szukać w jego pismach. Tak się złożyło, że sam kardynał Daniéλου wskazał, gdzie należy sięgnąć, by taką odpowiedź znaleźć. 29 czerwca 1973 roku w kościele Saint-Jacques-du-Haut-Pas celebrowano mszę żałobną za msgr. Guimeta, kościelnego doradcę ambasady francuskiej przy Stolicy Apostolskiej i dawnego kapelana paryskiej parafii uniwersyteckiej. Podczas liturgii „oddano głos zmarłemu”, odcytując jego piękny tekst. Kiedy kardynał Daniéλου wychodził z kościoła, ze zwykłą sobie spontanicznością powiedział do towarzyszących mu przyjaciół, że życzyłby sobie, by na jego pogrzebie również odczytano jakiś jego tekst i dodał, że ten, o którym myśli, znajduje się w *Essai sur le mystère de l'Histoire*. Hałas uliczny, a może i wewnętrzna powściągliwość sprawiły, że nie powiedział, o które teksty mu chodzi. Ale kiedy po jego śmierci przyjaciele, chcąc spełnić tę tak wyraźnie wypowiedzianą wolę, przeglądali wskazaną książkę, natrafili na stronicę, które tak idealnie i z takim osobistym przekonaniem odpowiadała na pytanie, jakie pobudzana przez prasę opinia stawia sobie na temat jego śmierci, że nie było wątpliwości, iż to są właśnie te ustępy, o których zmarły myślał.

Niektóre wyrażenia, rozmieszczenie akcentów, rytmy, nawroty do tego samego tematu poprzez odmienne konteksty wyraźnie wskazują, że nie mamy tu do czynienia z retoryką, ani z dążącą do zbudowania literaturą, ani z analizą intelektualną. Jest to dokument jak najbardziej osobisty, o wymownej i przejmującej autentyczności. Daniéλου — może niechcący — pokazuje się tu cały. W podwójnym porywie wiary i miłości znajdujemy tu niezwykłą jasność widzenia i niezwykłą nieustraszonność. Daniéλου jest w tym tekście głęboki, odmienny od tego, jakim ukazywał się w życiu codziennym. Spotykamy człowieka, który usłyszał wezwanie i pomimo oporów natury tylko Bogu zaufał i na wezwanie odpowiedział. W świetle tego tekstu śmierć

* Wstęp przyjaciół o. Daniéλου opublikowany z wybranym tekstem zmarłego kardynała.

ojca Daniélou ukazuje się jako logiczne zamknięcie jego życia i jego duchowego przeznaczenia, które z całą świadomością zostało wypełnione.

H. de Lubac, S.J.
M. Meslin, profesor Sorbony
M.-J. Rondeau, profesor Uniwersytetu w Caen

TEKST ODCZYTANY NAD TRUMNA

Smiałość

Dla śmiałości apostoła punktem wyjścia jest fakt, że dzieło, które spełnia, nie jest jego własnym dziełem, ale że jest on sługą i wykonawcą dzieła, które go przerasta. (...) Apostoł to człowiek, który sam z siebie wcale nie ma pojęcia do dzieła, do jakiego został powołany; bardzo często odczuwa głęboki lęk przed tym dziełem i dobrze widzi wszystkie jego niebezpieczeństwa. Tym, co go skłania aby stać się wysłannikiem Ewangelii, nie jest naturalne zamiłowanie do działania, ale po prostu fakt, że Bóg go pochwycił, by uczynić zeń swojego wysłańca. (...) Od tej chwili wszystkie wątpliwości, wszystkie niepokoje i myśli o sobie przestają być ważne: kiedy się otrzymało misję — nie ma rady — trzeba ją wypełnić; mniejsza o okoliczności, w jakich się człowiek znajduje, mniejsza o trudności, jakie napotyka. (...) Mniejsza o niebezpieczeństwa. Życie apostoła z natury rzeczy jest niebezpieczne. On jest nieustannie narażony na sprzeczności ze strony braci, żywiołów i aniołów. Mniejsza o to, trzeba wypełnić misję; tylko o to chodzi i stąd płynie jego spokojna pewność. (...) Dla wypełnienia misji apostoł musi iść do końca. A jest tym spokojniejszy, im bardziej wie, że to wszystko nie od niego pochodzi, że nie na siebie może liczyć, że po ludzku biorąc wszystko ma przeciw sobie. (...)

Na czym polega to pewność? Jak będzie się ona przejawiać? Można by ją określić jako zdolność do spokojnego (a to jest bardzo ważne), równego, pozbawionego napięć i gwałtowności stawiania czoła wszystkim trudnościom, wszystkim sprzeciwom, niebezpieczeństwom i przeszkodom, jako zdolność do nieprzejmowania się niczym, skoro — raz jeszcze — misja musi być wypełniona. (...) Tu ukazuje się niezawisła wolność apostoła, który jest swobodny w stosunku do wszystkich rzeczy ludzkich, swobodny w ubó-

stwie czy w dostatku, zdolny do kontynuowania swojego posłania wśród najrozmaitszych okoliczności, skoro ważne jest tylko to, by móc nieść to posłanie. (...)

W świecie pogańskim Ewangelia pojawia się jako przestępstwo publiczne. (...) Apostoł naraża się na pędzenie życia w okolicznościach ryzykownych. Troska o zabezpieczenie materialne nigdy nie powinna mu przeszkodzić w pełnieniu jego misji, jaką jest Ewangelia. W dziejach wszystkich wielkich misjonarzy, wszystkich wielkich apostołów odnajdujemy ową wolność pośród zewnętrznych niebezpieczeństw, ową pewność zbudowaną na ufności. Nie ma tu mowy o przyjemności, jaka płynie ze stawiania czoła niebezpieczeństwom (...) ani o poszukiwaniu życia niebezpiecznego dla niego samego: to jest po prostu spokojna ufność, że jest się w ręku Boga i że wskutek tego wszystko, co nam się zdarzy, przyjdzie za zezwoleniem Boga. (...)

Jest wreszcie trzeci rodzaj niebezpieczeństw, na jakie naraża się apostoł: rodzaj najgroźniejszy. Apostoł staje do boju nie tylko przeciw ciału i krwi, ale przeciw Potęgom i Panowaniom i przeciw mocom zła. (...) Misja to walka duchowa, a stawką jej są dusze; to walka rozgrywająca się na głębiach, gdzie dusze trzeba wydrzeć więzącym je mocom. Apostoł wie, że wkracza do najniebezpieczniejszej z walk. Wie, że złe moce zrobią wszystko, by go zatrzymać i by nie pozwolić mu osiągnąć celu. Wie, że skoro jest apostołem, naraża się na wszystkie pokusy i na wszystkie wewnętrzne próby; wie, że Bóg pozwoli, by był kuszony, gdyż właśnie pośród pokus odniesie prawdziwe zwycięstwo. Dlatego nigdy nie będzie się lękał stawać przeciw tym niebezpiecznym mocom, bo wie, że będzie w ręku Boga. Wie, że Chrystus już zwyciężył, w Męce i Zmartwychwstaniu.

Uboństwo

Święty Paweł działa całkowicie spokojny i ufny, ponieważ doskonale wie, że to nie on działa, ale działa w nim moc Boga. I to jest cała jego siła: wie, że jest narzędziem Boga i że ma misję do spełnienia, więc ją spełnia. (...)

Prawdziwą historią świata jest ten konflikt duchowy, rozgrywający się stale wokół nas, wokół dusz pomiędzy siłami Chrystusa a przeciwstawiającymi się Jego siłom mocami. (...) Święty Paweł cały daje się ogarnąć temu kon-

fliktowi, cały się weń włącza i stąd jego postawa jest absolutnie przeciwna jakiegokolwiek ucieczce, jakimukolwiek poszukiwaniu osobistego spokoju, jakimukolwiek chronieniu się przed burzami, które miotają ludzkością. Wprost przeciwnie, istnienie Pawła jest umieszczone w samym sercu duchowego dramatu ludzkości, w tym, co Péguy nazywał „sercem nędzy”. Tym sposobem Paweł zostaje wciągnięty w niesłychaną przygodę, która narazi go na wszelkie niebezpieczeństwa, każe mu przeżywać najtragiczniejsze okoliczności, dlatego, że jego życie zostało tak całkowicie oddane, że on już sobą wcale nie rozporządza. Ubóstwem apostołskim możemy nazwać (...) właśnie to wyzucie się ze wszystkiego, przez które apostoł, szukający jedynie Boga i dusz, pozwala się wszystkiego pozbawić. (...)

Święty Paweł jest człowiekiem zgubionym, człowiekiem ściganym. (...) Przede wszystkim stracił dobre imię i na to kładzie największy nacisk. To pierwsze dobro, jakiego się wyrzekł. (...) Zgodził się na to, by stać się człowiekiem o złej reputacji, odrzuconym, wzgardzonym, uchodzącym w oczach świata za szaleńca. Tak samo dzieje się ze wszystkimi, którzy Chrystusa wzięli na serio. Za każdym razem świat uważa, że to szaleństwo. Ktoś, kto choć trochę zechce wziąć na serio ubóstwo Chrystusowe, będzie uchodził za oryginała. Oskarży się go o chęć wyróżniania się. Będzie się mu wyrzucać, że nie stosuje się do zwyczajów społeczeństwa, w jakim żyje. (...) To pewne, że chrześcijaństwo, takie jakie nieraz widzimy w dzisiejszym świecie, nie wywołuje wiele zgorszenia! (...) Ale to nie jest chrześcijaństwo, które mogłoby choć trochę przemienić świat. (...)

Święty Paweł wyrzekł się także pewnego wewnętrznego komfortu. (...) Musimy pamiętać, że oddanie się Bogu, nawet w życiu kontemplacyjnym, nie jest szukaniem spokoju, ale wyruszeniem w sam gąszcz bitwy. (...) Chrystus Pan przynosi nam życie wewnętrznie zaangażowane w samo jądro cierpienia ludzi i nędzy świata. (...)

Kiedy troszczymy się o to, co inni o nas myślą, kiedy chcemy zatrzymać ich uczucia, a nie umiemy już ich widzieć takimi, jakimi są — to wszystko ulega zatruciu. (...)

Czyż nie doświadczamy, że to właśnie ubodzy nas wzbogacają? Od ubogich wznosi się do nas wezwanie, które nas wzbogaca więcej od wszystkich darów. (...) Ileż razy zdarza nam się, że — kiedy robimy coś, co z punktu wi-

drenia człowieka natury jest nam przykre — znajdujemy w tym radość.

Szczerość

Pierwszym jej aspektem jest czystość intencji, to znaczy, że działając troszczymy się wyłącznie o osąd Boga, a nie o sądy ludzkie. (...) Normalnie (...) mało przejmujemy się tym, czym jesteśmy w oczach Boga i dlatego często zaniedbujemy to, co tylko Bóg widzi: ukrytą modlitwę, ukryte uczynki miłosierdzia. A staramy się usilnie o to, co — chociaż to robimy dla Boga — ludzie widzą i co angażuje naszą reputację. (...)

Jest rzeczą pewną, że Pawła oskarżono o interesowność i pożądanie sławy (2 Kor 7,2). (...) Czyż nie trzeba szukać żadnej chwały? Czyż trzeba ją odrzucać? (...) Były takie momenty, że święty Paweł czuł się zobowiązany do obrony i, jak sam mówi, do „chwalenia się”. (...) Paweł broni się, gdyż atakując go i kwestionując to, czym on jest, atakuje się również samo posłanie, którego on jest nosicielem. Paweł nie może się zgodzić, że się go krytykuje i zwalcza, ponieważ Słowo Boże mogłoby zostać przez to skrzepowane. (...) Ale tę obronę przeprowadza dlatego, że jest do niej zmuszony robi to ze względu na Koryntian, którzy się takimi rzeczami przejmują. W gruncie rzeczy, dla niego, to wszystko nie jest ważne. (...) Robi z tymi sprawami porządek i nie nadaje im większej wagi niż ta, jaką one mają. To nie jest istotne. Tylko łaska Boga sama nawraca serca.

Gorliwość

Nie można się pogodzić z grzechem. (...) Kościół jest oblubienicą Chrystusa jako „dziewica czysta”. Kiedy się widzi tę czystą Dziewicę, oblubienicę Chrystusową pociągniętą przez uwodzicieli, kiedy się widzi duszę odciąganą od wiary dlatego, że słucha fałszywych proroków — serce chrześcijanina cierpi i nie może się z tym pogodzić, ono tego nie znosi i nie wytrzymuje. Takie jest właśnie uczucie, które ożywia świętego Pawła w całym II liście do Koryntian. Niektóre ustępy brzmią tak, jak gdyby namiętność go pozerła. Odnosi się wrażenie, że gwałtowność zazdrości Boga przenika jego serce.

Zresztą w Bogu owej gwałtowności towarzyszy wielkie miłosierdzie. (...) Jednakże bezgraniczna wyrozumiałość nie może się obejść bez bezgranicznych wymagań. (...) A chociaż ludzie nieraz mogli zauważyć, że Chrystus przebywał z grzesznikami i kurtyzanami, nigdy nie było w Nim nawet najmniejszego współnictwa z grzechem grzeszników czy z grzechem kurtyzan. Łudzilibyśmy się sądząc, że fakt współnictwa z grzechem może być środkiem do pozyskania grzesznika. Co zresztą nie znaczy, że nie powinno się mieć ogromnej miłości i wielkiej wyrozumiałości dla grzeszników, ani nieskończonego miłosierdzia; jednakże to miłosierdzie tylko wtedy jest coś warte, kiedy w pewien sposób nieugięte. (...)

Gnoza

Trzeba by się dobrowolnie dać zaślepić zafalszowanemu optymizmowi, żeby nie widzieć, że ten świat jest „doliną łez”. To świat nędzy fizycznej i ekonomicznego zniewolenia. (...) Otóż człowiek nie ma prawa zasłaniać sobie oczu, kiedy jest na tym świecie tylu ludzi, którzy cierpią. Trzeba zrobić wszystko, by ulżyć temu cierpieniu i zwalczać te zniewolenia. Ale trzeba to robić z trzeźwością, wiedząc, że źródłem tych cierpień i zniewoleń jest grzech i że będą one trwać tak długo jak grzech, czyli tak długo jak historia. (...) Rzeczą apostoła jest żyć w sercu świata pogańskiego świata oddzielnego od Trójcy. Jego powołaniem jest noszenie w sobie rozdarcia tego oddzielenia. (...) To tajemnica Męki Chrystusa (...), Tego, który przyszedł szukać zaginionej owcy i wziąć ją na swoje ramiona — a to znaczy, że trzeba stać się tak solidarnym z grzeszną ludzkością, by w lęku Jego agonii jak On pragnąć odczuwać, że jest się oddzielnym od Ojca. (...)

Nadzieja

Tragicznym aspektem nadziei jest obawa o zbawienie drugiego człowieka. Apostoł to ten, który odczuł ten tragizm; ten, który zrozumiał, że dusze się zatracają; ten, którego miłość skłania, by żywił co do nich nadzieję i by w imię tej nadziei pełnił czyny miłości, jakie — być może — je zbawią.

Jean Daniélou: *Essai sur le mystère de l'histoire*

Thum. Anna Turowicz

YVANS

Nie przepadam za jazzem, ale Yvans nas zaprosił, zresztą chciałem go zobaczyć, kiedy gra. Czarny, giętki, podczas rozmowy nieustannie „skręca się w sobie”. Może nie jest to najładniejsze wyrażenie, ale trudno opisać te ruchy, coś pośredniego między kłanianiem się a pokładaniem ze śmiechu — z tym, że Yvans nie pokłada się ze śmiechu. Owszem, jest pogodny i często w uśmiechu szczyrzy swoje białe zęby, ale nie żeby się pokładał. Kiedy siedzi, jest tak jakoś zgięty, że przy jego małym wzroście sprawia wrażenie, jakby był skręcony w obarzanek. Poszedłem więc na ten koncert przede wszystkim ze względu na niego: zawsze się bardzo serdecznie witamy, choć nie bardzo możemy się dogadać, bo on po francusku mówi jeszcze gorzej niż ja. Chociaż nie była to żadna „Olimpia”, tylko dość obskurna sala, bilety kosztowały drogo, nie było żadnych plakatów w mieście, tylko jeden przed budynkiem i to okropny, a do tego przez cały wieczór lało i przypuszczałem, że w zaproszeniu nas chodzi też trochę o „robienie tłumy”. Jednak kiedy trochę spóźniony wszedłem na salę (koncert zaczął się punktualnie co do minuty, tak jak to było podane na afiszu: 21.30), sala była pełna, ludzie nawet stali i siedzieli na podłodze. Przeważnie młodzi, ale nie tacy ze szkoły, tylko w wieku studenckim i postudenckim. Nie opisuję, jak byli ubrani, bo stroje u nas uważane za dziwaczne i ekscentryczne tu są tak dalece normalne (kupuje się je w sklepie, słono zresztą płacąc), że przestaje się na nie zwracać uwagę. Więc na scenie orkiestra, duża, dwadzieścia kilka osób, z całym swym sprzętem muzycznym, lśniącymi trąbkami w rękach i na stojakach, bardzo dużo tych trąbek, saksofonów itp., a przed każdym na sznurku zawieszony mikrofon. Przed zespołem przechodził się wielki Murzyn z trąbką, trochę dyrygując. Pomy-

ślałem, że po przerwie dyskretnie sobie pójdę, bo hałas, jaki robili, nie wydał mi się specjalnie oryginalny ani interesujący. Yvansa zobaczyłem od razu, siedział na samym przodzie, jak zwykle skręcony w sobie i wcale nie grał, tylko trzymał saksofon i palił papierosa. Ci, którzy stali i siedzieli na scenie, byli mieszkanką narodowości i kolorów skóry, z przewagą koloru czarnego i żółtego, bardzo młodzi chłopcy i nieźle już starsi panowie.

Więc najpierw był ten zwykły hałas instrumentów dmuchanych, na który w domu reaguję zamknięciem radia, ale tu nie można było niczego zamknąć, i całe szczęście, bo czegoś takiego jak to, co nastąpiło potem, w życiu nie słyszałem. Szkoda, że nie znam się na jazzie i nie potrafię opisać tej muzyki. Było coś niewiarygodnego, kiedy z początkowego hałasu zaczęła się wyłaniać muzyka pełna słodyczy, potem ta skłódka muzyka została rozbita niesłychanie czytelnie „opowiedzianą” tragedią walgi, zniszczeń, a wreszcie — ale to już po przerwie — muzyka tryumfująca, wspaniała, o nasilającym się rytmie, niemal przez godzinę trzymała salę na wstrzymanym oddechu. Kiedy w ostatniej części koncertu kolejno podnosili się ze swoich miejsc muzycy, jakby nieobecni, skupieni, zastygnięci i kolejno włączali swe instrumenty w szalejącą burzę, była to ich i widowni także — wielka liturgia. Na sali nikt nie krzyczał, nie skakał, tylko niektórzy, ogarnięci rytmem, nieznacznymi ruchami uczestniczyli w misterium. A kiedy był już koniec (dochodziła północ) i sala została zwolniona z tego napięcia, nikt nie poruszył się z miejsca, tylko oklaski, które bardzo szybko stały się zbiorową kontynuacją tamtego rytmu, nie chciały ustać. Wiadomo było, że muzycy nie zaczną ponownie, bo oni spokojnie pakowali instrumenty, wciągali płaszcze, szukali parasoli, zapalali papierosy, schodzili ze sceny i przez salę szli do wyjścia, więc choć wiadomo było, że nie będzie dalszego ciągu koncertu, widownia siedziała i klaskała przedłużając obecność tamtego rytmu jeszcze bardzo długo, aż wreszcie zaczęto wychodzić, spokojnie, nie w jakiejś wielkiej ciszy, ale też nie w rozgardiaszu, zatrzymując się jeszcze przed budynkiem, a potem roztapiając się w lśniącym od deszczu bulwarze Raspail.

Chciałem powiedzieć Yvansowi o tym, co przeżyłem, ale on właściwie najbardziej się cieszył z tego, że przyszł-

my — grupka jego przyjaciół — i fundował coca-cole, skręcony w sobie, uśmiechnięty, jakby to jakiś inny Yvans przed chwilą stał z ekstatycznymi oczyma, z ogromnym saksofonem przy twarzy, włączony w tamto misterium rytmu i dźwięku. Zostawiłem ich i z otwartym parasolem poszedłem opustoszałą ulicą, zmartwiony, że ani trochę lepiej nie poznałem Yvansa, co najwyżej dowiedziałem się, że pewnie nigdy go nie poznam, zdolny jedynie zbliżyć się do granicy jego świata, w którym werbalizowanie przeżyć i myśli nie jest potrzebne.

KONCERT OJCA DUVALA

Wielką fotografię Aznavoura przed wejściem do „Olimpii” zastąpiła dziś równie wielka fotografia ojca Duvala. Na jeden dzień. Przed rozpoczęciem koncertu nadawano z płyt jego piosenki. Na scenie najzwyczajniejsze krzesło, na podłodze gitara, butelka wody mineralnej i szklanka, mikrofon. Nie było uroczystego wejścia, konferansjera itp. Jego obecność zauważono, kiedy już siedział na tym swoim krześle i brząkał manipulując przy gitarze. Więc oczywiście oklaski a potem koncert, recital, czy jak kto tam woli, a w gruncie rzeczy wielkie kazanie o miłości Pana Jezusa, o którym mówił *Monsieur Jésus Christe*, i o miłości człowieka, z którym Jezus się utożsamił. Na tej samej scenie, gdzie w głośnym *Hair* aktorzy, rozbierając się co jakiś czas do rosołu i goluteńcy biegając po scenie w dość zawły sposób usiłowali wyrazić przypuszczenie, że może krzyż jest odpowiedzią na dręczące naszą epokę pytania, jezuita z gitarą w najprostszych słowach mówił o ludzkim życiu, o swoim życiu, o ludziach, których spotykał, o dzieciach, kłoszardach i alkoholikach, mówił wprost o tym, co jest napisane w Ewangelii, o Panu Jezusie i o modlitwie, w której trzeba prosić, „bym zrobił dla mego nawrócenia tyle, ile mogę zrobić, a to, czego nie mogę... to już On”. Mówił o tym, jak w dzieciństwie razem z matką i rodzeństwem oczekiwali na powrót ojca pracującego w polu w odległej dolinie i jak przez wzgórze niosło się echem trzaskanie ojcowego bata, którym dawał znak, że już wraca, jak cały dom zastygał w oczekiwaniu i było słyhać ten niosący się przez góry głos: „... wracam...” Opowieść przechodziła w śpiew „Kiedyś powróci Pan”.

potem śpiew w opowieść, porywającą, żarliwą, naturalną.

Kiedy w jakimś momencie na scenę wgramolił się zwiariowany poeta, ojciec Duval nie pozwolił wykidajłom, którzy już, już się zbliżali wyrzucić biedaka, przytaknął głosowi z sali, że „to też jest Jezus”, przeczytał głośno jakiś podsunięty przez poetę wiersz, pozwolił, by ten przeszkadzał mu i co jakiś czas odczytywał coraz gorsze wiersze. Na szczęście wiersze się skończyły czy przyływ euforii minął i poeta sam sobie poszedł.

Ci, co kiedyś już słuchali ojca Duvala, mówili: to nie ten Duval co dawniej, nie ten sam głos, nie ta energia. Kilka razy włączano płyty i ojciec śpiewał razem z sobą z płyty. W czasie przerwy podpisywał płyty aż do wyczerpania długopisu, popijał wodę prosto z butelki, bo szklankę zabrał pomyłony poeta. Na zakończenie nie kłaniał się publiczności. Podziękował, powiedział, że nie sprostał zadaniu i poszedł za kulisy z gitarą pod pachą.

Duval na scenie „Olimpii” przy Wielkich Bulwarach w Paryżu nie przestał ani na moment być księdzem opowiadającym Ewangelię. I nagle okazało się, że są słowa i są treści, które mogą pozwolić sobie na rezygnację ze wszystkich teatralnych sztafaży, nic na tym nie tracąc, że wystarczy żarliwy człowiek, który zaświadczy i powtórzy to, co powiedział *Monsieur Jésus Christe*.

Kilka dni później dowiedziałem się, że ojciec Duval jest poważnie chory. To był podobno jego ostatni koncert.

LEBENSTEIN — MĘDRZEC

Wchodzisz z wąskiej uliczki des Ecouffes (w starym, „czwartym” Paryżu), przez podwórze, schodami aż rozrzutnie szerokimi w tak natłoczonej dzielnicy i jesteś w tym niezwykłym wnętrzu, w którym rodzą się *les créatures abominables de Lebenstein*, jak je określił francuski krytyk J. D. Rey, zresztą nie on jeden, bo te *abominables, bestiaire, les monstres i monstri* powtarzają się w tytułach różnych recenzji. Kiedy krytycy pakują go do różnych szuflad, kiedy przyczepiają mu rozmaite etykiety, Mistrz uśmiecha się bez złości i macha ręką, pokazując te teksty, a mnie odchodzi odwaga pisania o nim, bo nie chcę, żeby machnął ręką, ani żeby z tego spotkania, tak niezwykłego, wyszło jakieś ple-ple, więc mówię, że nie umiem

pisać o sztuce, że się nie znam, na co on, że przecież nie chodzi o pisanie, ale o spotkanie, o to żeby się poznać, porozmawiać.

A kiedy znakomitą jajecznicę na kielbasie — dzieło Zygmunta — popiliśmy już czerwonym winem, Lebenstein podnosi się, żeby pokazać obrazy, które stoją oparte o siebie przy ścianie. Dźwiga jeden za drugim, stawia na sztalugach i czeka, żebym się przypatrzył. Nic nie mówię wobec tej eksplozji wyobraźni i mądrości, której malarz nie lubi ubierać w słowa. Stawia obrazy kolejno i czeka, nie podejmując komentarzy Zygmunta, najwyżej podaje tytuł obrazu. Niektóre omija, przekłada bez pokazywania; nie pytam dlaczego, bo i tak czuję się zaszczycony dopuszczeniem do owej galerii stworów zwierzo-człowieczych.

Spytałem jedynie, czy maluje także rzeczy o tematyce religijnej, bo witraże w „Centre du Dialogue” paryskich pallottynów... na co on, że nie, że tamto było tylko jeden raz, pierwszy i ostatni. Że nie można. Więc ja — dlaczego nie można? na co on, pół zdaniem i gestem, że to zbyt wielka sprawa, malarstwo religijne...

Znany kiedyś jako malarz malujący dzieła niefiguratywne, Lebenstein ponoć został sprowokowany przez Miłosza, który powiedział mu: „słuchaj Janku, ty jesteś malarz, a krowy namalować nie potrafisz”. Na drugi dzień od rana przystąpił do sprawdzania, czy potrafi. Teraz tworzy świat zwierząt, owadów i ludzi, który rzeczywiście jest zawsze światem ludzi. Stwory czasem rogate, kłapouche, czasem z kopytami, z mordami zwierząt, patrzą zawsze smutnymi ludzkimi oczami. Zwierzęce głowy na ludzkich korpusach są w końcu zawsze głowami ludzkimi, jak choćby na obrazie zatytułowanym *Inassouvissement* („Nienasylenie”), gdzie końsko-ośla głowa jest portretem tysiąca męskich twarzy podpatrzonych w chwili bezradnego, głupawego może, ale bardzo smutnego zadumania.

Lebenstein nie jest zjadliwy ani ironiczny, nawet tam, gdzie może chciałby. Kiedy np. pokazuje trzech starców o psich głowach, siedzących w metrze na ławce stacji Faubourg St. Denis, którzy wlepionym wzrokiem rozbiegają do naga przechodzącą kobietę — starcy są bezbrzeżnie smutni, a ich ręce wykonują gest ślepcy lub człowieka, który, aby dotknąć ramienia sąsiada w metrze i spytać o drogę, musi najpierw stoczyć długą walkę z własną

nieśmiałością. Odarta z szat nie jest ani trochę nieprzyzwoita ani lubieżna — jest nijaka, ma oczy bez źrenic. Może jest tylko wyśniona przez smutnych starców o psich twarzach na stacji Faubourg St. Denis?...

Motywem, który powtarza się wiele razy, jest motyw ludzi w kinie przed ekranem, motyw obrazu z odbiciem, z kontr-obrazem. Czasem jedni pilnie wpatrują się w drugich, czasem jedni są odbiciem tych po drugiej stronie, czasem widzowie mają smutny wzrok utkwiony w przestrzeń. Mary McCarthy, pisząc o tych obrazach Lebensteina, odczytuje w nich zdegradowaną opowieść o platońskiej jaskini, albo — co mnie osobiście wydaje się bardziej przekonujące — opowieść mitu Sympozjon, który mówi o tym, jak Zeus podzielił każdego człowieka na dwoje i każda połowa oddzielnie szuka drugiej swej części — co jest źródłem tęsknot, gniewów i miłości.

W obrazach Lebensteina jest zawarta wielka opowieść o człowieku takim, jaki jest naprawdę, jest szukanie rysów najbardziej ludzkich, zwykle starannie ukrywanych, które — podkreślone przez nadanie kształtu zwierzęcego — zostają wydobyte na światło dzienne. Stara historia: motywy świata zwierzęcego, gdy mówi się o ludziach, co nie raz okazało się doskonałym środkiem komunikowania. Może dlatego z taką pasją Jan Lebenstein maluje znakomite ilustracje do powieści o buncie zwierząt...

O jego twórczości napisano bardzo wiele, a wyliczenie wystaw zajęłoby więcej miejsca niż te zapiski. Pięknie wydawane katalogi ilustrują nieustanny rozwój artysty...

Powiedział mi ktoś spotkany na wystawie Lebensteina, że podziwia, ale żadnego z tych obrazów nie powiesiłby nigdy u siebie w domu, bo jest to „zbyt niesamowite”. Oczywiście, że można nie wieszać w domu, jak się nie chce, ale to nie na wiele się zda. Kiedy raz zobaczyło się uporczywie patrzące oczy jego stworów, zwierzęcą tępotę, głupawę, smutne zadowolenie twarzy, nieśmiałe gesty rąk, kiedy raz spotkało się to jego patrzenie na świat zwierzo-człowieczy, zaczyna się samemu takie rzeczy dostrzegać, tak patrzeć.

Oczywiście nie tak ostro jak Lebenstein, on — podejrzewam — ma dar widzenia i malowania gołej ludzkiej duszy, pięknej i ohydnej jednocześnie.

Czy to jest niesamowite? (Czasem popatrzenie do lustra

może być niesamowite...) Jest smutne. Ludzie i zwierzęta, a nawet diably Lebensteina nie budzą zgrozy — są smutną opowieścią o człowieku.

Z moich spotkań paryskich to odnotowuję jako spotkanie z mędrcem — współczesnym mistrzem wiedzy o człowieku.

**SPOŁECZNOŚCI
I
WSPOLNOTY**

MIASTO LUDZKIE DLA LUDZI

Jeżeli będziecie w Paryżu, pojedźcie do Sergy-Pontoise. Od centrum z dworca Saint Lazare albo z Gare du Nord około 30 km — 35 minut. Miał tam od 1976 roku kursować z La Défense pociąg powietrzny (180 km/godz., odjazdy co 10 minut. Jednak władze francuskie odłożyły realizację tego projektu. Sergy-Pontoise to miasto, które się rodzi. Już można je zwiedzać, a jeszcze go nie ma.

Wobec tego, że w 1995 roku ilość mieszkańców okręgu paryskiego dojdzie do 14 milionów, zaczęto budować wokół stolicy nowe miasta. Nie rozbudowywać przedmieścia (te i tak rozrastają się na kształt — jak mówią fachowcy — plam oliwy), ale nowe miasta, oddzielone od Paryża pasem zieleni, pól, lasów itd., a jednocześnie tak połączone z Paryżem, by rzeczywiście stanowiły równowagę, przyjmując ludzi ciągnących do stolicy. Takie miasta już powstały. Kiedyś jadąc do Wersalu na motorowerze zaplątałem się nagle w gąszcz wielopoziomowych przejazdów ulic-autostrad, zabudowań i zakładów przemysłowych. Na mapie, którą kupiłem przed tygodniem, jest tam zielona plama lasów Meudon i Vélizy. Lasy zresztą zostały, ale wśród nich... Nie o tym jednak mam pisać. To są właściwie jeszcze przedmieścia. Uprzywilejowane miejsce w planie równowagi ludnościowej otrzymało pięć nowych miast: Sergy-Pontoise, Evry, Trappes, Marne-La-Vallée i Melun-Sénart. Miałem okazję obejrzeć nieco dokładniej pierwsze z wymienionych, i piszę o nim właśnie.

Miasto ma pomieścić ponad 300 tysięcy mieszkańców (tak mniej więcej jak dziś Szczecin). Na każdego mieszkańca będzie przypadało siedem razy więcej przestrzeni niż na mieszkańca Paryża 1971. W 2000 roku przewiduje się 143 tysiące miejsc pracy biurowej i 145 tysięcy miejsc

w przemyśle. Plan budowy pomyślany jest na 30 lat. A co przez ten czas?...

Pierwsza dzielnica — mówi mój przewodnik — daje skromny, ale kompletny obraz przyszłego miasta. Takie było zamierzenie jego twórców, kiedy w 1966, mając jako jedyne wsparcie dający im *carte blanche* list premiera, za-instalowali swój barak w szczerym polu, by zbudować tu i dać życie nowemu miastu dla 300 000 ludzi. Miastu ludzkiemu, dla ludzi — jak zwykli powtarzać. Zbudowana dziś pierwsza dzielnica ma być argumentem za słusnością koncepcji. Pierwsza dzielnica: Le Quartier de la Préfecture powstała w ciągu pięciu lat. Trzeba było przebrnąć przez trudności wykupu ziemi od okolicznych właścicieli, pokonać zawiłości administracyjne, jako że nowe miasto podlega wiejskiemu zarządowi terytorialnemu, przeprowadzić drobiazgową analizę terenu, kierunków wiatru itd., i trzeba było budować. Przystudiuowano wszystkie doświadczenia wielkich skupisk miejskich na świecie, nowych i starych, by uniknąć tego, co jest w nich złe. Za najbliższy ideał uznano model angielski. Wprowadzono własne poprawki. Ekipa czterdziestu pięciu socjologów, urbanistów itp. specjalistów studiuje do tej pory problemy warunków życia w nowym mieście; równie liczna ekipa prawników wertykuje słynną z zawiłości stronę prawną, wyszukując furtki i sposoby pozwalające na realizację projektów-marzeń.

Jako założenie przyjęto: stworzyć możliwie najlepsze warunki do życia społeczności. Nie dopuścić do jeszcze jednej wielkemiejskiej pustyni. Zapobiec temu, by mieszkańcy zmuszeni byli rano opuszczać miasto-sypialnię, i wracali doń wieczorem zmęczeni całym dniem pracy i dojazdem. Dlatego właśnie pierwszeństwo mieszkaniowe mają ci, którzy tu pracują, właśnie dlatego w ten sposób rozbudowuje się miasto, dzielnica po dzielnicy, by nowe miejsca pracy przybywały proporcjonalnie do przyrostu mieszkańców.

Zaplanowano także piramidę wieku, w ten sposób, by starzenie się miasta nie objęło jednocześnie całej ludności. (Większość proszących o mieszkanie stanowią w tej chwili młode małżeństwa). Postanowiono zapewnić możliwość odpoczynku. W środku miasta, które będzie miało kształt podkowy wyznaczonej pętlą rzeki Oise, pozostanie wielka przestrzeń pól uprawnych, lasu, terenów do jazdy konnej,

a wszystko to skupione wokół wielkiego jeziora. Już dziś teren jest w stanie przyjąć na odpoczynek jednorazowo 15 tysięcy ludzi (zapewnione parkingi); w ciągu trzech miesięcy lata 1972 odpoczywało tam 100 tysięcy wycieczkowiczów.

Zbudowanie jezdni na innym poziomie niż chodniki dla pieszych (często w postaci mostków) ma uwolnić ludzi od koszmaru zapchanych samochodami ulic i tamujących ruch przejść. Parkingi można było zbudować wyłącznie pod domami, jak to jest w większości miast, ale zbudowano je w postaci ukrytych w zieleni placyków i placów. Mówiono: w przypadku parkingów podziemnych ludzie nie widywaliby się wcale. Samochodem do garażu, z samochodu do windy, windą na piętro, do mieszkania i koniec. Na ulicy pustynia. Biura zresztą mają parkingi piętrowe tak zaplanowane, że samochód zostawia się na tym samym piętrze, na którym się pracuje.

Skrupulatni socjologowie i urbaniści ustalili, że skupisko 600 rodzin jest skupiskiem, w którym jeszcze możliwe są kontakty sąsiedzkie. Zbudowano więc pierwszą dzielnicę (podobnie będzie z następnymi) na zasadzie „wysp mieszkaniowych”. Grupy domów mieszkalnych, właśnie dla 600 rodzin, otoczone są arterią komunikacyjną, zaś z sąsiednimi wyspami połączone chodnikami-mostkami. Każda wyspa ma swoją szkołę podstawową. Obecnie są cztery takie szkoły. Mówiono mi, że sposób budowania tych pomieszczeń dyktowany był wymaganiami nowych pomysłów pedagogicznych. Każdą z wysp projektuje inny architekt, żeby uniknąć monotonii i szablonu. Każda „wyspa” ma wszystkie kategorie mieszkań, od tanich, pracowniczych do mieszkań wysokiej klasy. Także domki indywidualne. Ze wszystkich „wysp” można łatwo dotrzeć do centrum dzielnicy. W centrum sklepy, rodzaj domu kultury (o którym za chwilę), dom dla osób starszych.

Niezależnie od centrów handlowych w dzielnicach, zbudowano już wielki dom towarowy „Trzy Fontanny”. Wspaniałe gmach, nie różniący się niczym od tego rodzaju ośrodków w wielkich miastach, 55 555 m², parking piętrowy na 4000 samochodów, sklepy największych firm handlowych, tarasy, schody ruchome, czarująca obsługa...

I pytanie: jak to wszystko idzie? Żeby odpowiedzieć naprawdę, trzeba by mieszkać w Sergy-Pontoise. Notuję to,

co mogłem przez jeden dzień zobaczyć, usłyszeć i zrozumieć.

Kiedy się schodzi z autostrady A15 (właściwie jest to jeszcze tylko fragment autostrady przyszłości) ślimakowatym zjazdem prowadzącym do Sergy-Pontoise, miasto robi wrażenie pustyni. Dużo większa przestrzeń niż ta, którą zabudowano, pokryta jest pętlami i przecinającymi się przemyślnie jezdniami. W pustkowiu sterczą lampy sygnalizacji świetlnej, oczywiście funkcjonujące.

Okružamy dzielnicę mieszkaniową. To pierwszy rekonesans. Budynki tworzą rzeczywiście rodzaj wysp. Kilka kilometrów dalej dzielnica przemysłowa, jakieś magazyny. Kolonia jednakowych, jaskrawo kolorowych budynków. Potem przez dzielnicę rzemiosła, w dużej mierze będącą nadal dawną wsią, przez jakieś laski, pola i zatrzymujemy się na wzgórzu, z którego widać dolinę rzeki Oise tworzącej w tym miejscu pętlę, z ogromnym jeziorem w środku. Wracamy do dzielnicy już zbudowanej. Prefektura: w tej chwili siedziba ważniejszych urzędów nowego miasta, zatrudnia około 1000 ludzi. Przewodnik mówi: wchodząc, powtarzaj sobie: wchodzę do urzędu, wchodzę do prefektury... Gmach zbudowano w kształcie odwróconej piramidy ze szkła i betonu; otoczony zielenią, tarasami i kwiatami, wewnątrz przypomina trochę dworzec lotniczy Orly. Piękne hostessy, wygodne fotele, przestrzeń, doskonała informacja, kawiarnia w podziemiach, bar, restauracja, fryzjer, kino, kioski z czasopismami itd. Schody ruchome, wielkie przestrzenie, jasno, przestronnie i spokojnie. Załatwienie samochodowej „Carte grise” — 3 minuty. Czekać uprzyjemnia łagodna muzyka.

Teraz piechotą przez jedną, drugą, trzecią wyspę mieszkaniową. Dzieci. Dużo dzieci. Relacje sąsiedzkie zaczynały się często od wielkich bitew. Dzieci jednej „wyspy” barykadowały przejścia przed dziećmi z drugiej. Ale nawiązywały się pierwsze kontakty. Domy budowane w szerokie czworoboki otaczające place pełne zieleni. Znowu tarasy, szerokie okna, kwiaty na tarasach, zacisznie; nie ma tu samochodów, intymność sąsiedzka. Tak to wygląda, kiedy się przechodzi. A kiedy się mieszka? Nie wiem, czy nie zbyt wiele tej intymności, czy w czworoboku nie bywa zbyt duszno, czy unikając wielkomiejskiej, frustrującej anonimowości nie stworzy się klimatu małego miasteczka.

Przez handlowe centrum dzielnicy, obok pięknego domu dla starszych osób, z oknami wychodzącymi na las, dochodzimy do budynku, który, jeśli stosować polskie określenia, można nazwać „domem kultury”. Tu określa się go mianem *le local collectif*. Syndykat mieszkańców zlecił prowadzenie domu dwom stowarzyszeniom: „Famille” i „Cité-Alfa”. Rozmawiamy z pracownikiem tego drugiego. Celem stowarzyszenia jest dostarczanie specjalistów do tego rodzaju pracy. Nasz rozmówca przez szereg lat pracował w Afryce. Teraz jest tu. Na trzy lata.

Na trzy lata? Tak, to jest jego celem, po upływie trzech lat tutejsi powinni już być w stanie prowadzić ośrodek sami. Oczywiście można przedłużyć kontrakt. Ale on osobiście dąży do tego, by po trzech latach nie być tu już potrzebnym.

Przez salę, w której chłopcy grają w ping-ponga, korytarzem do sali konferencyjnej. Lśniące podłogi, czyste okna, wygodne foteliki, wielki stół złożony z małych stolików, które w razie potrzeby można rozstawić osobno.

Jaki jest cel domu? Wszystkie rodzaje służby społecznej. Na przykład mamy rodzaj przechowalni dzieci. Nie jest to ani żłobek, ani przedszkole. Matki idąc na zakupy zostawiają na trzy godziny dzieci, którymi opiekują się fachowe niańki. To jest dobre i dla matek, i dla dzieci. Dla dzieci to pierwszy, wczesny kontakt z grupą.

Dla rodziców, którzy tu we Francji zobowiązani są szereg razy po urodzeniu się dziecka odbyć z nim wizytę lekarską, organizujemy u nas te wizyty bezpłatnie. Szpitala w mieście jeszcze nie ma. Korzysta się ze szpitali w okolicy. Co jeszcze? Jest mała biblioteczka. Pewnie będzie z czasem większa. Zresztą, zasada podstawowa jest taka: my nie tworzymy tu niczego sami. Czekamy na propozycje ludzi. Zawsze musi powstać grupa, która bierze na siebie odpowiedzialność za powstający dział. Mamy w tej chwili znaczny fundusz przyznany przez syndykat mieszkańców na rozkręcenie działalności. Mamy dobre wyposażenie. Ale ja — mówi kierownik domu — nie wierzę w magiczne działanie wyposażenia. Liczą się ludzie.

Wszystkie organizacje, wszelkie grupy mogą z domu korzystać, odbywać tu swoje narady i zebrania. W tej np. sali bywają zebrania Partii Komunistycznej i odprawiała się liturgia katolicka. Jedno zastrzeżenie: organizacje eks-

kluzywne, „anty”, nie mają tego prawa. Staramy się także, by nie dominowała jedna organizacja polityczna. To ma być dom dla wszystkich. Dom wszystkich. Dążymy do tego, by nie tylko bawić, ale wychowywać i uczyć. Niebawem będziemy mieli tu bal. Okazja do lepszego poznania się mieszkańców dzielnicy. I zawsze nie „dla” ale „razem z”.

Wyposażenie: z ważniejszych rzeczy, nadawcza stacja telewizyjna. Możemy też rejestrować programy telewizyjne, mamy połączenie kablowe ze wszystkimi domami i możemy nadawać swoje audycje telewizyjne. Nie jest to czwarty kanał, konkurencja dla istniejących trzech, ale danie mieszkańcom możliwości mówienia o swoich sprawach. Magnetoskop ma służyć tym, którzy pracując nie mogą widzieć ciekawszych audycji telewizyjnych.

Co mieści się w tym budynku? biuro przyjmowania nowych mieszkańców dzielnicy, sala zebrań, w której jesteśmy, i druga, większa niż ta; biuro pomocy społecznej, klub filatelistów, magazyn materiałów kinematograficznych, sala grupy video, sala maszyn do pisania i powielaczy, z których mogą korzystać wszyscy, lektorium, pracownia rysunku dla dzieci, dwie sale dla dzieci (grupy wieku), sala gimnastyczna (gimnastyka dla kobiet prowadzona jest raz na tydzień), sala teatralna. Zresztą większość pomieszczeń może służyć do różnych celów. Nie jest tak, by jedna grupa była wyłącznym gospodarzem danego pomieszczenia. Niebawem powstanie pracownia majsterkowania motorowerowego. Jesteśmy w trakcie organizowania teatru. To wszystko dopiero powstaje. W każdym razie dom jest otwarty na wszystkie inicjatywy.

Kościół. Na makiecie przyszłego miasta można oglądać potężny zespół... neogotycki. Katedra i pomieszczenia pomocnicze. Gotycki, bo — jak powiadają projektodawcy — chodzi o nobliwy charakter centrum miasta. Ale w tej chwili... Mieszka tu dwóch księży. Nie ma kościoła prowizorycznego. Nie ma kaplicy, nawet afiszy informujących. Kiedy ludzie dopytują się o kościół, zostają poinformowani o siedemnastu kościołach w okolicznych wsiach i miasteczkach. Pozostajemy — mówi jeden z tutejszych księży — w ścisłej współpracy z tymi parafiami. Uważamy jednak, że historia musi powstawać wolno, „od dołu”. Nie chcemy ludziom dawać nic gotowego. To nie ma być ko-

ściół wokół księży. Iluż by ich było trzeba dla 300 000 mieszkańców. To ma być kościół świadomych świeckich. To oni mają ten kościół stworzyć. W tej chwili zbierają się grupki, odprawia się Eucharystię. Były chrzty przygotowane przez te grupy. Przygotowano wspólnie liturgię wielkanocną. Miała się odbyć w mniejszej sali konferencyjnej domu kultury. Spodziewano się około 50 uczestników, zaplanowano charakter kameralny. Zamiast pięćdziesięciu, przyszło kilka setek. Trzeba było w ostatniej chwili zmienić salę, zmienić charakter. „Szukamy nowego rozumienia roli księdza, roli świeckich. Nie chcemy zaczynać od tworzenia struktury, która i tak powstanie, bo bez niej niemożliwe jest życie społeczności”.

Mówią ludzie zaangażowani w tworzenie owego kościoła.

Socjolog, urbanista, architekt pracujący tu w Sergy: „W tej chwili mamy całą masę ważniejszych rzeczy na głowie niż rola księdza czy tworzenie wspólnoty parafialnej. My pracujemy nad tym, żeby ludzie mogli tu żyć, mieszkać, pracować, czuć się dobrze...”

Kierownik ze stowarzyszenia „Alfa”, który nie współpracuje z księżmi w takim stopniu jak tamci: „Ludzie dopominają się ciągle o jakiś ośrodek religijny, o punkt katechizacji dla dzieci, a msze niedzielne. Pytają o kościół. Nie rozumieją, o co chodzi w tym eksperymencie...”

Jedziemy nad jezioro. Nie jest to dzień świąteczny. Pustu tu i cicho. Zaledwie kilku starszych mężczyzn z wędkami. Wszędzie pobudowane z pni drzewnych stoliki, ławeczki, zasłony od wiatru.

*

Jakie będzie to miasto za lat trzydzieści? Miasto bez zaułków, niebezpiecznych ulic, bez labiryntów metra, w których, jak to ma miejsce w Paryżu, policja nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa zapóźnionym przechodniom. Czy po szerokich arteriach przecinających puste jeszcze przestrzenie będą przewalały się na motorach watahy młodzieńców w czarnych wiatrówkach, jak dziś po Champs Elysées, budząc postrach rykiem motorów? Czy i tu statystyki samobójstw będą niepokojąco rosły, jak to się dzieje dziś w wielkich miastach także słonecznej Francji? Czy wysiłek zdążający do tego, by stworzyć w oparciu o naukowe badania środowisko podobne temu, w jakim jeszcze kil-

kadziesiąt lat temu żyła większość ludzi, środowisko niby to małego miasteczka, prawie wsi, a jednocześnie wielkiego skupiska, da pomyślne rezultaty?

Ci, którzy zaangażowali się w budowę Sergy-Pontoise, są optymistami. Ja też. Bo jest coś, co budzi optymizm w owym wysiłku, by prawa rozwoju społeczeństwa przemysłowego podporządkować dobru ludzi.

STRAJK PROSTYTUTEK

Piątek, 6 czerwca 1975.

Od rana radio powtarza wiadomość, że strajk prostytutek i że okupują kaplicę Św. Bernarda na Montparnasse. Rzeczywiście, przed kaplicą tłumek, większość to Arabowie, niemal sami mężczyźni. Za szklanymi drzwiami widać kilkanaście kobiet, kilka stoi przed drzwiami. Na szybie drzwi przyklejone afisze z żądaniem: płacić podatki, posiadać ubezpieczenie społeczne, być traktowane jak przedstawiciele innych zawodów...

Okupacje kościołów zaczęły się od Lyonu, potem Paryż, Marsylia, Grenoble, Montpellier... „Początkowo myślałyśmy o manifestacji ulicznej, ale doszliśmy do przekonania, że potrzebne nam jest miejsce, gdzie pod ochroną opinii publicznej mogłybyśmy zostawać kilka dni” — mówi jedna z organizatorek dziennikarzowi.

Dziennikarze z manetofonami, z aparatami... Dziewczęta nie zgadzają się na to, żeby je fotografować. Jednak nie jest to regułą. W prasie są zdjęcia: „...Może pan opublikować fotografie i napisać wszystko, co panu powiedziały, jeśli to panu sprawi przyjemność” — powiedziała dziennikarzowi z „Paris Match” Chantal z ulicy Saint Denis. A o swoim życiu prywatnym: „W niedzielę robię wycieczkę na wieżę Notre Dame. Nie, nie chodzę do kościoła. Po co? Odkładam to na później, kiedy już rzucę ten rodzaj życia...”.

Dziennikarz zapytuje jakiegoś dobrodusznego grubasa, co myśli o strajku. „Ja nie jestem przeciw prostytutce. Jestem Bretończykiem. Ale bardzo mi się nie podoba, że one siedzą w kościele. Kościół to jest miejsce modlitwy, miejsce godne! K... w kościele? Nie, przeciw temu stanowczo protestuję”. Nie wiem, czy ta wypowiedź została wydru-

lowana. Prasa i opinia publiczna wydawały się życzliwe dla manifestantek. Przynoszono im żywność.

Prawo azylu w kościele zostało zniesione we Francji w r. 1539; jednak ostatnio zdarza się, że ludzie upominający się o swoje prawa okupują kościoły. W maju 1973 kardynał Marty odwiedził grupę 56 imigrantów, którzy zajęli kryptę kościoła Notre-Dame-de-la-Croix.

Stała Rada Episkopatu Francuskiego w związku z obecnym strajkiem ogłosiła notę: „...Jeżeli wspólnoty chrześcijańskie nie sprzeciwiły się okupowaniu kościołów i pomieszczeń należących do Kościoła, nie znaczy to, że Kościół popiera wszystkie żądania grup, które uciekają się do tej metody postępowania. Kościół nie jest ślepy wobec manipulacji, jakich owe grupy są często przedmiotem...”. Biskup Marsylii Roger Etchegaray w związku z tymiż wypadkami oświadczył: „Kiedy dziewczyna, często matka znajduje się w sytuacji, w której praktycznie biorąc nie może zorganizować sobie czy nawet pomyśleć o zorganizowaniu innego życia niż życie niewolnicy — powinniśmy płonąć ze wstydu. Mamy obowiązek wierzyć, że ona — choćby to miało nie wiem ile kosztować — z owego stanu niewolnictwa może wyjść...”.

Choć wszystkie gazety piszą o okupacji kościołów, nie jest łatwo w tym wszystkim się połapać.

Minister Michel Poniatowski: „To sutenerzy zorganizowali okupację kościołów”.

Ks. André Talvas, założyciel liczącej już 32 lata katolickiej organizacji „Nid”, mającej na celu pomoc kobietom, które chcą wrócić do normalnego życia w społeczeństwie, i pozostającej w stałym i szerokim kontakcie ze środowiskiem: „Myśmy nie inicjowali okupacji kościołów, byliśmy tam jedynie obecni”.

Obecnie nazwisko ojca Talvas — w związku z okupowaniem kościołów i hałasem stworzonym wokół tej sprawy — dość często pojawia się na łamach poważniejszych pism. „Prostytucja jest symbolem choroby społeczeństwa — powiedział jeden z ludzi »Nid« — społeczeństwa, w którym słabych coraz bardziej się wyzyskuje”.

Tajemniczą postacią w całej sprawie jest sutener. Nikt dokładnie nie wie, jaką rolę odgrywają oni w manifestacjach. Trzecią z wchodzących tu w grę postaci — prostytutki

tutka, sutener, klient — nikt się nie zajmuje. Klient jest zawsze niewinny. On może oskarżyć o kradzież, może być świadkiem z wolnej stopy. Ale nic więcej. (W USA klienta ściga prawo na równi z sutenerem.) Arcybiskup Canterbury dr Fisher powiedział kiedyś w Izbie Lordów, że „najskuteczniejszy środek zaradczy na prostytutkę jest to zabrać się ostro do klientów i karać właśnie ich”. W głośnym raporcie dra Pierre Simona czytamy, że jeden na sześciu Francuzów swój pierwszy kontakt seksualny ma z prostytutką, a 33 proc. mężczyzn w wieku ponad 20 lat wyznało, że miało tego rodzaju „doświadczenia”.

„Która z gazet — pisze ojciec Talvas — podjęła pytanie: ale dlaczego one są prostytutkami? A tu właśnie dochodzi do głosu cała przeszłość”. „Nid” informuje, że 90 proc. tych dziewcząt i kobiet pochodzi z niższych sfer proletariatu, bez kultury, bez wykształcenia, bez formacji umysłowej. Żadna z dziewcząt znanych organizacji nie miała rodziny w normalnym tego słowa znaczeniu, środowiska, gdzie ludzie żyją w zgodzie i szczęściu, żadna nie miała ojca godnego tego imienia. Skoro 8 milionów Francuzów dotkniętych jest alkoholizmem, można sobie wyobrazić, jaki obraz ojca stwarza człowiek, który każdego dnia wraca pijany do domu. To co u chłopców przejawia się jako przestępczość, u dziewcząt przybiera postać prostytutki. Dziewczęta te, pozbawione wykształcenia, formacji moralnej, wychowania seksualnego, zdane na pastwę klientów, sprowadzane są do roli przedmiotu, który się eksploatuje dla zysku.

Historia Christianne (znanej ze słów, jakie zanotował przed paru laty dziennikarz „Le Monde”: „Nie rzucę się do Garonny. Samobójstwo moje przeżywam dzień po dniu...”): dziś ma 30 lat. Rodzice rozwiedzeni, ojciec alkoholik. Jako trzynastoletnia dziewczynka — zgwałcona przez sąsiada. Szkoła — trudności w nauce. Brak zawodu. Nieudana miłość. Różne dorywcze prace zarobkowe i nagle spotkany przypadkiem piękny i miły młodzieniec. Obietnice małżeństwa, obiady, drobne podarunki. Ukochany oświadcza pewnego dnia, że ma trudności finansowe, prosi o pomoc przez zdobycie pieniędzy w wiadomy sposób. Stanowcza odmowa. Groźby, szantaże, naciski. Ostatecznie Christianne poświęca się dla narzeczonego raz, drugi, dziesiąty. Dziś każdego wieczora zarabia 800 F,

z tego opiekunowi oddaje 60. Dziesięciu klientów dziennie.

Jest ich aktualnie we Francji 25 do 30 tysięcy „zawodowych”. Z tego 9000 w Paryżu. Wzrasta liczba małoletnich. Dla Paryża szacuje się je na ok. 500. Ale jakie możliwości daje społeczeństwo młodej samotnej dziewczynie, do tego samotnej matce (dwie na trzy prostytutki są matkami) bez zawodu, bez specjalizacji? Tu — 1000 F zarobionych przez jeden wieczór; tam — niewiele więcej za miesiąc pracy jako sprzedawczyni butów w supermarkecie...

Ktoś z „Nid” napisał: Taka dziewczyna — przedmiot powszechnej pogardy — zna doskonale beznadziejność rozpaczy, wstręt do siebie samej i bezradność wobec problemów finansowych, jakie stawia przed nią posiadanie dziecka czy niemożliwość leczenia się. Nie trzeba wielu miesięcy, by wiedziała, że weszła na drogę bez wyjścia. Jedne kończą samobójstwem, inne włączają się, są wreszcie i takie, które mimo wszystko zaczynają żyć normalnie. 70 na 100 ma tę szansę, ale pod warunkiem, że spotkają ludzi, którzy wprowadzą je w nową strukturę społeczną, w nowe środowisko; że spotkani mężczyźni okażą się innymi ludźmi, niż ich klienci i opiekunowie, że spotkają wspólnoty chrześcijańskie, kompetentnych księży, mądrych lekarzy, że prawo będzie nie tylko wymierzać represje, ale ułatwi powrót. Te funkcje chce spełniać „Nid”. Także inni. Na okładce „Paris Matcha” z 21 czerwca 1975 widać dominikanki ze wspólnoty „Betania”. Każda prostytutka ma prawo tam przyjść, nikt jej nie wypytuje, nie osądza. Komentarz wewnątrz numeru informuje, że 1/7 zakonnice to „rehabilitowane”.

Jakie rozwiązania? Zapowiedziano, że nowe prawo będzie surowe dla sutenerów, łagodne dla prostytutek. Ma być przeprowadzona rewizja prawa z 1946 r., zakazującego domów publicznych. Simone de Beauvoir jako przedstawicielka Ruchu Wyzwolenia Kobiet (MLF) odwiedziła strajkujące i głosiła „wolność dysponowania własnym ciałem”. Hasło bardzo w tym wypadku bałamutne, jako że większość tych kobiet nie wybrała ulicy w sposób wolny, a ponadto hasło to doskonale służy sutenerom za alibi.

Obecna metoda postępowania jest absurdalna: po kilka mandatów dziennie za „stacjonowanie na miejscu zakaza-

nym", jak określiła jedna z nich, stacjonowanie nie samochodu, ale jej samej. Mandaty wymierza się też za „prowokacyjną postawę”. Co jakiś czas więzienie. Obliczono, że z tych mandatów wpływa do skarbu państwa 6—12 miliardów F rocznie.

Na koniec tych przydługich notatek na marginesie strajku okupacyjnego w kaplicy St. Bernard na Montparnasse chcę przepisać to, co napisał o. Jacques Loew w posłowniu do słynnej książki *Histoire de Michèle* (Fayard 1971), w której autorka opisuje dzieje swego życia na ulicy i powrót do społeczeństwa i Boga.

„...Ich makijaż — to także symbol ich stanu śmierci. Rzadko noszą własne imiona...

Ludzie, na których dokonano zabójstwa, zachowując ich przy życiu. Za owo zabójstwo odpowiadamy wszyscy. Wszyscy jesteśmy winowajcami. Dziewczyny... — powiedziała Paulina, jedna z nich — zysk dla wszystkich. Sute-ner, który mówi o swoich fabrykach, nie jest sam: są sprzedawcy, którzy podnoszą ceny, taksówki, które każą płacić sobie drożej („wobec tego co ona zarabia...”), właściciel bistra, państwo, które przez swych deputowanych co jakiś czas wraca do snów o tym, by zorganizować ową hańbę na tyle, by pieniądze szły do kasy państwowej. Oczywiście kamufluje się to zawsze względem na zdrowie publiczne.

Ale są też wszyscy inni, każdy z nas, z obojętnością, żeby nie mówić już o pogardzie... Cóż za zмова milczenia, co za jednomyślność współników wobec tysięcy kobiet sprzedawanych każdego wieczora detalicznie albo i hurtowo przez jednego sutenera drugiemu, z jednego bruku na drugi.

Czyż to nie są istnienia ludzkie? Może rzeczywiście uważamy je za umarłe, za stracone bezpowrotnie, za śmiecie zalegające ulice?”

To tyle w związku ze strajkiem, o który ten i ów pytał mnie, kiedy przyjechałem z pięknego Paryża.

DZIESIĘĆ DNI TAIZÉ

Jedni mówili o Taizé z zachwytem („to jedyne miejsce we Francji, do którego powinno się pielgrzymować”), inni sceptycznie („Taizé? wielka mistyfikacja...”), jakiś chłopak, Belg, że to dobry sposób spędzenia wakacji, bo tanio. Wszyscy potwierdzali to, o czym wiedziałem zresztą sam: że trzeba tam być.

Więc jestem. Namiot rozbiłem na najdalszym campingu nazwanym od przydrożnego krzyża, stojącego na skraju pola namiotowego, „Camping de la Croix”. (Pod krzyżem ustawia się worki igelitowe ze śmieciami i stąd zabiera je wielki samochód tutejszego MPO.) Siedzę, a raczej leżę w namiocie i przyświecając sobie latarką robię te notatki.

Pierwsze wrażenie: tu jest pięknie. Cicha wioska na zboczu wzgórza, kamienne, rude zabudowania, stroma droga między domami. Upał. Cisza. Rozległy, lekko zamglony widok. Trochę Gorce, trochę Warmia. Romański kościółek — i niespodziewanie, za zakretem drogi, wielkie obozowisko, stare wojskowe namioty, daszek, pod nim kilka stołów, zwirowany placyk, dwa niewielkie domki. Wszędzie pełno młodzieży. Ktoś kieruje mnie do żółtego budynku (to jest „Tynec” poświęcony przez kardynała Wojtyłę, ale trudną do wymówienia nazwę zastępuje się zwyczajnie określeniem Maison Jaune, Casa Gialla, Yellow House). Widzę: kuchnia, więc tam. Dzień dobry, przyjechałem... Że już po obiedzie. Nie ogolony chyba od tygodnia chłopak i złotowłose dziewczę proponują, żebym zdjął plecak i zaraz coś zjadł.

Zabawne, do tego Taizé jadę czy idę od dwóch czy trzech lat i pobyt we Francji nie jest bez związku z tym miejscem, które nie całkiem świadomie stało się dla mnie

bardziej symbolem niż czymś realnym; a teraz, zupełnie jak w setkach podobnych obozowych sytuacji, siedząc na murku wylawiam z plastikowej miski konserwowe parówki. I oczywiście pytanie, jakiej narodowości, i że tu jest Polak czy nawet dwóch. Jeden okazuje się rodakiem z Belgii, drugi z Polski, a chwilowo z Paryża.

Rozbijam namiot. 18.45 — kolacja. W kolejce staje tłum, w każdym tygodniu około 1000 ludzi. I niedowierzanie: co rzeczywiście tych młodych tu sprowadza? Więc kiedy z tacami, na które dyżurni ponakładali każdemu jego porcję, wyśpiewując po włosku życzenie *buono appetito*, siadamy na ziemi, na kupie żwiru, murkach i ławkach, przy jakichś stołach, usiłując przeprowadzić błyskawiczną ankietę: po co tu jesteś? Odpowiedzi, które zapamiętałem: „Innego takiego miejsca przecież nie ma”. „Żeby spotkać innych”. „Żeby się nauczyć, jak być chrześcijaninem”. „Żeby być we wspólnocie”. To ostatnie zdanie powiedział licealista z Paryża, a ponieważ przedtem mówił mi, że jego siostra jako fakultatywny język w szkole wybrała polski, czuję się nieco ośmielony i atakuję, że przecież przez tydzień, tydzień wakacyjnego obozu, nie da się stworzyć wspólnoty. On najpierw mi tłumaczy, że chce się tu nauczyć ducha wspólnoty, a wreszcie zirytowany moim wścibstwem odpala: a ty? po co ty tu przyjechałeś? To przyhamowuje moje socjologiczne zapędy.

Wieczorem Polacy (jest nas z dziewięć osób, w tym pięciu księży, wśród nich Krzysztof z Krakowa w góralskim kapeluszu), siadamy w kręgu z bratem Clément. Wciąż te same trudności ze zrozumieniem, czym jest życie Taizé: tu się nie daje żadnych odpowiedzi. Tu się nie podsumowuje efektów. To nie jest wielka międzynarodowa organizacja. To jest dzielenie się. To jest słuchanie. To jest wiara w człowieka. Każdego. I w Ducha św.

Proszę brata o jakieś książki, żeby lepiej zrozumieć. Powiada: nie. Nie teraz, po tygodniu. Trzeba przede wszystkim tu żyć. W środku.

Więc żyję w środku. Z Krzysztofem i jego towarzysza-
mi podróży tak żywo dyskutujemy, że wreszcie przychodzi ktoś i prosi, żeby ciszej, że jeżeli chcemy, to jest „Kra-
ter”, miejsce przy ognisku, gdzie co wieczór każdy może śpiewać, hałasować, jak długo chce. Shusznie. Naokoło namioty. Kilka osób w śpiworach pod gołym niebem.

Przed 7 rano budzi mnie słońce i upał w namiocie. Liturgia eucharystyczna o 8.30. Przed wejściem do kościoła kilka osób krąży z tablicami: „strefa ciszy”. Między innymi Katarzyna, licealistka z Hamburga, którą poznałem wczoraj. Mówi trochę po rosyjsku, nauczyła się w kościele. Śpiewa w chórze w kościele prawosławnym. W przedśionku, na szkolnej tablicy i na kartonowych tabliczkach napisy, że prosi się, by nie spać w kościele, że do dyspozycji namioty, nr..., oraz że nie wolno robić fotografii w czasie oficjum. Kościół pełen ludzi. Śpiew oficjum, potem liturgia eucharystyczna. Teksty niemal identyczne jak w liturgii rzymskiej. Modlitwy za papieża, za patriarchów, za biskupów. Na pocałunek pokoju przeor wspólnoty wchodzi w tłum, wymienia uścisk z wieloma uczestnikami. Komunia pod dwoma postaciami. Niemal wszyscy obecni przyjmują komunię św. My, tzn. księży polscy, koncelebrowaliśmy wcześniej razem z jezuitą, który przyjechał tu z Kairu.

Po liturgii brat Roger zatrzymuje się przy ikonie. Gromadzi się grupa około pięćdziesięciu osób, które chcą z nim rozmawiać. Ludzie podchodzą kolejno, czasem pojedynczo, czasem po kilka osób. Jedne rozmowy są na tyle głośne, że otoczenie słyszy, o czym mówią, inne prowadzone niemal szeptem, przypominają spowiedź. Brat Roger ściska serdecznie rozmówców, kładzie im błogosławiącym gestem ręce na ramiona. Przed nami jakieś zatroskane małżeństwo. Ona odchodzi płacząc. Przedstawiamy się, że jesteśmy z Polski: kilku księży, kilku studentów. Przeor wyraźnie uradowany. Pyta każdego, kto i co, potem mówi o Polsce, o swoim niedawnym pobycie, że wciąż ma przed oczyma obraz polskiego nieba i że wciąż wspomina Polskę, że Polacy są tacy nadzwyczajni. Wymienia znajomych z Polski. Odchodzimy. Podchodzą następni.

*

Nie bardzo jest co robić. Ci, którzy są tu na sobotę i niedzielę, mają specjalny program. Pozostali zostawieni są sami sobie. Chodzę i rozmawiam, z kim się da. Tuż obok wejścia na teren obozowiska grupka Francuzów. W garniturach, siedzą na krzeselkach. Gruby, sympatyczny chło-

pak z kwaśną miną. Pytam, czy mu się podoba? Odpowiada, że na razie mało ciepła. Rozmawiamy o jego pracy — jest robotnikiem. Niezadowolony z panujących we Francji stosunków. Spotykamy się znów podczas obiadu. Widzę, że jest roześmiany, więc pytam, czy teraz ciepiej. „Znalazło się ciepło. OK.”

Rozmawiam z księdzem z Polski. Rozczarowany. Spodziewał się czegoś więcej.

Wieczorem ogłoszono spotkanie regionami. Idę do namiotu okręgu paryskiego. Grupa niezbyt duża, około 30 osób, i jak się okazuje, wcale nie z okręgu paryskiego. Każdy kolejno mówi, kim jest i czemu znalazł się w Taizé. Chyba połowa, to wspólnota l'Arche. Wiek: 17 do 20 lat, mili, naturalni. Wspólnota l'Arche — informują — jest wspólnotą ich rodziców, założoną przez Lanza del Vasto — powstała około dwadzieścia lat temu. Założeniem jej jest zasada *non violence*. Utrzymują się z pracy na roli, by nie partycypować w wyzysku człowieka przez człowieka. Około pięćdziesięciu rodzin. Chantal, która jakby przewodzi tej grupie, opowiada swoją historię. Była nauczycielką, kierowniczką szkoły podstawowej. W tej chwili zrezygnowała z tamtej pracy, zamieszkała we wspólnocie, zajmuje się gotowaniem, sprzątaniem i głoszeniem Chrystusa. Jest szczęśliwa. Druga grupa także wcale nie jest z okręgu paryskiego (może pomyliłem namiot? do tej pory nie wiem); to ludzie z ruchu charyzmatycznego. Chłopak z czarną jak smoła brodą wyjaśnia, że są ludźmi oświeconymi przez Ducha św. (ci z l'Arche chyba także), że otrzymali dar języków, jak w pierwszych wiekach, że głoszą niedaleki koniec świata, braterstwo, miłość, żal za grzechy i ufność w wielką miłość Chrystusa. Jeden z nich, wysoki, z rzadką jasną bródką, w wypłowiałej koszulce gimnastycznej, współpracuje ze wspólnotą „Drzwi otwartych”. Zajmują się narkomanami. Prosiłem go później, by mi opowiedział, na czym polega jego praca. Powiedział, że mówią o Chrystusie, o modlitwie, że przyjmują tych, którzy chcą, do swojej wspólnoty. Czy to jest skuteczne?... Odpowiada: „ja jestem przykładem; ze wspólnotą i ruchem proroków spotkałem się jako narkoman. Potem długa rozmowa, która trwała całą noc. Był ktoś, kto mi potrafił pokazać piękno i wielkość wiary...”

Ludzie najpierw rozbili się na grupki, teraz stopniowo

się rozchodzą. Tymczasem na dworze burza. Gaśnie światło. Chantal z imponująco szybkim refleksem w tym samym momencie woła przenikliwie: „Chrystus jest światłem! Alleluja!” Reszta podchwytuje owo Alleluja.

W deszczu i błocie brnę do namiotu. Już zasypiam, kiedy przez szum deszczu słyszę, że ktoś dobija się do mnie, zaspany nie mogę zrozumieć, o co chodzi, aż wreszcie chwytam, że ten ktoś pyta, czy mój namiot nie przecieka, bo jeśli tak, to żebym szedł spać do kościoła. Ponieważ nie przecieka, zostaję. Podobno kościół był wypełniony śpiącymi.

Poniedziałek 9 VII

Znów cudowna pogoda. Widać zwijających namioty, pakujących rzeczy. Jednocześnie ciągną nowi. W namiocie recepcji punkty przyjęć z językiem francuskim, włoskim, hiszpańskim, niemieckim i angielskim.

Uczestniczyłem w rodzaju nabożeństwa „proroków”. Między innymi uczestnicy modlili się „różnymi językami” (śpiew), a także dziękowano Bogu że jedna z uczestniczek nabożeństwa otrzymała chrzest Ducha św. Przy pożegnaniu (kilka dni później) dostałem od nich broszurkę: „Témoignage du Père Duane Stenzel O. F. M. re Louisville et du Pasteur Arnould Brémond: *Aperçus du Reveil Charismatique*”. Poza przytoczonymi świadectwami broszurka zawiera przedruk artykułu dominikanina A. M. Monléon o zielonoświątkowcach katolickich w Ameryce, publikowany w „Vers l'Unité Chrétienne”. Teraz, kiedy przepisuję na maszynie te notatki, trafiam w dzisiejszym numerze „Le Figaro” na informację o rzymskim spotkaniu zielonoświątkowców z przedstawicielami różnych kościołów. Zielonoświątkowcy stwierdzili u siebie konieczność pogłębienia studiów teologicznych oraz przyznali, że ci chrześcijanie, którzy nie cieszą się specjalnymi darami Ducha św., nie stanowią chrześcijan „drugiej klasy”, gdyż tym, co liczy się ostatecznie, jest miłość Boga i bliźniego. Ruch charyzmatyczny, wywodzący się ze Stanów Zjednoczonych, uważany przez długi czas tak przez protestantów jak przez katolików za bardzo groźną herezję, istniejący w środowiskach protestanckich, ostatnio rozwija się również wśród katolików. Jedną z zasadniczych cech charyzmaty-

ków-katolików jest podobno pełna lojalność wobec episkopatu katolickiego (w USA episkopat sprawuje kontrolę nad ruchem). Ruch liczy obecnie wiele tysięcy wiernych, głównie w Stanach Zjednoczonych.

*

Wieczorem ludzie grupują się według wybranych tematów. Temat ogólny roku: „Walka i kontemplacja”. Tematy proponowane: 1) Życie przeciw prądowi — jak uczynić swoje życie „znakiem sprzeciwu” w rozumieniu ewangelicznym? 2) Kontemplacja i oddanie swego życia — w jakim sensie kontemplacja może być źródłem sił do walki? 3) Walczyć wraz z człowiekiem uciskany — gdzie w środowisku, w jakim żyję, znajduje się człowiek uciskany? czy ja sam nie uciskam innych ludzi? 4) Stać się człowiekiem wspólnoty — problem typowych we współczesnych społeczeństwach konfliktów międzyludzkich. Wreszcie jako równoważna propozycja na najbliższy tydzień: rekolekcje i milczenie.

Wybieram pierwszy temat. Spotykamy się w namiocie nr 8, który będzie naszym namiotem przez ten tydzień.

Wielka kilkudziesięcioosobowa grupa. Spotkaniu przewodniczy Christian, student z Paryża. Pełnić będzie rolę raczej animatora niż kierownika. Informuje, że przez ten tydzień mamy próbować żyć życiem wspólnotowym — na przykład posiłki, jeżeli chcemy, możemy jeść razem, że przy omawianiu tematów związanych z przygotowaniem Soboru Młodych nie chodzi o dyskusję, ale o dzielenie się, o słuchanie innych. Zapytany o sobór, odpowiada, że właściwie bardzo trudno jest wyjaśnić, co to będzie, że sobór nie wyda na zakończenie żadnych dokumentów, że ma to być wielki wspólny wysiłek młodych całego świata, że teraz trwa przygotowanie i od przyszłego roku sam sobór odpowie dopiero, czym to będzie. Wszystko, co mówi, jest tłumaczone na włoski i hiszpański. Także pytania i wypowiedzi innych. Ponieważ w tak dużej grupie trudno o wzajemne poznanie się, całość dzieli się na mniejsze, kilkuosobowe grupy. Dziś mamy się sobie przedstawić, od jutra przez najbliższe dni będziemy pracowali w tych małych grupach. Każda grupa ma mieć „reportera”, sprawozdawcę, który będzie na ogólnych spotkaniach przedstawiał w streszczeniu treść rozmów i przemyśleń. Groma-

dnamy się na zasadzie zupełnego przypadku: Pierre — nauczyciel, Pasquale — kleryk z Foggii, Giulio — Włoch, maturzysta, Angelo — włoski robotnik, Yves, który przedstawia się jako fotograf, obecnie pracujący jako ogrodnik w letniej rezydencji ministra finansów, narzeczona Yves'a Teresa, malarz projektujący ogrody, druga Teresa, piękna Hiszpanka, studentka nie wiem jakiego wydziału i Maria Rosa, także hiszpańska studentka pierwszego roku medycyny. Po dokonaniu wzajemnej prezentacji rozchodzimy się. Jest ciepło. Świeci księżyc.

Wtorek 10 VII

Na ogólnym spotkaniu w namiocie nr 8 otrzymaliśmy dodatkowe tematy na dziś: „Moje życie: kiedy żyję w pełni? co mi przeszkadza żyć w pełni?” Zasiadamy naszą małą grupą w zacisznym zakątku daleko od obozowiska, na skraju pola. Upał niemiłosierny, mówimy kolejno. Maria Rosa jest tłumaczką hiszpańsko-francuską, Pasquale i ja, wspólnym wysiłkiem, tłumaczami włosko-francuskimi (cały dowcip w tym, że nie chodzi tu nikomu o to, jak kto w danym języku mówi, ale o zrozumienie).

Angelo (włoski robotnik, lat 20) wygłasza długi i dość ogólny wywód o problemach społecznych. Jego zdaniem zmiany struktur nie prowadzą do sprawiedliwości. Kiedyś robotnik pracował dwanaście godzin, dziś pracuje osiem. Ale co z tego? W ciągu tych ośmiu godzin robi tyle, co kiedyś w ciągu dwudziestu. Pozostaje nadal niewspółmierność zysku wielkich właścicieli do zarobków robotnika. Angelo uważa, że zmiany trzeba rozpocząć od siebie. Trzeba uwolnić się od służenia pieniądзом. Jeżeli mi proponują lepsze stanowisko, muszę umieć odmówić w imię solidarności, muszę domagać się poprawy sytuacji wszystkich moich kolegów, rezygnując z poprawy sytuacji własnej. Człowiek nie może służyć materii!

Pasquale, włoski kleryk, który w przyszłym roku ma otrzymać święcenia, uznał z kolegami, że właściwszą formą przygotowania się do kapłaństwa niż mieszkanie w seminarium duchownym będzie zamieszkanie w małej wspólnotcie studentów świeckich. Uzyskał na to pozwolenie biskupa. Żyje bardziej na własną odpowiedzialność. To jest jego „żyć przeciw prądowi”.

Maria Rosa mówi o swojej samotności, o trudnościach porozumienia się z rodzicami, którzy jej studia traktują jako przygotowanie do intratnego zawodu, ich wizja życia jest na wskroś egoistyczna, burżuazyjna. Podobnie na uczelni — i tam czuje się samotna. Nie znajduje nikogo, z kim mogłaby rozmawiać o sprawach dla niej najważniejszych. Opowieść kończy się szlochem.

Dla Yves'a żyć przeciw prądowi, to sprawić, by jego życie było świętem Chrystusa Zmartwychwstałego. Co mu w tym pomaga?... Yves zatacza ręką krąg: wy, wy wszyscy mi w tym pomagacie. Po południu Maria Rosa nie uczestniczy w naszych spotkaniach. Przez kogoś zawiadomiła, że na cały tydzień wybrała „strefę milczenia”.

Przyjmujemy więc do grupy nową tłumaczkę, matu-rystkę, Hiszpankę imieniem Mirabella.

*

Spotkałem dziewczynę, która była w Polsce na pielgrzymce do Częstochowy. Zachwycona świetną organizacją. Ta pielgrzymka i pobyt w Polsce przypomniały jej o Matce Boskiej. „Ja zupełnie o Niej zapomniałam, o Jej miejscu w moim życiu religijnym”.

*

Rozmowa z bratem Clément. Pytam, czy to możliwe, by w takim niemal tysiąc osób liczącym tłumie nie zdarzały się przypadki narkotyzowania się, kradzieży, innych przestępstw? — Oczywiście, to wszystko bywało i bywa. I narkotyki, i kradzieże, i inne kłopoty. Ale na szczęście to zawsze jest tylko margines, tylko nieliczne przypadki. Kropla w morzu tego dobra, które tu się dokonuje.

Następne pytanie dotyczy organizacji. Skąd biorą się animatorzy? — To uczestnicy, tacy jak pozostali. Niektórzy są po raz pierwszy w Taizé. To ci, którzy lepiej zrozumieli sens „życia Taizé”. Przez tydzień wprowadza się ich w sprawy organizacyjne. Nie istnieje żadna organizacja animatorów stałych. I tu bywają nieporozumienia. Zdarzyło się na przykład niedawno, że ktoś chciał przez dwa miesiące być animatorem, a nie bardzo mógł zrozumieć niektóre ważne elementy życia Taizé. Trzeba było mu odmówić. Jest zasada, że tej funkcji nie pełnią księża ani ludzie dorośli. Bywają zresztą wyjątki.

Sobór Młodych? Nie wiadomo, kiedy się zakończy, do czego dojdzie. Jedno jest pewne: to nie jest sprawa kierowana. Czym będzie Sobór Młodych, zależy od was wszystkich. Nie ma żadnych dyrektyw, żadnych recept, żadnych gotowych odpowiedzi. Tematy, które są przedmiotem rozmów w grupach, zostały zaproponowane przez młodzież.

Sroda 11 lipca

Wieczorem przegrupowanie. Na dziś wieczór zaproponowano całkiem nowe tematy i można je wybrać albo ze swoją małą grupą, albo indywidualnie. Tematy: 1) Małe wspólnoty Taizé. 2) Tworzyć wspólnotę (*communio*) przez odwiedziny i podróże. 3) Dzielenie się z ludźmi innej kultury i innych środowisk. 4) Wierzyć w Zmartwychwstanie. 5) Poświęcić życie zaangażowaniu zawodowemu, społecznemu i politycznemu. 6) Żyć w obecności Chrystusa ukrytego wśród ludzi. 7) Wspólne rozważanie zasadniczych tekstów związanych z przygotowaniem Soboru Młodych. 8) Modlitwa wspólna. 9) Modlitwa w ciszy, w kościele. 10) Jaki styl życia można sobie wyobrazić dla tych, którzy chcą iść dalej angażując się w przygotowanie Soboru Młodych?

Wybieram: „Wierzyć w Zmartwychwstanie”. Motyw Zmartwychwstania jest dominującym motywem Taizé.

Grupa około dwudziestu osób. Siedzimy w mroku na ustawionych w krąg ławkach. Jak można było przewidzieć, od rozumienia Zmartwychwstania jako symbolu („dla mnie zmartwychwstanie to chwila, kiedy moi uczniowie w klasie ożywiają się i zaczynają dyskutować” — ksiądz, prefekt liceum w Belgii) przez agnostycyzm („Zmartwychwstanie, to dla mnie odległy, mało prawdopodobny fakt, niemożliwy do stwierdzenia”), aż po pełne entuzjazmu i wiary stwierdzenia: „Zmartwychwstały żyje”. „Święto Zmartwychwstania trwa nieprzerwanie do dziś...” Dyskusja (bo tym razem wbrew przyjętej w Taizé zasadzie, by nie dyskutować lecz dzielić się, dyskusja miała miejsce) schodzi na temat przeciwstawiania materii duchowi, siedząc na skraju grupy rozmawiam cicho z chłopakiem, uczniem szkoły wojskowej, o możliwości wierzenia.

Czwartek 12 lipca

U brata Pierre Yves'a, który zajmuje się wspólnotami rodzinnymi. Przy tej okazji odwiedziłem jeden z domów, w których mieszkają bracia. Większość uczestników spotkań nie wie nawet, gdzie są te mieszkania. Zdaje się, że przestrzega się tu zasady zakonnej klauzury. W każdym razie ich miejsca pracy i mieszkania pozostają poza obrębem przewalających się przez Taizé tłumów. Brat Pierre Yves wyznaczył mi spotkanie przy kościółku romańskim, który cichy i mroczny, jest miejscem modlitwy. Na drzwiach napis, że tego kościoła się nie zwiedza, wchodzi się tu na modlitwę. Przechodzimy przez puste, zalane słońcem podwórze wiejskiego kamiennego domu. Ciała zawałona książkami i czasopismami. Brat pracuje przede wszystkim z małżeństwami mieszanymi wyznaniowo. Daje mi ostatni numer pisma „Foyers Mixtes” redagowanego przez małżeństwa mieszane przy współpracy teologów, pastorów i księży. Dostaję też powielony tekst, cztery stroniczki drobnym maszynowym pismem, czegoś, co stanowi rodzaj reguły życia małżeństw włączających się we wspólnotę: przypomnienie tego, co pozwala w duchu miłości przechodzić ponad tym, co dzieli. Cały tekst ukazuje duchowość opartą na pokorze, nadziei i miłości. Ostatni fragment podaje formy zaangażowania zewnętrznego: modlitwa trzy razy dziennie, „rewizja życia” robiona przez męża i żonę każdego tygodnia, pielgrzymka raz w roku do miejsca kultu, przygotowanie tygodnia modlitw o jedność chrześcijan, praktykowanie gościnności, dzielenie się dobrami materialnymi, tym, co jest ponad *minimum necessarium*.

Grupy małżeństw spotykają się co kilka tygodni. Modlą się wspólnie, rozważają Pismo św., rozmawiają o swoich problemach.

Brat Pierre Yves mówi mi z radością, że ostatnio biskup Grenoble udzielił na piśmie pozwolenia na to, by w ściśle określonych okolicznościach oboje małżonkowie w małżeństwach mieszanych przystępowali do komunii św. w kościele katolickim.

*

Rozmowa z bratem Pierre Yves wytrąciła mnie z rytmu zajęć mojej grupy. Nie mogę jej nigdzie znaleźć. Wre-

szcie rezygnuję z poszukiwań i przysiadam się do jakiejś innej na trawniku obok kościoła. Tam spotkanie z księdzem, Belgiem. Opalona twarz, nieduża jasna broda, wielki spokój. Ma około 35 lat. Rozmawiamy już po zakończeniu wspólnej dyskusji w grupie. Jeszcze jako świecki pracował w Afryce: „Tam poznałem, czym jest chrześcijaństwo. Bo tam buduje się ono od podstaw, od fundamentów”. Po powrocie do Europy został księdzem. Pracuje w robotniczej parafii na przedmieściu wielkiego miasta. Boi się, by kapłaństwo nie stało się dla niego zawodem. Nie jest łatwo. W każdą niedzielę siedem mszy św. O modlitwie: „Moja modlitwa jest modlitwą na pustyni. Moje kazania są też głoszeniem na pustyni”. Ludzie bardzo dobrzy, życzliwi, przychodzą na mszę z głową pełną własnych problemów, kłopotów bardzo doczesnych. Jak głosić im Królestwo?...

(Kilka dni później mówiła mi Claudine, która przez cały czas była w tej grupie, że obecność księdza z jasną bródką stworzyła w grupie wspaniałą klimat, że zbliżył im Boga, że utrzymywał dyskusje na gruncie realizmu, że dzięki niemu panowała atmosfera spokoju i przyjaźni).

*

Z kuchni wezwali pomocy, więc rezygnuję z udziału w bardzo skomplikowanej ze względów językowych rozmowie, w której księża hiszpańscy prawie nic nie umiejący po francusku przedstawiają sytuację Kościoła w swoim kraju Belgowi, który nie umie słowa po hiszpańsku — i idę kroić salami (na 1000 osób!). Kroi się za pomocą maszyny elektrycznej. Idzie to nawet dość szybko, tylko trzeba zdejmować z każdej kielbasy firmową banderolę i po cztery na raz wkładać do maszyny (moja funkcja) oraz odgarniać stertę pokrajanych plasterków. W kuchni pracują młodzi, którzy są tu na dłużej. Podziwiam działanie maszynki do otwierania konserw.

*

Obozowisko... setki namiotów. Są bardzo eleganckie, wygodne, z daszkami, frędzelkami, przedpokojami, są biedne. Niektórzy śpią pod gołym niebem w śpiworach. Parking zawałony samochodami. Kilka motocykli. Ktoś przyjechał

z Belgii na rowerze. Wiele grup młodzieży z księżmi (mikrobusy) i z zakonnkami. Większość jednak indywidualnie. Ludzie?... nie należy idealizować. Jak zawsze w tak wielkim zbiorowisku są dobrzy i gorsi. Większość bardzo przejęta tym, co ich spotkało w Taizé. Kiedy trzy razy w ciągu dnia dzwony wzywają na wspólną modlitwę i kiedy dwa razy dziennie przez obozowisko wędruje dziewczyna z megafonem i ogłasza w kilku językach, że „spotkania zaczynają się za chwilę”, większość wyrusza w kierunku miejsca spotkań. Ale nie wszyscy. Są tacy, dla których pobyt tutaj to po prostu wakacje i nic więcej. Są tacy, którzy zgłaszają się do pracy fizycznej, czyszczenia klozetów, zbierania śmieci, mycia naczyń, sprzątanania kościoła — i tacy, którzy beztrwosko śmieją. W kościele zawsze widać trwających w bezruchu na modlitwie, ale do późna w nocy drą się też tranzystorowe radioodbiorniki. Są całujące się i czulące pary, są grupy, które wołają własną, lepszą kuchnię od wspólnych, prostych posiłków, na które trzeba nadto czekać w długiej kolejce (posuwającej się zresztą bardzo szybko). Nikt nikogo nie strofuje. Nikt absolutnie nie zwraca uwagi na niecodzienne postawy modlitewne w kościele, nikt się nie gapi na czulące się pary.

*

W czasie oficjum podawane są intencje modlitewne w różnych językach. Dziś usłyszałem wezwanie po polsku, by modlić się w naszych intencjach. Wśród wymienionych osób, za które się modlono, był kardynał Wojtyła, Jerzy Turowicz i Aniela Urbanowiczowa oraz kilka osób, których nie znam.

Po oficjum, zapowiadana kilka razy tego dnia konferencja brata Rogera, przeora wspólnoty. Otoczony ludźmi, siedząc na wysokim stołku, przemawiał po francusku, a w kościele zainstalowano słuchawki z tłumaczeniem symultanicznym. Niestety nie bardzo zrozumiałem, a zapytani potem Francuzi twierdzili, że to było raczej rozważanie niż konferencja jednotematyczna. I że nie są w stanie mi tego streścić. Wiem, że w każdy czwartek brat Roger mówi o wydarzeniach tygodnia, dzieli się swoimi refleksjami. Wiem, że opowiadał między innymi historię bardzo czarnego człowieka siedzącego przy nim.

Wieczorem, jak w każdy czwartek, „święto”. Jest więc folklor bretoński i kanadyjski, jazz i blues, flet, poezja i mim, *art floral*; wieczór holenderski, gitara, i dla tych, którzy chcą, modlitwa i milczenie w kościele (tak podaje program). Grupy ludzi snują się w mroku od jednego namiotu do drugiego. Największy tłum w namiocie 12—13: jazz i blues. Trąbka, tamburyny, puszki po konserwach. Potworny hałas. W kościele sporo ludzi. Cisza.

Piątek 13 lipca

Znowu w naszej małej grupie. „Co mi pomaga a co przeszkadza żyć przeciw prądowi?” Dużo mówimy o samotności. Potem opowiadam o naszej dyskusji Marcinowi. Mówię, że samotność to jednak wielki ciężar dla młodych dzisiejszego świata itp. Marcin — że nie. Że on przyjmuje swoją samotność: „Otrzymałem biały kamyczek, na którym wypisane jest imię nowe”. Tak powiedział Marcin, student z Warszawy.

Turyści w Taizé... Przewodnik Michelina poleca zobaczyć Taizé. Zatrzymują więc samochody, wysiadają, nastawiają aparaty fotograficzne i wyruszają na poszukiwanie. Chodzą między namiotami, przyglądają się z daleka dyskutującym grupom, krążą wśród nielicznych zabudowań, nieco zdezorientowani. Aparaty nastawione... ale co fotografować? Tłumy młodziaków? camping? szalety? bardzo zwyczajny Żółty Dom, czy dwa pozostałe?... Więc do kościoła. Nieśmiało. Mrok, potem, kiedy już wzrok się oswoił, odruch przerażenia: tu ktoś leży... ktoś klęczy opierając twarz na ziemi... po całym kościele rozrzucone nieruchome postacie. Potem na palcach obchodzą kościół, tak jakby z bliska można było zobaczyć więcej niż z daleka, schodzą do krypty. Wreszcie rezygnują z poszukiwań, wyjmują zapasy, zjadają, chowają aparaty fotograficzne, wsiadają do samochodów z wyładowanymi bagażnikami na dachach. Zrozumieli? Poznali? Zobaczyli?

Widzę z daleka grupę polskich szarych urszulanek. Zdziwienie ze spotkania, powitania. Potem usiłuję im trochę tłumaczyć, co tu się dzieje. Pierwszy raz mam okazję

tłumaczyć komuś, co to jest Taizé. Przywiózł je tu ksiądz z Paray-le-Monial, który mówi o Taizé, że wiele tu elementu sentymentalnego, oraz że typowa dla naszych czasów jest łatwość porozumienia się młodych między sobą. Chłopak z Brazylii szybciej dogada się z równolatkiem Polakiem niż ze swoimi dziadkami...

*

Wspólna liturgia, której przewodniczy brat — ksiądz (katolicki). Potem spotykam na drodze dziewczynę, która podawała mi kielich w czasie komunii św. Mówię jej o tym, jakie to dziwne. Zawsze jest odwrotnie: to ja jestem ten, który podaje. Przypomnienie, że nikt nie jest właścicielem Pana, że dzielenie się, służenie.

W nocy potworna ulewa. Błoto. Zimno bardzo dokuczliwe po niedawnych upałach.

Poniedziałek 16 lipca

Wyjazdy. Brygida i Katarzyna jadą na dziesięć dni do Szwajcarii, gdzie w grupie przyjaciół mają zastanawiać się nad problemem szczęścia. Odprowadzamy na autobus Teresę i Yves'a.

*

Zgłosiłem się do mycia naczyń. Tysiąc talerzy, łyżek, tac! Pięć pojemników z wodą do mycia i pięć do płukania. Przy każdym pojemniku dwie osoby. Inni noszą umyte naczynia do suszenia na słońcu, albo jeśli pada deszcz, prosto do magazynu. Ludzie powinni odnosić swoje brudne naczynia, wyrzucać resztki do przygotowanych pojemników. Ale gdzież tam, tylko część tak robi. Inni wołają po zjedzeniu spokojnie posiedzieć i pogadać. Trzeba więc także zbierać naczynia. Wszystko to trwa strasznie długo, wydaje się, że stos brudnych talerzy nigdy się nie skończy.

*

Grupa kleryków-Włochów. Mówię, że jesteśmy w klerykalnym towarzystwie. Gwałtownie zaprzeczają: O nie! My tu przyjechaliśmy, żeby poznać, jak żyje i jak myśli dzisiejsza, zwykła młodzież.

W poniedziałek organizacja jakby słabsza, ludzie nie

bardzo wiedzą, co z sobą robić. Mimo to widzę sprząta-
jące ekipy przy pracy, jak każdego dnia. Jeden dzień za-
miedbania, a teren utonąłby w śmieciach. Tej ustawicznej,
dobrze zorganizowanej pracy niemal się nie dostrzega.

*

Wieczorem idąc do siebie spostrzegam śliczną Geneviève.
Jest bardzo wzburzona, powiada, że zmienia namiot, bo
tam gdzie mieszka, są chłopcy, którzy palą haszysz i hała-
sują do drugiej w nocy. Więc najpierw dziwię się, że na-
mioty są jednak wspólne (wiedziałem, że są oddzielne),
ale okazuje się, że kiedy podczas deszczu przeciekało, to-
warzystwo wymieszało się w namiotach bardziej szczel-
nych. Zastanawiam się, co robić i co w tych namiotach
może się wyprawiać: młodzi, bardzo młodzi, zostawieni sa-
mi sobie... Dzielę się tym wszystkim natychmiast ze spot-
kaną grupą Belgów-Flamandów. Wsiadają na mnie: co ma
się wyrabiać? Co ty sobie wyobrażasz? Jak ktoś chce, to
ma okazji dosyć, tu są ci, którzy czegoś szukają. Tu jest
zaufanie do ludzi, tu nie ma strachliwego przeciwstawi-
ania ducha ciału itd. Więc pytam, co ich zdaniem z tymi
typkami od haszyszu? Zostawić ich w spokoju. Powtarzam
pytanie każdej spotkanej grupce znajomych. Opinia jedno-
głośna: zostawić.

Może tym razem trzeba było „żyć przeciw prądowi”, coś
robić, gdzieś iść, interweniować?...

*

Przez te kilka dni, przez które jeszcze zostaję, uczestni-
czę w grupie dorosłych. W niedzielę wieczorem zebrało
się około 70 osób. Animatorem jest ksiądz, Belg z Kanady.
Kiedy kolejno się przedstawiliśmy, okazało się, że niemal
wszyscy to księża, pastorzy, zakonnice. Jest jeszcze dzien-
nikarz z Brazylii, murarz, architekt, kierownik działu re-
klamacji jakiejś wielkiej firmy, sporo nauczycieli i nau-
czycielek. Przeważają Niemcy z RFN, sporo Belgów, Fran-
cuzów, Hiszpanów, Włochów i wreszcie kilkoro Anglików.
Tak to wygląda w kolejności. Reprezentanci zakonów mę-
skich: karmelici, salezjanie, misjonarze (z Górnej Wołty)
i ja, marianin. Przedmiotem rozmów w grupach dziś rano
pytanie: dlaczego jestem w Taizé? Ciekawsze odpowiedzi:
starszy pan, emerytowany nauczyciel z RFN, przyjechał

namówiony przez córkę, która tu rokrocznie przyjeżdża. David, pastor z Winchesteru — „wydaje mi się, że tu się dąży do odkrywania dobra wszędzie tam, gdzie ono jest. Mój kościół, choć w nazwie ma »Wolny«, jest niestety pełen uprzedzeń. Gdybym się na przykład zjawiał u siebie z tym krzyżem (krzyż w kształcie gołąbka, rodzaj pamiątki, symbolu, sprzedawany w Taizé. Wyrabiane są te krzyże przez braci, podobnie jak kamyczki) powiedziano by, że zostałem katolikiem”. Nauczycielka ze szkoły sobotniej (z tego samego Kościoła co David) przyjechała z grupą maturzystów, by tym pobytem sprawić im — jak powiada — prezent, pamiątkę przed rozejściem się na uniwersytety. Belgijski ksiądz: wiele słyszał od młodzieży, chciał sam zobaczyć.

W czasie rozmowy wynika dyskusja nad tym, czy wprowadzone od tego roku oddzielanie starszych i zamykanie ich w osobnej grupie jest dobre. Większość jest niezadowolona. Ktoś, komu ten system trafia do przekonania, zwraca uwagę, że niemal wszyscy dorośli przyjechali z grupami młodzieży i przez cały wolny od spotkań czas mają okazję do przebywania z młodzieżą.

Wtorek 17 lipca

Całą noc lało. Rano łapię moment przejaśnienia, żeby wysuszyć namiot i zapakować rzeczy. Uczestniczę po raz ostatni w spotkaniu. Wybrałem ten sam temat co w zeszłym tygodniu: żyć przeciw prądowi w znaczeniu ewangelicznym. Dziś: co mi pozwala żyć przeciw prądowi?

Ludzie opowiadają historie ze swego życia, w których musieli zająć pozycję przeciw większości, przeciw modzie, przeciw zwyczajowi. O modach szeroki wykład wygłasza kierownik działu reklamacji. Mówi o zawilych mechanizmach działających w przemyśle i handlu, o nieliczeniu się z sytuacją robotników, których zwalnia się, kiedy wygodniej zamknąć przedsiębiorstwo, o metodach narzucania mody. Wszystko to jest bardzo zawile i niestety nie potrafię odtworzyć z pamięci tych wywodów. Kończy smętnym pytaniem: jakie jest moje miejsce w tej całej zabawie?

Słuchając wypowiedzi księży i nauczycielek, zadając czasem jakieś pytanie, na które nie spodziewa się otrzymać odpowiedzi, wydaje się patrzeć na nas z naszymi

subtelnościami jak na istoty nieco infantylne. Wasze problemy — zdaje się mówić — wiszą w obłokach. Prawdziwe problemy zakorzenione są w głęboko utajonych infrastrukturach ekonomicznych, o których nie macie pojęcia.

Nauczycielka katolickiej szkoły w R. we Francji jako sytuację, w której była zmuszona stanąć przeciw prądowi, przytacza strajk zorganizowany przez nią i kilka innych nauczycielek. Chodziło o to, że w katolickich szkołach we Francji zachowały się dwie kategorie nauczycieli. Pierwsza to ci, którzy mają zdane wszystkie egzaminy. Ich sytuacja życiowa jest zagwarantowana, nie można ich zwolnić z pracy itd. Drudzy, którym brak tych egzaminów, zdani są na łaskę i niełaskę dyrekcji. W szkolnictwie państwowym zniesiono tę nierówność. Strajkujący (wszyscy należeli do pierwszej kategorii) domagali się zorganizowania egzaminów dla tych kolegów, którzy ich nie zdawali. Strajk wywołał ogromne wzburzenie rodziców („taki przykład!“... „w katolickiej szkole!“...) W strajku brało udział zaledwie kilkoro z grona nauczycielskiego. To było duże ryzyko.

*

Wywiesiliśmy przy wejściu do kościoła kartkę zawiadamiającą, że zapraszamy naszych przyjaciół na polską mszę. W krypcie ponad setka osób. Intencję podajemy w kilku językach. Także czytania. Znak pokoju — serdeczne uściski ze wszystkimi. Wiele osób przystępuje do komunii św. Po mszy pożegnania, wymiana adresów.

*

Brat Clément na pożegnanie daje mi kilka książek. Między innymi brata Rogera *Lutte et contemplation* dedykowaną przez autora „A Jerzy Turowicz”. Jadę do Paray-le-Monial. Odwozi mnie Elżbieta z ekipy „do wszelkich poruczeń”. Rozmawiamy oczywiście o Taizé. Elżbieta (studentka matematyki na Sorbonie) powiada, że przyjeżdża do Taizé zawsze, kiedy spostrzeża, że świadomość odpowiedzialności zaczyna w niej słabnąć. Pytam, co myśli o Soborze Młodych. Długo milczy. Myślałem, że w łomocie motoru nie usłyszała mojego pytania. Wreszcie mówi: „Chyba jednak można zmienić świat. To właśnie o to chodzi”

Przepisałem te notatki i teraz się boję, że czytelnik tyle będzie po ich przeczytaniu wiedział o Taizé, co opisani wyżej turyści odwiedzający to miejsce. Chcę jeszcze dodać kilka zdań, które mogą być częściowo odpowiedzią na pytanie: co myślę o Taizé? Myślenie to jest warunkowane między innymi także koniecznością konfrontacji własnej opinii ze zdaniem innych. Napisałem na wstępie, że powiedział mi ktoś (a był to ktoś bardzo wybitny), że Taizé to mistyfikacja. Inne zarzuty pod adresem Taizé, jakie spotykałem, to, że przestało ono odgrywać rolę w dziele ekumenicznym przez zbyt wielkie wychylenia ku katolicyzmowi (w środowiskach protestanckich Taizé nie cieszy się popularnością i faktem jest, że młodzieży protestanckiej spotyka się tam niewiele), że przyjęcie stylu życia klasztorów benedyktyńskich (klauzura, miejsce przeora we wspólnocie, habity, styl modlitwy) doprowadzi wspólnotę do tego, że w ciągu dziesięciu lat stanie się regularnym opactwem benedyktyńskim, zatracając swą specyficzność; że w miarę upływu lat (licząc od 1968 roku, kiedy rozpoczął się wielki napływ młodzieży), przeciętny wiek uczestników obniża się i Taizé staje się ośrodkiem dla nastolatków. W samym Taizé spotykałem kilka razy reakcję wyrażającą się w nuceniu refrenu znanej piosenki: „parole, parole, parole...” podczas wzniosłych dyskusji, co miało oznaczać, że łatwo jest mówić wielkie słowa, życie zaś pozostaje życiem.

Ale wracam do pytania: co myślę o Taizé? Jest ono przede wszystkim faktem. Niezaprzeczalne jest, że do tego miejsca spontanicznie ciągną z całego świata tysiące młodzieży. Ani atrakcyjność turystyczna, ani towarzyska, ani w pewnym sensie wolność panująca tam nie tłumaczy zjawiska. Kto zna „oberże młodzieżowe”, wie doskonale, że dla poszukiwaczy swobody i towarzyskich (mówiąc delikatnie) przygód na skalę międzynarodową miejsca jest dość. Uderza w Taizé zjawisko trudne do opisu: ci młodzi są wyraźnie zadowoleni z tego, że znaleźli się w miejscu, gdzie wolno być dobrym, gdzie mówienie o wielkich rzeczach nie jest śmiesznością, gdzie modlitwa jest czymś równie normalnym jak jedzenie czy spanie. Wyraźnie chcą być w społeczności, gdzie wiado-

mo, że zagadnięty odpowie życzliwie a jednocześnie nikt nie będzie właził z kaloszami (pytaniami, poleceniami, radami) w cudze sprawy. Rozmach planów zmierzających do „pchnięcia z posad bryły świata” ma wreszcie urok nieprzeparty.

Że bardzo młodzi? Że wielkie słowa? Są bardzo młodzi, ale są i starsi, są i dorośli, witani życzliwie (czyżś komentarz, kiedy mówiłem, że grupa dorosłych, to prawie sami księża i zakonnice: „Ach tak? to świetnie, to fantastycznie, że oni się tym interesują”). ...Młodzi za kilka lat będą już mniej młodzi. Czy kiedy sami staną do wielkiego wyścigu w społeczeństwie konsumpcyjnym, zachowają ideały, które teraz jeszcze nie kosztują wiele? Może tak, może nie. A może właśnie i tylko oni są zdolni otworzyć się, zrozumieć i zachwycić propozycjami, które dla kalkulującego na zimno dorosłego są dziecinnym belkotem?

Zapytano kiedyś przeora Taizé, czy intuicje młodych, o których tak często zwykł wspominać, są dla niego łatwo zrozumiałe. Brat Roger odpowiedział wtedy mniej więcej tak: „Cóż ja, ja jestem człowiek ograniczony i wiem o tym doskonale. Słucham tych młodych i mówię sobie: patrz, co się zdarzyło na tym wzgórzu, gdzie najpierw żyłeś samotnie. Nie przypuszczałeś nawet, że w życiu zobaczysz kiedykolwiek tylu ludzi, a tym bardziej tylu młodych. Starzejący się człowieku, nawet nie śniłeś, że tylu młodych będzie w miejscu, gdzie mieszkasz. I oto jest ich coraz więcej i więcej...”

Więc zapytuję siebie: kim ty jesteś? I odpowiadam: jestem biednym człowiekiem, który wielu rzeczy nie wie. Czego pragnę? kochać Chrystusa i kochać Kościół — i natychmiast wzbiera we mnie wielkie pragnienie jedności ekumenicznej. Czego bym chciał dla tych młodych?... Jeśli ukochają oni Chrystusa, jeśli ukochają Jego Ciało, którym jest Kościół... ach, to będzie zupełnie niebywale. Ale ty? Ty nie możesz nic w tej sprawie zrobić. Ty jesteś tylko biednym człowiekiem”.

Myślę, że Taizé jest miejscem, gdzie wierzy się Panu Bogu i gdzie wierzy się w ludzi. Udziału w dziele zjednoczenia chrześcijan nie mierzy się popularnością u katolików czy protestantów. Jeżeli czymś się mierzy, to miarą miłości, nadziei i cierpliwości. Gdyby nie było nic wię-

cej, gdyby była tylko ta wspólnota zakonników jednocząca w swoim gronie protestantów, księży katolickich i prawosławnych...

I wreszcie trzeba powiedzieć, że Taizé jest miejscem, gdzie się ludzie modlą. Miejscem, do którego ciągną z całego świata, żeby modlić się we wspólnocie jednej nadziei. Nie ma cudownych uzdrowień, nie ma żadnych kazań (trudno jedyne rozważanie w tygodniu prowadzone przez Przeora nazwać kazaniem), nie ma wystawnych nabożeństw. Jest prosta liturgia wspólnego oficjum trzy razy dziennie, jest liturgia eucharystyczna, jest kościół otwarty dniem i nocą.

Więc ostatecznie, co myślę o Taizé? Jeżeli mam powiedzieć najszczerzej o tym, co przeżywam po dniach tam spędzonych, dniach, w których robiłem wszystko, by nie dać się zawładnąć czarowi bycia w gromadzie, w których pilnie szukałem podskórnych, ukrytych przed okiem ogółu metod manipulacji i ukrytego reżyserowania... na próżno! Co myślę? Myślę tak, jak pewna prosta kobieta, która zobaczywszy pierwszy raz w życiu żyrafę, opuściła zoo stwierdzając kategorycznie: takich zwierząt nie ma!

DOPISANE PO DWÓCH MIESIĄCACH

wrzesień 1973

Wczoraj, jak w poprzedni czwartek, byłem na spotkaniu grupy Taizé. Gromadzą się w kościele Saint Ignace i odmawiają (śpiewają) wieczorem oficjum. Jest tam zwykle ksiądz, bardzo sympatyczny, kapelan akademicki, który, jak mi powiedział, w tym roku zamierza zamknąć się w klasztorze na modlitwę i medytację. Tydzień temu poszliśmy wszyscy razem na piwo. Spytałem jedną z dziewcząt, czy nie wie przypadkiem o jakimś pokoju, bo szukam. Odpowiedziała, że nie jest agencją mieszkaniową. Ja na to, że tak się pytam, bo myślałem, że wspólnota, i tak dalej. Bardzo się zawstydzila i obiecała mnie uczyć francuskiego. Ustaliliśmy więc termin. Wczoraj na tym spotkaniu był jeden z braci z Taizé i widać było, że bardziej zżyta grupa chce zostać sama. Było sporo osób. Kilku znajomych z wakacji. W większości bardzo młodzi, przeważają dziewczyny.

Po długiej przerwie na spotkaniu z ludźmi z Taizé w kościele św. Ignacego. Podobno teraz takie spotkania modlitewne są każdego dnia. W czwartek jest msza św. Może dlatego, że po długiej przerwie, może dlatego, że byłem zagrypiony, bolała mnie głowa, było mi zimno i nie miałem najmniejszej ochoty siadać jak wszyscy na ziemi, przez cały czas pozostawałem doskonale obok. Pomyślałem, że to właściwie bardzo dobrze, że jest okazja poczuć się tak, jak ci, co są zwykle w tej sytuacji. Mniej więcej w połowie nawy kościoła ustawiono składany stolik, obok lampę, taką lampę na wysokiej podstawie, jaką ustawia się w dyrektorskich gabinetach, z wielkim, jedwabnym abażurem. Na stole kilka glinianych kubków, misa na chleb. Około 30 osób, większość dziewczyn. Przed wejściem witanie się, pogadywanie. Potem w kościele. Płaszcz na krzesłach z tyłu. Wszyscy na podłodze. Ksiądz, ogromnego wzrostu, z piękną twarzą jak wykutą z kamienia, w albie i stule. Usiadł tak jak wszyscy na podłodze. Krótka próba śpiewu. Jakaś nowa pieśń czy piosenka o miłości itd. Ksiądz siedząc zwraca się do kilku osób starszych, rozsypanych po kościele, że to msza św. dla wszystkich, żeby podejść, żeby usiąść „w kręgu Pana Jezusa”. Kiedy mówił „podejść”, zwracał się do tych rozproszonych, kiedy powiedział „usiąść w kręgu Pana Jezusa”, wyraźnie zwracał się do mnie. Stałem blisko, za pierwszym rzędem siedzących, ale stałem, jedyny w kościele, bo krzeselka w tym kościele, wyplatane ze słomy i małe, są bardzo niewygodne, a zresztą nie lubię uczestniczyć we mszy siedząc na krześle. Nie siadałem na podłodze, bo było mi zimno i bałem się, że od tej podłogi musi ciągnąć mimo pięknego dywanu położonego na posadzce. Więc stałem, tyle że przestałem się opierać o filar i złościło mnie takie wymuszanie na ludziach prostoty i sposobu siedzenia. Potem była liturgia, z pięknie przygotowanym udziałem obecnych, to znaczy z modłitwami, które mówili wszyscy, ze śpiewami itd. Kiedy na komunię św. przyjąłem naczynie z Hostiami i podałem następnemu nie biorąc sobie, jako że już odprawiałem rano mszę św., ten, który mi podał, patrzył na mnie z wielkim zdumieniem. Potem inny, który zauważył, że na „Panie nie jestem go-

dzien" nie trzymam jak wszyscy Hostii, chciał mi ją koniecznie podać. Notuję to, żeby zapamiętać, że w tych wszystkich braterskich gestach grozi rodzaj zniewalania ludzi, zniewalania żenującego, z którym nie wiadomo co robić. Miałem pokusę, by gest wykonać, po to by nie zrobić przykrości temu miłemu człowiekowi, który o mnie pomyślał. Pomyślał, bo należy pomyśleć w tym momencie, żeby nikt nie czuł się osamotniony, wyizolowany. Z tego „bo powinno się” korzystałem nieraz, przychodząc do różnych grup chrześcijańskich, chcąc je poznać. Wiedziałem bowiem, że moje pojawienie się u nich potraktują jako rodzaj egzaminu z miłości bliźniego. Wiem też, że jest granica tego „bo powinno się”, granica pytań, które zadaje się „etranżerowi”, tak by przypadkiem nie dowiedzieć się, że jego sytuacja wymaga zbyt wiele. Oczywiście nie wszyscy są tacy, ale jeśli nie chce się wywołać popłochu, nie należy niczego chcieć. Oczywiście bywa też, że wszyscy zaczną się czymś czy raczej kimś zajmować, tak że mimo skuteczności owego zajmowania człowiek robi co może, by powiedzieć, że już jest dobrze, żeby się nie zajmowali, nie pochylali, nie pytali bez końca. Więc tak stałem i patrzyłem na tego monumentalnego księdza, który mógłby przemawiać w tym wielkim kościele do tłumów bez pomocy głośników. Był taki wielki i głos miał taki mocny — mimo że wyraźnie starał się mówić cicho — że jakby przytłaczał tę małą grupę niemal dzieci, i miało się wrażenie, że aż szkoda takiego bloku energii dla tej małej, dobrej grupki. Pełen takich idiotycznych myśli wyszedłem trochę wcześniej, bo przez tę grypę nie miałem najmniejszej ochoty na rozmowy po mszy.

L'ARCHE — ZNAK NADZIEI

„I ja także śnię. Ten sen jest zarazem moją Nadzieją. Śni mi się świat miłości, świat braterstwa, w którym bogaci i biedni, Wschód i Zachód, ułomni i zdrowi dzielić się będą wszystkim w wiosnie prawdy, świat, w którym znikną mury dzielące ludzi. Sen szaleńca?... Sen utopisty?... Wierzę w ludzkie serca. Zbyt wiele widziałem wspaniałych sił rodzących się w ludzkich sercach. Zresztą... mój sen, to nie tylko sen. Wspiera się on na tym, co widzę każdego dnia — na codziennej rzeczywistości łez i śmiechu, cudownych spotkań i trudności w kontaktach... Mój sen zmienia się w jawę, kiedy jestem w L'Arche. L'Arche to wspólnota ludzi, którzy przychodzą tu ze wszystkich stron świata, jedni ze zranioną inteligencją, ze zranioną psychiką; inni, bo chcą z tamtymi dzielić życie. Dzień po dniu, wspólnie, próbujemy żyć. Żyjemy realnością: pracujemy, cieszymy się i cierpimy. Czasem bywa bardzo ciężko, bo wielki jest ciężar codzienności, bo śmierć egoizmu i dzielenie się, to sprawy niełatwe. Ale czasem też nasze życie wręcz eksploduje radością...” *

Dziś ostatni dzień mojego pobytu we Francji i Andrzej zabrał mnie do Trosly-Breuil. On został tam na kilka dni, więc wracam do Paryża sam. W książce, którą czytam zakreślałam długopisem: „I ja także śnię. Ten sen jest moją Nadzieją...” Przed godziną zamieniłem kilka słów z tym, który napisał te słowa. Ale nawet nie o niego mi chodzi. Chodzi mi o urzeczywistniony sen, który widziałem i którego dotykałem. Zaraz pociąg wjedzie na Gare du Nord. Paryż. Jutro Warszawa. Który świat jest prawdziwy, normalny, serio?...

„Kiedy mnie zapytają — a dzieje się to często: — to musi być deprymujące tak żyć razem z upośledzonymi

* Wszystkie cytaty — to wypowiedzi Jean Vaniera.

umysłowo? zdają sobie wtedy sprawę, jak każdy dzień ukazuje mi przewagę tak zwanych «nienormalnych» nad «normalnymi»”.

„Niedawno odwiedziłem w Kanadzie jeden ze szpitali. W pierwszej sali spotkałem ludzi prawie normalnych. Kiedy powiesz im dzień dobry, popatrzą na ciebie z bladym uśmiechem. Potem przechodzi się do tych, których stan określa się jako ciężki debilizm. Dystans znika. Podchodzą, by uściskać ci rękę: ja nazywam się Robert, a ty jak się nazywasz? Jestem Jan. A ty, Robercie, co robisz?... i toczy się rozmowa, czujesz się z nimi dobrze. A po chwili lekki niesmak. Stała się rzecz niedopuszczalna. I co teraz? Przywiązałeś się do tych ludzi zranionych i prostych. Na dnię ich serc wyczuwa się ogromny smutek; ale żadnych barier. Więcej, przez ufne zwrócenie się i swoją samotność obalili mury w moim sercu. Ich cierpienie i opuszczenie jest zaproszeniem, które sprawia, że nagle chce się tu pozostać, dzielić ich los, być dla nich źródłem wolności i pokoju... Potem wychodzisz przez salę prawie normalnych (blady uśmiech), wychodzisz poza klauzurę szpitala w świat normalny, gdzie ludzie do siebie nie mówią, nie uśmiechają się do siebie, gdzie nie ma współczucia, gdzie nie ma wspólnoty. Tu ludzie biegną nie zatrzymując się wobec cierpienia braci... Spieszą się, mają zawód, muszą robić pieniądze... Panie doktorze, panie dyrektorze, panie przewodniczący: relacje sztuczne, zewnętrzne, funkcjonalne. To nie są już relacje między osobami, ale między tytułami i funkcjami. W tych funkcjach i tytułach nie ma serca. Bo osoba to serce; a serce oznacza czułość, współczucie, zdolność słuchania, zrozumienie...”

*

Wiedziałem o l'Arche sporo, czytałem książkę Jean Vaniera *Ton silence m'appelle* i kiedyś byłem na jego konferencji. Andrzej, który ich zna, opowiadał mi niejedno. Ale właściwie nie umiałem sobie tego wyobrazić. Może dlatego, że Jean Vanier w swojej książce sięga do takich wielkich spraw; może dlatego, że czytając lub słuchając o tamtejszym życiu, traktowałem to podświadomie jak literaturę, jak coś w rodzaju budującej historii do ozdobienia kazania; a może dlatego, że niczego podobnego do

tej pory nie spotkałem. A przecież mogłem tam pojechać równie łatwo, jak to zrobiłem dziś. Ostatecznie przez tyle czasu mieszkałem zaledwie parę godzin jazdy pociągiem od Trosly... I wiedziałem, nawet ktoś kiedyś mi mówił, że powinienem. I teraz, choć na kartce, gdzie wypisałem „sprawy do załatwienia, ludzie do spotkania i rzeczy do zobaczenia”, był wymieniony Jean Vanier, gdyby nie Andrzej i nie to, że już został tylko ten jeden dzień, pewnie bym nie pojechał. Odłożyłbym, zaproponowałbym ustalenie jakiegoś innego terminu, przy okazji.

„Jestem przekonany, że w gruncie rzeczy człowiek określany jako normalny jest zwykle bardzo okaleczony. Jego wielkie kalectwo to niezdolność spotkania się z osobą inną niż on sam. Biały boi się czarnego, bogaty ubogiego, zdrowy — człowieka dotkniętego chorobą. ...Istnieją w nas bariery przeogromnego strachu. Boję się, bardzo się boję spotkania z ludzmi, bo to ostatecznie zmusi mnie do zmiany siebie... Boję się, wolę więc pozostać w swoim kącie... Istnieje strach przed tym, by nie stać się kimś innym niż się było dotychczas, strach by nie zgubić siebie... żeby nie zgubić tego, co uważa się za istotne we własnym życiu”...

rzuca się pieniądze,

dobra materialne

przez mur

I w żadnym wypadku nie chce się zobaczyć

ani dotknąć...

W L'Arche jest ich bardzo wielu zgromadzonych ze wszystkich stron. Żyją razem, dzieląc się wszystkim, w pracy, świętowaniu, w śmiechu i we łzach.

Zauważyłem — powiedział dziennikarz przeprowadzający wywiad dla telewizji kanadyjskiej z Jean Vanierem — że kiedy pan mówi o upośledzonych umysłowo, pan się z nimi utożsamia...

„Myślę, że jestem im bardzo bliski i że oni są mi bardzo bliscy, zwłaszcza w tym foyer, gdzie jestem. Cóż, to już niemal dziesięć lat, jak żyjemy wspólnie z Jakubem, Rafaelem, Lucjanem i innymi. Jeżeli nie jestem w Indiach, Kanadzie albo gdzie indziej tam w L'Arche jest mój dom. Nie mam innego, to moje najbliższe środowisko, mo-

je życie... a więc to chyba nic dziwnego, że jesteśmy sobie bliscy”.

Do wspólnoty przybywają ludzie, którzy spędzili długie lata w szpitalach psychiatrycznych, pozbawieni ciepła, pozbawieni życia rodzinnego i owego poczucia bezpieczeństwa, jakiego daje obecność ojca i matki. Także inni, dźwigający przeróżne rodzaje kalectwa, ale zawsze dotknięci tym samym cierpieniem: odrzuceni. Medycyna określa ich jako „ograniczonych umysłowo”, jako „debili”, jako „nieprzystosowanych”. Mężczyźni i kobiety, dorośli — ponad 18 lat — potrzebujący środowiska, które się nimi opiekuje. Brak im samodzielności. Ich ograniczenie jest wynikiem wypadku, choroby przebytej w dzieciństwie, dziedziczenia czy środowiska, w jakim przyszło im żyć. To ograniczenie psychiczne czy fizyczne jest podwojone przez następne kalectwo: odrzucenie i niezrozumienie otoczenia.

Jedni mówią za dużo, inni nie mówią niemal nic, jedni ujawniają swoje cierpienie przez agresywność, przez niekontrolowane gesty, gwałtowność, drudzy przez depresję, niechęć do robienia czegokolwiek, niechęć do życia. Jeszcze inni przeciwnie, tryskają radością, przekomarzają się, żartują. Jedni są tu od dziesięciu lat, inni dwa tygodnie. Ci zranieni w swoim istnieniu ludzie żyją otoczeni zdrowymi. Wśród tych ostatnich niektórzy nawet nie mówią dobrze po francusku. Jedni przygotowani fachowo, inni pociągnięci wielkością idei przychodzą po takich studiach jak np. literatura. Jedni przychodzą, żeby żyć tu i pracować przez tydzień, przez miesiąc, przez wakacje. Niektórzy zostają. Rok, dwa, cztery. Powiedziała mi Barbara: „ja zostanę tu (to znaczy niekoniecznie tu w Trosly, ale w L'Arche) całe życie”. Ktoś inny: „jestem tu już cztery lata, ale wiem, że będę musiała odejść. Tu jest mi zbyt dobrze. Ja tylko biorę”. („Niektórzy przychodzą tu, żeby dawać. Ci po troszeczkę uczą się także przyjmować...”) Jedni przychodzą, bo chcą podświadomie uciec od niełatwego świata, inni, bo środowisko L'Arche wydaje im się sympatyczne i pogodne.

Żyją w małych wspólnotach, które składają się na wspólnotę większą. Małe wspólnoty — to co nazywa się tu foyer. Trosly-Breuil to wieś położona 11 km od Compiègne. Każde foyer to po prostu jedna zagroda, jeden wiejski, kamienny dom z podwórkiem, bramą... Każda

wspólnota to około dziesięciu „upośledzonych” (okropne określenie, czyż każdy nie jest jakoś upośledzony?) i trzech lub czterech „normalnych”. Razem mieszkają, przygotowują sobie posiłki, organizują wspólne gospodarstwo, przyjmują przyjaciół.

Kiedy siada się z nimi przy stole, pierwszy odruch, to strach („jak mam się zachować? jak się do nich odzywać?...”), przełamuje się go w najprostszy sposób: natychmiast pytają cię, coś za jeden, zaczną mówić o sobie i bynajmniej się tobą nie przejmują. Potem uderza wesolość, radość i życie się tych ludzi. Ale przecież „te wspólnoty, stworzone zarazem z kobiet i mężczyzn ciężko poramionych w swym życiu psychicznym i z opiekunów, przychodzących zwykle z warunków względnie łatwych, nie rodzą się spontanicznie. Wsadźcie dziesięć osób do jednego domu i powiedzcie im: teraz macie żyć razem dzień po dniu, rok po roku... czasem upłynie kilka lat, zanim zrodzi się wspólnota”.

Ci co przychodzą ze szpitali psychiatrycznych, zresztą także skądinąd, początkowo mieszkają w osobnym domu. Znalezienie się tu jest tak wielkim szokiem, tak wielką zmianą w stosunku do tego, co przeżywali gdzie indziej, że pierwszy okres jest niemal zawsze trudny. Reagują gwałtownymi atakami agresji albo stanami depresyjnymi — powiedział mi ktoś z młodych należących do grupy zajmującej się tym domem. I jeszcze: że to normalne, takie jest życie, każdy musi przez to przejść.

Rzeczywistość jest taka, że każdy z tych kalekich ludzi jest bytem niezmiernie kruchym, słabym, z pewnością bardzo kochanym przez Boga, jest bytem o niezwykłych zdolnościach, którym trzeba dopomóc wzrastać. W L'Arche odkrywamy każdego dnia od nowa, że upośledzony umysłowo ma swoją specjalną muzykę, swój własny rytm. Nie chodzi o to, by zrobić zeń „normalnego”, ale by pomóc mu osiągnąć maksimum jego własnych możliwości, jego własną pełność. Wielu z nich nie będzie mogło nigdy się ożenić czy wyjść za mąż. To daje ich życiu zupełnie specjalny aspekt. Są zdolni do życia we wspólnocie, życia bardzo intensywnego, bardzo radosnego mimo wszystkich trudności, które być muszą. Nie uwikłani przez zarozumiałość inteligencji, mają inne poczucie wartości niż większa część naszego społeczeństwa. Posiadają wielką

wewnętrzzną wolność, bardzo bogate życie uczuciowe, które musimy respektować. Kiedy szuka się dla nich pracy, trzeba szukać takiej, która im odpowiada, takiego sposobu życia, który pozwoli im rozkwitnąć. Oni nie są z natury ani święci, ani podli, ale są ludźmi, pięknymi, jak każda osoba ludzka; każdy z nich jest jedyny, każdy ma swoje miejsce w społeczeństwie ... Słabi, ale bardzo bogaci w swej uczuciowości...”

Pracują, zarabiają na życie. Nieraz trzeba wiele czasu, by znaleźć odpowiedni warsztat pracy. Przychodzi taki chłopak ze szpitala. Jego marzeniem jest np. tranzystorowe radio. Mówią mu: możesz zarobić i kupisz. Są normy, wypłata. Koszty utrzymania także ponoszą wszyscy. Oczywiście, normy są ustalane z uwzględnieniem możliwości. Każdego roku w lecie wycieczka. Była Polska. W tym roku Rzym. Chcesz jechać? musisz oszczędzić, zapłacić. To nie jest zakład miłosierdzia. Tych dorosłych ludzi traktuje się poważnie. Pytam: czy to nie rodzi zawiści, chciwości? Zdziwienie nad moją nieznaną rzeczą... ci ludzie mają w sobie najsubtelniejsze wyczucie sprawiedliwości, wielką czystość. Jeśli trafiają się trudności tego typu, to już raczej wśród opiekunów. A opiekunowie? Większość to młodzi, dziewczęta i chłopcy. — Czy dostajecie wynagrodzenie za pracę? — pytam. — Zasadniczo tak. Rozmówca nie wie nawet, jakie jest jego wynagrodzenie, bo już kilka lat temu zrezygnował ze znacznej części. Bierze tylko kilkaset franków, minimum na ubranie, na wyjazd do rodziny. Ale nie jest to regułą.

Pracują. Chodzimy po tych warsztatach, gdzie wykonuje się jakież części do Citroëna, piękne ceramiki, mozaiki, pudła do przechowywania akt. Prowadzi się fermę. Państwowy fundusz społeczny wypłaca na każdego chorego pewną kwotę.

A zaczęło się tak: Jean Vanier, syn generalnego gubernatora Kanady, zawodowy oficer Królewskiej Marynarki Kanadyjskiej (wstąpił do szkoły morskiej w 1942 r. jako trzynastoletni chłopak), po wojnie studia filozofii, doktorat z Arystotelesa, wykłady filozofii w Toronto. Wtedy po raz pierwszy spotyka się ze światem „ograniczonych umysłowo”: „Spotkałem ludzi, którzy zaprosili mnie, żebym z nimi pracował. Razem malowaliśmy, odnawialiśmy jakiś budynek. To było ciekawe przeżycie, z nimi czu-

łem się szczęśliwy. Ze studentami musiałem być profesorem, wśród tych ułomnych ludzi wiedziałem, że muszę być sobą samym. Drobną różnicą...". Potem poznaje lepiej ten świat chorej psychiki, z całym jego bogactwem. Odwiedza szpitale psychiatryczne. Spotyka Rafaela i Filipa, wyciąga ich z więzienia-szpitala, w którym są zamknięci w nieludzkich warunkach. Jest rok 1964. Zabiera ich ze sobą do Trosly-Breuil, do tej pory istnieje dom, w którym zamieszkali. Dziś w Trosly żyje 155 chorych i 120 opiekunów. We Francji są jeszcze dwie wspólnoty L'Arche, ponadto w Toronto, w Asha Niketan w Indiach; inne są w trakcie powstawania, jak w Anglii i następne we Francji, bardzo potrzebne.

*

„Kiedy czytamy Ewangelię, uderza nas wielkość kontrastu między wymaganiami Błogosławieństw i tym, czego wymaga od nas świat, w którym żyjemy.

Kiedy czytamy Ewangelię, wszystko wydaje się takie proste: iść za głosem Ducha świętego, żyć wolnością dzieci Bożych, kochać nieprzyjaciół. Potem wracamy do naszej rzeczywistości, do naszego życia w świecie, sprawy muszą jakoś iść, mimo wszystko pieniądze są potrzebne, są przyjaciele, organizacje, jest sytuacja życiowa, w jakiej się znajduję w wyniku studiów, zawodu, małżeństwa, należenia do zakonu. Nie jest ani łatwo, ani prosto żyć ewangelią... w ubóstwie ducha”.

*

Książka Jean Vaniera *Ton silence m'appelle* (Fleurus 1974). Kiedy po raz pierwszy widziałem autora (wysoki, barczysty, siwy pan w szerokim swetrze, wygłaszał konferencję w kościele Saint Séverin), była z nim razem spora grupa młodych ludzi upośledzonych umysłowo. Dwie rzeczy w tym człowieku rzucały się natychmiast w oczy: ogromny wzrost i dobroć. W 1946 — jak pisze na pierwszej stronie książki — „tajemniczym wyrokiem Opatrzności zetknąłem się ze światem ludzi zranionych w ich zdolności myślenia, naznaczonych stygmatem określeń: debil, nienormalny... Bardzo szybko odkryłem, że pod ich ranami i kalectwem ukrywa się niezwykle delikatność

i subtelność głębokich osobowości, odkryłem ich cierpienie w obliczu pogardy i odrzucenia przez nasze społeczeństwo". Książeczka, 126 stron małego formatu, to zbiór (konferencji, artykułów i rozważań o człowieku, samotności, niewinności, cierpieniu, a przede wszystkim o miłości i o Bogu. Niektóre partie, jakby podsumowania, mają formę wiersza:

Zbyt już dawno zapomnieliśmy
że Jan, Piotr i Ludgère
upośledzeni umyślowo
to osoby ludzkie
Że każde z nich jest osobą
która chce być kochana
która kocha
cieszy się tak jak ty i ja
jak ty i ja... (bo wiesz, MY, MY jesteśmy ludźmi normalnymi.
to cudowne być normalnym, no nie?)
Jan, Piotr i Ludgère mają serca, które cierpią
kiedy nie patrzy się na nich
z miłością i szacunkiem.
Od zbyt dawna traktujemy ich jak dzieci.

...Zbyt długo już nimi pogardzamy
i od zbyt dawna odnosimy się do nich
miłosiernie, dobrotliwie,
nie widząc ich możliwości.
Zapomnieliśmy, że pragną szacunku
że czekają na naszą miłość,
która stwarza chęć dawania siebie,
poczucie, że się jest potrzebnym,
że ma się miejsce w społeczeństwie.
Oni mają prawo do wzrastania,
do tego, żeby rozkwitali
w pracy twórczej i pogodnym odpoczynku,
w zacisznym gronie przyjaciół...

Ale my, tak zwani „ludzie normalni”
(to dla nas cudowne, że jesteśmy normalni, dla
ciebie i dla mnie. No nie?)
z sercami w stanie atrofii
z duchem przeciążonym i opętanym przez mit skuteczności

my zapominamy zupełnie
że oni to osoby ludzkie.

Janie

Piotrze

Ludgère...

czy przebaczycie społeczeństwu?
czy zechcecie i mnie przebaczyć
że zbyt długo was nie widziałem?

Jezus na krzyżu zawołał głosem wielkim

„Boże mój, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią”.

Wy, gdy wstaniecie z martwych

zechciejcie rzec to samo

za nami, prosząc u Ojca Przedwiecznego.

Powiedzcie: nie wiedzieli co czynią

nie zatrzymując się w biegu,

by nas posłuchać,

by na nas spojrzeć,

by nam pomóc pracować i żyć.

(To cudowne że jesteśmy normalni — ty i ja — no nie?)

BOQUEN

Najpierw kilka godzin pociągiem, potem, tak jak podano w liście, ponad dwadzieścia kilometrów. Odpisano mi na moje zgłoszenie, że owszem, mogę przyjechać, jeżeli chcę nocować we wspólnym dormitorium, bo pokoi indywidualnych zabrakło. Wsiadłam z pociągu. Kierowca autobusu na stacji radzi dojechać taksówką: tam nic nie jeździ. Autostopem? panie, mowy nie ma. Mimo wszystko idę łapać okazję. Uplywa godzina i nic. Straszna czarna chmura tuż, tuż. Przechodzący staruszek: trzeba przejść szosę, bo tam dopiero rozwidlenie. Przechodzę. Mimo „stopu” żaden samochód nie okazuje zainteresowania. Zaczyna padać, a tu szczerze pole. Nawet drzewka jednego. Pod moją drogą rodzaj tunelu, ale tam nie zejść chować się przed deszczem, bo oszalałbym od wizgu samochodów. Mam sporo czasu. Ruszam piechotą. Wreszcie zatrzymuje się mały furgon. Wiezie materiał budowlany. Siadam na jakiejś skrzynce, bo siedzenia wymontował. Boquenv zna, oczywiście. „Myśmy razem z Bernardem Besretem byli w ostatnią niedzielę święcić kaplicę”. Zostawia mnie na skrzyżowaniu. Jeszcze z dziesięć kilometrów. Na chwilę przestało padać. Znowu ktoś mnie bierze. Tym razem lepiej. Gospodarz mieszka, jak twierdzi, przy samym opactwie. Także miły, rozmowny. Wysadza mnie przy drodze, która wchodzi w mały lasek. To już ponoć kilka kroków. Idę. Deszcz coraz większy. Schodzę w mokrą trawę, żeby nie zachlapało mnie słońce wielkie auto. Wóz mija mnie i zatrzymuje się. Też do opactwa. Wcale nie jest jeszcze tak blisko.

Deszcz. Parking. Szukanie wejścia. Stary niski klasztor. Romański kościół. Ludzie dziwnie miejsko wyglądający w otoczeniu nie strzyżonych traw, krzaków, chwastów.

Kamienna wielka sien, dawniej pewnie otwarta na w rydarz, teraz z dużymi oknami. Stolik, kilka osób coś szyje. Podchodzę: dzień dobry! „Dzień dobry! Czego chcesz?” I uśmiech, może przesadzam, ale jakiś za bardzo programowy i nieco „z założenia”; bezpośrednio: „przecież nie musisz stać z tym plecakiem na plecach”. Nie muszę. Recepcja jest obok. Dormitorium: sala na strychu wielkiego kurnika. Idzie się alejką przez park klasztorny, bardzo zapuszczony. Tu i ówdzie jakieś poletka warzyw. Błoto. Zostawiam plecak, wracam. Pytam, czy można tu coś kupić do jedzenia. Prowadzą mnie gościnnie do kuchni. Zupa, kurczak, wino, ser, owoce. Przepraszam, że mają z mną kłopot. Kucharka: ależ nie, jestem przyzwyczajona. Ilu ludzi zwykle? ze setka. Piękna stara kuchnia, w miarę zmodernizowana. Myję po sobie naczynia (ależ nie, proszę zostawić w zlewie). Kiedy myję jednak te talerze, garnek i jeszcze jakieś skorupy, które tam stoją — milcząca aprobata. To jest sympatyczne i domowe.

Płacę za pobyt dwadzieścia pięć franków (jeśli ojciec nie ma, to proszę nie płacić...) Do sali z kominkiem. Tam jakaś dyskusja. Ktoś mnie przedstawia, że polski ksiądz. Kwitują to chwilą przerwy w dyskusji. Niemal sami dorośli, kilku młodych. Dyskusja o sytuacji społecznej we Francji. Ktoś dowodzi, że zmienia się na lepsze, ktoś gwałtownie zaprzecza. Mówią o różnych sprawach bardzo szczegółowych, powołują się na ustawy. Jestem nieco zagubiony.

W liście potwierdzającym przyjazd załączono druczek: wyjątki z książki *Parole et Pain* Bernarda Besret, jednego z animatorów wspólnoty. Streszczam: znamienne, że nie istnieje żadna broszura o Boquen, żaden tekst, który by prezentował lub określał ten ośrodek i różne jego aspekty. Ale wspólnotę definiuje się przez ducha, a ducha się nie definiuje, ducha się czuje, a jeszcze lepiej: nim się żyje. Miejsce przesiąknięte tradycją. Od XII wieku mnisi cysterscy żyli i modlili się w tym klasztorze. Iłakroć tu wracam, jestem przekonany, że wiele rzeczy byłoby niemożliwych do zrealizowania gdzie indziej. Dzieje się tak dzięki swoistej kontynuacji. Wtargnięcie wolności: gdyby się spytać, jakie słowo najczęściej powtarzane jest w Boquen, każdy kto bywa tu częściej potwierdzi, że słowem tym jest wolność. Jest to wolność myślenia, która

nie przyjmuje żadnego twierdzenia a priori. Wolność wypowiedziania się. Wolność, która poddawana jest próbie w ogniu konfrontacji. (...) Polifonia wyrazu.

Boquen jest miejscem przebudzenia do życia, które w nas jest, do słuchania i zobaczenia innych ludzi, do ufności, która jest wiarą, przepromieniowanie człowieka duchem Jezusa z Nazaretu. Przebudzenia do solidarności, we wszystkich jej formach, jakich wymaga miejsce gdzie żyjemy, do współodpowiedzialności za świat, do wspólnego wysiłku, by świat przemienić.

Jest w tym zagrożenie: szukanie przebudzenia może być wygodnym alibi, dyskusje mogą zastąpić świadectwo życia.

Pustynia... klasztor leżący na odludziu zapemnia się w ostatnich czasach, ale droga, którą wybrał, jest długim marszem przez pustynię. Ku ludzkości pojednanej.

*

Kolacja w dużej sali. Energicznie rozbija się grupki rozmawiających ze sobą przy wejściu i sadza się — metodą upychania, od najdalszych miejsc poczynając — przy osobnych stołach. Ta praktyka, logicznie uzasadniona, ma tę dobrą stronę, że zmusza do nawiązywania nowych znajomości. Po kolacji na stołach stawia się wanny z wodą i wszyscy rzucają się do mycia naczyń, znoszenia dzbanów, wycierania (szycie przy wejściu, to było obrębianie ścierek), odnoszenia umytych naczyń do szaf w jadalni i w kuchni.

Ksiądz, którego poznałem przed kolacją, profesor teologii, chyba Belg, podróżujący po Europie żeby zapoznać się ze współczesnymi tendencjami teologicznymi, pohamowuje moje zapęły społeczne (że jest i tak za dużo ludzi). Odnosząc po drodze każdy po kilka czystych naczyń idziemy na przechadzkę: jest mokro i siąpi deszcz, ale mimo to spacerujemy, a ja wysłuchuję z nabożeństwem wielkich pochwał teologii niemieckiej i o tym, jak bardzo Francja jest w tyle.

*

Spotkanie z J. C. Barreau. Znany z książek (ostatnia: *Questions à mon Eglise*, Stock 1972), znany z fotografii, Jean-Claude wydaje się jakiś młodszy, nie tak wyrazisty

jak na zdjęciu ze skrzydełka książki, mniej groźny, jakby znajomy. O. Besret w rudym swetrze i czarnych sztruktowych spodniach, wysoki, kościsty, podnosi się ze swojego miejsca przy kominku i mówi, że naszego przyjaciela Jean-Claude nie trzeba przedstawiać i że ponieważ jeszcze wielu uczestników nie przyjechało, teraz jest spotkanie na tematy luźne, że można pytać o co się chce, że on proponuje, by J. C. powiedział, czemu jako temat wybrał modlitwę. Barreau odpowiada, że jego zdaniem modlitwa, to zasadniczy problem wiary, że nieporozumieniem jest przedstawianie religii jako systemu moralnego. Zastrzega się ciągle, że nie chce mówić o tym, o czym będzie mówił do wszystkich, że nie chce powtarzać. Kiedy naciska go ktoś, kto nie może zostać, a chce najkrócej usłyszeć, czym jest według J. C. modlitwa, ten odpowiada, że modlitwa to przebudzenie. Mówi o spojrzeniu artysty, o spojrzeniu dziecka.

Pierwsza konferencja zbudowana na analogii: modlitwa — narkotyki. „Niebo zaraz”, wyłączenie się, protest przeciw ideałom konsumpcyjnym. Ale narkotyki to nieporozumienie i dezintegracja osobowości. Modlitwa przeciwnie*. Zebranie odbywa się w pięknej, sklepionej sali z kominkiem.

Dalsze rozważania, już drugiego dnia, w czasie liturgii oparte na tekstach: o pragnieniu, łaknieniu, głodzie (Jan 7,37. Mt 4,4. Jan 6,51. Mt 5,6) i o nasyceniu (Amos 6,7—7). Ze sto pięćdziesiąt osób na niskich ławkach w starym romańskim kościele. Strop odbudowano zupełnie niedawno; wiele — stopniowo usuwanych — śladów opuszczenia. Rozważanie w czasie liturgii, poprzedzone chwilą rozmowy w małych grupach utworzonych z ludzi tak jak siedzą obok siebie. Dla Chrystusa wszystkie „głody” są obrazem tego jedyne go głodu. Łaknący Sprawiedliwości: pragnący Boga. Łaknący są szczęśliwi, łaknienie jest stanem uprawionym. Antropologiczny sen o zaspokojeniu człowieka: Marks, Freud, Marcuse. Chrystus nie mówi o zaspokojeniu. Niezaspokojeni — szczęśliwi. Amos: nieszczęśli ci, którzy są zaspokojeni. Chrystus mówi: proś! Łatwiej dawać, ale w chrześcijaństwie żyje także idea, która znalazła wyraz w powstawaniu zakonów żebrzących. Coś, co w społeczeń-

* J. C. Barreau wydał później książkę *La prière et la drogue*, Stock 1974.

stwie burżuazyjnym nie do pomyślenia. Nigdy nie prosić! Jak być pragnącym, biednym, potrzebującym?...

Nasz udział w Eucharystii oznacza, że jesteśmy głodni. Módlmy się, byśmy byli zawsze głodni, spragnieni, nigdy nie zaspokojeni, nigdy nie usatysfakcjonowani, byśmy nie byli epikurejczykami, bo nic nie może zaspokoić człowieka. Ten stan to modlitwa.

Liturgia uproszczona maksymalnie. Besret przy rozstawionym po przemówieniu Barreau ołtarzu przewodniczy, odmawia improwizowany tekst. Wymawiając słowa konsekracji podnosi w górę dwie garście chleba, dwa kubki z winem. W czasie komunii ludzie podają sobie talerze z chlebem i wino (którego zresztą zabrakło dla części uczestników). To co zostało, zbierają po liturgii dwaj młodzi ludzie i odnoszą do tabernakulum — metalowego, dużego klosza, którym przykrywa się talerze z konsekrowanym chlebem. Trzecia konferencja: modlitwa jako obudzenie. Słowa wielkiej pochwały pod adresem ascezy katolickiej, że można tam odnaleźć wszystko: bogactwo, jakiego nigdzie indziej w takiej pełni nie ma.

Z rozmów z J. C. B.: na pytanie, jak się czuje, jako żonaty eks-ksiądz, pozbawiony możliwości sprawowania funkcji, mówi że czuje się nadal bardzo obecny w Kościele. O chrzcie dzieci: aczkolwiek ochrzcił swoje dziecko zaraz po urodzeniu, uważa, że jeśli to jest akt wiary, to możliwy tylko u człowieka dorosłego, że dziecko nie przeżywając świadomie śmierci, nie jest w stanie zachwycić się religią Zmartwychwstania.

Boquen jest miejscem (?), zjawiskiem (?) kontrowersyjnym. Liturgia, zaproszenie księdza, który się ożenił, by przewodniczył rozważaniom dnia skupienia, obecność księży, którzy przestali sprawować swoje funkcje, zaangażowanie polityczne, o którym niedawno powiedział Besret, że jest to sprawa nie dość w tej chwili klarowna, i tak dalej, i tak dalej, sprawia, że Boquen jest tematem, o którym nie wszyscy chcą rozmawiać. Zapytani, dają odpowiedzi ogólnikowe: że to bardzo specjalne, że nieco przesadzono w niektórych sprawach, że dla ludzi, którzy są na marginesie, to pewnie dobre. Takie odpowiedzi słyszałem i zanotowałem. Byłem tam przez sobotę i niedzielę, wiem mało. To co mnie uderzyło: w tym miejscu wymaga się od ludzi, żeby jeżeli mówią, „nie byli magneto-

fonami", żeby mówili na własną odpowiedzialność. I jeszcze, że wiarę, Chrystusa, Ewangelię traktuje się tam bardzo poważnie. Jest wiele rzeczy, które szokują, są takie, które mogą zgorszyć (Pokazano kiedyś w telewizji Boquen, a tam kogoś, kto oświadczył, że praktykuje strajk chrztu; że nie chce ochrzcić się w żadnym z rozdzieranych niezgodą Kościołów. Ale przystępuje do komunii św. właśnie w Boquen. Ktoś pytał przeora, jak to jest? Odpowiedział: Czy my jesteśmy po to, żeby sądzić człowieka, który przychodzi do komunii?).

Boquen, obok funkcji ośrodka, do którego ludzie przyjeżdżają, z którym są związani, pełni specjalną rolę w ruchu wspólnot, których wiele w ostatnich latach powstało we Francji. Wspólnoty te miały od 1970 r. cztery wielkie spotkania. Niepoślednią rolę odegrał w nich Besret. Owocem tych przemyśleń jest napisana wspólnie z Bernardem Schreinerem książka *Les Communautés de base*, wydana u Grasset.

*

Nie podano tego do wiadomości publicznej. Uważano, że za wcześnie, że to pierwszy krok, pierwszy etap negocjacji, które wtedy jeszcze nie były zakończone: od kwietnia Boquen przestało być opactwem cysterskim. Tu i ówdzie mówiono na ten temat różne rzeczy, ostatecznie wyjaśnił sprawę wywiad przeprowadzony przez „Informations Catholiques Internationales” (1 listopada 1973) z dawnym przełożonym klasztoru i głównym animatorem wspólnoty. Czytamy tam, że chodzi o decyzję ściśle jurydyczną. Wspólnota utraciła wszystkie przywileje klasztorne datujące się od średniowiecza, została też zwolniona z obowiązków, które były bardzo trudne do pogodzenia z charakterem, jakiego stopniowo ośrodek w Boquen nabierał. „Jeśli o mnie chodzi — powiedział o. Besret — nic nie zostało zmienione w moim należeniu do zakonu cystersów”. Decyzja nie ma nic wspólnego z sankcją karną, jest raczej dostosowaniem się do istniejącej od kilku lat rzeczywistości. Wspólnota nadal pozostaje związana z zakonem — zostają w niej mnisi należący do zakonu: Bernard Besret i Guy Luzszensky (Węgier, obecny przeor), ale ich działalność nie angażuje odpowiedzialności zakonu. Budynki pozostają nadal własnością zakonu (myśli się

o jakiejś formie czynszu). Dociekliwy redaktor zapytał Bernarda Besreta, jakie właściwie wartości monastyczne chcą zachować i przekazać ludziom współczesnym? — „To co mnisi mają do przekazania dzisiejszemu człowiekowi, to ich tradycja ascetyczna i mistyczna... Tylko Wielka Przygoda Mistyczna może człowieka przemienić, sprawić, że »noc jako dzień zajaśnieje«. Nasz świat nie umie żyć... asceza nie jest domeną masochizmu, jest sztuką życia. ...Nauczyć się spać, żeby w pełniejszy sposób się budzić: pościć, by poznać co to jest święto wspólnego posiłku, milczeć, by móc wypowiadać słowa, które coś znaczą... To są dziś dziedziny, które wymagają wysiłku wspólnego, tego się nie da rozwiązać indywidualnie...”

„Communion Boquen” — nazwę wybrano w 1967 roku, by wyrazić zmiany, jakie zaszły w tej społeczności. W swych *Listach do wspólnot* (1973) Besret pisał: „Ze wszystkich słów, jakich używa się na określenie Kościoła (...) słowo »communion« wydaje mi się najlepiej przybliżać szczególnie typ zgromadzenia, jakim jest Kościół. Nie jest on ludem ani stowarzyszeniem jak inne. Każdy z jego członków nadal należy do narodu i do stowarzyszeń poza nim. Ale Kościół nie jest jednym z tych ludów czy stowarzyszeń. To typ społeczności zupełnie inny. Mówię oczywiście o Kościele takim, jaki powinien być, o Kościele takim, jaki nam się marzy, o zgromadzeniu przechodzącym przez wszystkie przestrzenie i czasy, zgromadzeniu wszystkich ludzi, którzy olśnieni Ewangelią stali się uczniami Jezusa i prosząc o chrzest, publicznie zmanifestowali swój udział w społeczności uczniów (...) Jest znamienne, że czynność, w której wspólnota osiąga swój szczyt i przez którą wyraża to, czym chce być: dzielenie się Eucharystycznym Chlebem i Winem, nazwano komunią (...) W ciągu wieków słowo to pozostało w użyciu tylko dla określenia akcji liturgicznej. Zaprzeszono używać go dla określenia Kościoła...”

W 1970 roku powstało stowarzyszenie prawnie zarejestrowane (Association Culturelle de Boquen). Rada stowarzyszenia wzięła na siebie odpowiedzialność prawną-finansową i ideową. Doświadczenie pokazało, że lepiej nie łączyć tych dwóch dziedzin. Obecnie sprawą orientacji ideowej zajmuje się osobna Rada Komunii (Conseil de la Communion).

Słyszając to, przeprowadzający wywiad z Besretem Boitel wykrzykuje z satysfakcją: „Ależ wy stworzycie strukturę zupełnie taką jak klasyczne instytucje!” Besret: „My nie jesteśmy z założenia antyinstytucjonalni. To co było do tej pory, było dość elastyczne, ale to był status prowizoryczny. Dziś okazuje się, że istniejemy, że trwamy. Trzeba się więc zorganizować. Ciągła improwizacja jest zbyt trudna”. Do tej pory istniała ekipa współpracowników. Część z tych ludzi na stałe wzięła na siebie problemy materialnej, organizacyjnej i kulturalnej strony życia Boquen, inni, jako przyjaciele pozostający bardziej z zewnątrz, brali udział mniej lub bardziej sporadycznie w działalności. Byli wreszcie goście, którzy dowiedziawszy się najróżniejszymi drogami o Boquen (np. z „Paris Matcha”, gdzie Boquen zjawilo się jako jedna z propozycji wakacyjnych), przyjeżdżali tam na sobotę-niedzielę lub na dłużej.

Plany: stworzyć coś, co można nazwać szkołą życia. Rodzaj aśramu, powiada Besret, gdzie ludzie zamężni, żonaci, nieżonaci, młodzi i dorośli będą spędzali jeden, dwa, trzy lata życia. Ma to być w ich życiu czas uprzywilejowany. Za te przywileje trzeba będzie płacić rezygnacją z ułatwień i kompromisów współczesnego świata. Cel: obudzić się, dla siebie, dla innych, dla solidarności, a przez to przebudzić się dla tajemniczej rzeczywistości, która nas przenika i która możliwości naszego rozumienia przekracza: dla Boga.

Rozwiązani z formalnych ram organizacji zakonnej, chcą stworzyć nowy typ klasztoru: szkołę życia, ascezy, mistyki. Klasztor otwarty dla ludzi: nie może zostać tak — powiada Besret — że tylko mnisi są uprzywilejowani. Podejmujemy nasze dziedzictwo zakonne, ale uważamy je za dziedzictwo, które mamy dzielić z ludźmi.

Boquen pozostanie nadal miejscem przyjmowania ludzi, będzie nadal siedzibą Communion. Będzie dla jednych coraz bardziej miejscem milczenia i życia wewnętrznego, dla innych raczej miejscem spotkania, dyskusji, napięć, kłótni, które często są dopiero prawdziwym spotkaniem. Będzie miejscem refleksji, miejscem informacji o sprawach podstawowych, o których człowiek dziś chce wiedzieć, miejscem nowego odczytania Pisma i Tradycji, bę-

dzie wreszcie miejscem modlitwy i celebrowania Eucharystii. ... Tak powiedział Bernard Besret.

*

Boquen est mort... piszą niektóre dzienniki donosząc o zmianach jakie zaszły w Communion. „Informations Catholiques Internationales” (1 stycznia 1975) podaje dokładniejsze informacje o tym, co zaszło. Tym razem nie chodzi o kryzys w stosunkach Boquen-władze kościelne, ale o konsekwencje wypadków wewnątrz wspólnoty, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich miesięcy. Ojciec Luzszensky, którego spotkałem w Dijon, mówił mi, że wszystko powróciło do normy, że kryzys okazał się zbawiennym oczyszczeniem. Tymczasem... na zgromadzeniu ogólnym stowarzyszenia Luzszensky i jeszcze dwie osoby z zarządu podały się do dymisji, ponieważ, jak stwierdzili, wielu z członków nie otrzymało na czas zawiadomienia o zgromadzeniu. Po naradach postanowiono, że w opactwie pozostanie o. Luzszensky, nie jako leader, ale jako „obecny”, z dwoma świeckimi, którzy już tam mieszkają. Chcą oni stworzyć małą wspólnotę otwartą dla świeckich, nie wyłączając małżeństw, gdzie członkowie będą pracowali poza wspólnotą, zaś pieniądze będą oddawali do wspólnego użytku. Wokół tej wspólnoty skupi się działalność ludzi związanych także dawniej z Communion. Boquen będzie starało się specjalnie o zakorzenienie w miejscowym środowisku rolniczym oraz będzie dążyło do ułatwienia kontaktu między mieszkańcami miast z ludźmi wsi.

Bernard Besret ma się zainstalować w Plougrescant, niedaleko Paimpol. Powiedział on przedstawicielom ICI, że będzie to ośrodek poszukiwań w dziedzinie problemów człowieka w społeczeństwie; jednym z przedmiotów zainteresowania będą problemy religijne.

Może podzielenie wspólnoty na dwa ośrodki, z których jeden będzie szedł w swych poszukiwaniach po linii monastycznej, drugi raczej kontestatorskiej, okaże się bardziej owocne — konkluduje autor notatki w ICI.

*

Maj 1975; zatelefonowałem z Paryża do Boquen z zapytaniem, czy mogę przyjechać, by dowiedzieć się, jak

obecnie wygląda życie Communion. Bardzo uprzejmie, ale stanowczo odpowiadano, że w tej chwili nie są przygotowani na przyjmowanie gości. Bardzo im przykro itd...

WSPÓLNOTA NA AVENUE EMILE ZOLA

Powiedzieli, że mogę przyjść na to ich spotkanie, tylko żebym się nie zgorszył. Wobec czego poszedłem tak, jak chodzę po mieście, w moich welwetowych spodniach, koszuli i w sandałach bez skarpet. Bez żadnego niedzielnego przebrania. 38 Av. Emile Zola, schody E, parter. Przyszedłem wcześniej. Ona, matka czterech córek, miła, naturalna, on na wózku, na nogach metalowy aparat. Zauważyłem, że od czasu do czasu masuje nogi i opanowuje grymas bólu. Wiem od Wacka, jak to potrafi boleć. Wypytuję o ich wspólnotę. Czy tylko Eucharystia, czy jest to wspólnota przyjaźni. On odpowiada, że są wspólnotą eucharystyczną. Bardzo to podkreśla. Że to wspólnota otwarta, że gdyby za każdym razem nie przychodzili nowi ludzie, zamknęliby dom. Że wspólnota chrześcijańska, to wspólnota otwartych drzwi. Pijemy piwo, rozmawiamy. Dwie dziewczyny, chłopak raczej milczący, gospodarze. Potem zaczynają się schodzić. Jedni idą przez ogródek, wchodzą do mieszkania przez wielkie oszklone drzwi, inni dzwonią do drzwi frontowych, tak jak ja. Jest jeden „nowy”, miły, wysoki chłopak, podobny do Szopena, z długimi, jasnymi włosami. Przewaga dziewcząt i kobiet. Kiedy zaczyna się Eucharystia, jest 15 kobiet i pięciu mężczyzn, nie licząc księdza i mnie. Potem przybywa jeszcze jeden chłopak i jedna dziewczyna — Dominique. Tuż przed zaczęciem Eucharystii przyszedł Daniel z wielkim bochenkiem chleba. Daniel, sympatyczny chłopak o zmęczonej twarzy pracuje w piekarni i chleb, który przynosi, piecze sam. Daniel wejdzie do liturgii — w czasie ofiarowania ksiądz będzie prosił: „przyjmij Panie ten chleb, który jest symbolem pracy ludzkiej, który jest owocem trudu Daniela i innych ludzi pracy...” Wielka różnorodność środowisk: wysoka, piękna dziewczyna po mate-

matyce, Dominique, studentka medycyny, która zgadza się ze mną, że wspólnota eucharystyczna musi być takim właśnie spotkaniem wszystkich ludzi, że nie można zamykać się profesjonalnie np. we wspólnocie studentów; jest żona członka Misji Wojskowej Francuskiej w Moskwie, nauczycielki, urzędnicy, robotnicy (nie wiem dokładnie, kto jest kto, nie dokonano prezentacji). Ludzie siedzą na dywanie, w kręgu. Ksiądz na niskim dziecięcym krzeselku. Na środku świeca, talerz z chlebem przygotowanym przez gospodarza i dwa kubki z winem. Kilka osób pali papierosy, ksiądz też. Wymiana informacji, co kto ciekawego, ważnego, dobrego zobaczył czy przeżył w ciągu ostatniego miesiąca. Z ciekawszych: pani domu opowiada o ślubie, w którym uczestniczyła poprzedniego dnia w krypcie Sorbony. Był to cywilny ślub według, jak to nazwano, „liturgii ludzkiej”. Tekst i przebieg ceremonii, na prośbę młodych, przygotował wraz z nimi kapelan. Na zaproszeniu napisano: *François et Marie*, i potem słowo pod słowem: *vivre, créer, donner, recevoir, jouer, regarder, écouter, approcher, aimer* — i na dole stroniczki, nieco z boku: *les mains dans les mains*. Nie wymówiono ani razu Imienia Bożego (on jest niewierzący, czy ona, już nie wiem), ale podobno to, co mówili, było jak najbardziej w duchu religijnego rozumienia małżeństwa. Siedzieli naprzeciw zebranych i opowiadali (co wchodziło w skład ceremonii) o swoich poszukiwaniach prawdy.

Inny temat: liturgia, że nie należy z gitarą, że ktoś zorganizował liturgię eucharystyczną na wzór „Godspell” że to nie tak, że spektakl, ale nie uczestniczenie. Więc pytania: a czego ty chcesz? odpowiedź, że ciszy, milczenia. I na ten temat chwila rozmowy. Jeszcze o ślubach innych przyjaciół, o wakacjach. Tę część liturgii rozpoczął Daniel, mały piekarz: powiedział, że jedzie na wakacje, że po ciężkim roku chce nabrać sił, że mu dobrze we wspólnocie.

Potem dziewczyna przeczytała fragment Ewangelii. Z dziewczyną tą wracałem później metrem i dowiedziałem się, że jest z Lyonu, że skończyła bibliotekarstwo, że mieszka w *chambre de bonne* na Bulwarze Raspail, że zna jakieś polskie dziewczyny, także bibliotekarki. Więc przeczytała tekst o tym, że „wy jesteście światłem świata i solą ziemi”, mówiono, jakie to wielkie, że Jezus nam

kazał być światłem i solą, pytano, dla kogo, pytano, co to znaczy. Jean Luc, ksiądz, zwrócił się do mnie, żebym też powiedział, więc nie bardzo jasno coś tam powiedziałem. Potem była liturgia ofiarowania, improwizowana bardzo trafnie, prefacja bez wstępu z wezwaniami, konsekracja chleba, w której koncelebrowałem ze swego miejsca słowami i gestem. Po przemienieniu chleba, talerz podano sobie z rąk do rąk i znów ksiądz modlił się głośno, z konkluzją: „Panie, nie jestem godzien”, przyjęto komunię, potem ksiądz znów modlił się wokół tematów: sól i światło, konsekracja wina, komunია. Śpiew (z Litteltona) dalszy ciąg Modlitwy Eucharystycznej, część modlitw przeczytał pan domu, śpiew „Ojcie nasz”, modlitwa o pokój, przekazanie znaku pokoju i błogosławieństwo. Koniec.

ZAPISANE TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Jedziemy samochodem z Michelelem i jego żoną. Michel prowadzi auto dostosowane do jego kalectwa. Wszystko uruchamiane jest bez użycia nóg, rączka do gazu podobnie jak w motocyklu, przy kierownicy. Wyjście z auta, wejście z jezdni na chodnik... Wszystko dla Michela stanowi straszliwy problem. Daniela doskonale wie, kiedy i jak pomóc. Michel, człowiek, który ma cudowny talent wprowadzania ludzi w pogodną, spokojną atmosferę, którego uwielbiają córki, który mówi zawsze w sposób świeży, niebanalny — gdy wlecze (bo inaczej trudno to określić) o kulach swą potężną postać, przedstawia widok taki, że ma się ochotę nie patrzeć. Kiedy zaczęto mówić o sensie życia, o owym odwiecznym „dlaczego?” jakie ciśnię się na usta wierzącym wobec tego co ich lub ich bliskich spotyka, Michel mówił o tym, jak on sam znalazł sens życia, jak go znalazł przez swoją chorobę, jak błądząc przez okres pytań bez odpowiedzi doszedł do tego, że nie w otrzymaniu odpowiedzi jest rzecz, ale w szukaniu jej i że w tej sytuacji, w której się znajduje, on musi odpowiedzieć Bogu. Mówił jeszcze, że przede wszystkim nie w Biblii, która jest oczywiście zasadniczą pomocą, ale w swoim własnym życiu spotyka Boga. Mówił też o samotności (odróżnił ją od „isolement”) która jest czymś należącym do ludzkiego losu, że tam właśnie spotyka się

Boga. Ktoś dorzucił: albo szataaa. Michel i Danièle opowiadają często o ludziach, których spotykali, których znają. Umieją w tych historiach zobaczyć zawsze coś wielkiego, pięknego. Jest w tym artyzm, sztuka patrzenia.

Kilka miesięcy temu zaproponowali mi poznanie jeszcze jednej wspólnoty, z którą są związani od piętnastu lat. Tu właśnie przyjechalśmy. Jest to wspólnota powstała w katechumenacie. Spotkanie odbywa się w małym mieszkaniu Fatmy i jej męża. Fatma jest wyraźnie głową domu; niemal Murzynka, z silnym głosem, serdecznym, prostym uśmiechem, natychmiast mówi do mnie per ty. Mają przemiłego dziewięciomiesięcznego dzieciaka. Mąż — kierowca autobusu: ciemny zarost, złote oprawki okularów, opanowanie, prostota. Francuz. Inni: młode małżeństwo (to znaczy z 10 lat po ślubie, sądząc po dzieciach, których fotografie pokazywali), ksiądz, o którym Michel mówił mi, że natychmiast uchwycił ich język i sposób myślenia, milczący, młody, serdeczny. Chudy, z czarną brodą Turek czy Arab, mahometanin; najwięcej mówiła, niemal nie dopuszczając innych do słowa, czterdziestoletnia kobieta, nerwowa, wybuchająca serdecznym śmiechem żeby za chwilę przejść do najpoważniejszych problemów. Żydówka, konwertytka, która wróciła po 9 latach pobytu w Afryce. Zaprzyjaźniona z innymi od czasów powstania wspólnoty. To ona postawiła problem „dlaczego”. Potem, kiedy ksiądz odwoził nas razem, lepiej zrozumiałem, o co jej chodziło. Byliśmy pod jej domem już dobrze po północy, staliśmy przed wielką bramą, taką, jakie zamykają wejścia do ogrodów. Naokoło masa zaparkowanych, ciemnych samochodów. Zupełnie pusty zaułek, oświetlony latarnią. Kobieta opowiadała o tym, jak z mężem zaczęli spotykać ludzi, którzy ich oszukiwali jedni po drugich, jak mąż, człowiek ufający ludziom, stracił pracę, jak gniotą się w dwóch pokojkach. Ksiądz powiedział coś o tym, że po złych okresach przychodzą lepsze, że potem odkrywa się, ile dał okres ciężki.

Potem z domu wyszedł mąż, młody człowiek o wielkich ciemnych oczach. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, potem poszli do siebie.

W czasie spotkania mówiono o wartości, jaką stanowi wspólnota. Kobieta z Afryki mówiła o straszliwej samotności przeżywanej przez nią na tamtym kontynencie.

gdzie jak twierdziła, przyjaźń z miejscowymi jest zupełnie niemożliwa. Miejscowi — mówiła — są większymi rasistami niż biali, którym chętnie to zarzucają.

O samej wspólnocie trudno mi coś więcej powiedzieć. Była to rozmowa ludzi zaprzyjaźnionych, rozmowa dotycząca spraw ważnych; niektórzy mówili bardzo szczerze i osobiście. Ale nie wszyscy. Dużo miejsca zajęło opowiadanie o dzieciach, o ich powiedzeniach świadczących o inteligencji, o skomplikowanych, dziecięcych pytaniach, o trudnościach wynikających z audycji telewizyjnych w rodzaju wywiadu z Bruckbergerem. Kolejno, przy pożegnaniu, niemal wszyscy zapraszali mnie na następne spotkanie. Ktoś mówił, że to pierwsze po wakacjach spotkanie było nietypowe, że wielu ludzi nie przyszło.

EKIPY NOTRE-DAME

Spotkanie Ekip Notre-Dame we Francoville. Ksiądz. Sympatyczny, siwawy. (Przez cały czas potwornie ziewał, co nie znaczy, że się nudził.) Osiem małżeństw, bardzo różnych, raczej starszych. Jedno z nich przyszło z adoptowanym niedawno dzieckiem, malutkim Wietnamczykiem, który wszystkim robił „pa”. Spotkanie rozpoczęło się od posiłku (taki jest przepis). Każdy przyniósł jedzenie i talerze. Potem zebranie; jako wyjątkowe, miało formę liturgii eucharystycznej. Najpierw mówiono o niedociągnięciach w ciągu tego roku. Że zaniebdywano przygotowanie tematów, opuszczano zebrania, że brak kontaktu poza zebraniem, potem ksiądz odmówił „Misereatur”, czytanie tekstu z jakiejś broszurki specjalnie wydanej przez centralę, tekst z przemówieniem Pana Jezusa w Wieczerniku „Już nie nazywam was sługami” i „gdy przyjdzie Poczyszyciel”. Każdy mówił kolejno, niemal wszyscy o tym, że jesteśmy przyjaciółmi Pana Jezusa, że to trudniejsze niż być sługą. Kiedy przyszła kolej na mnie, mówiłem o słowach Pana Jezusa: „już nie nazywam was sługami”, czyli, że nie od razu, oraz że powiedział to apostołom, a nie tłumowi na ulicy czy na pustyni. Że trzeba być sługą, żeby dorosnąć, żeby się otworzyć na tę przyjaźń, która jest darem. Ksiądz powiedział o duchu, który jest duchem Ojca, że włączenie do Rodziny, że Duch Ojca, podobnie jak duch rodziców w rodzinie, kształtuje osobowość dzieci. Potem była modlitwa wiernych i gospodarz podał intencję Polski.

Ofiarowanie, przed prefacją ksiądz włożył albę i stulę, sprzątnięto ze stołu popielniczki i zaprzestano palenia (jeden z uczestników bardzo się niepokoił — „przepraszam, ale ja jestem formalistą” — czy do komunii św. upłynie przepisowa godzina; a on jeden korzystał z pozwolenia księdza, który powiedział, że do prefacji wolno palić).

Koncelebrowałem. Niektóre części z Modlitwy Eucharystycznej czytali świeccy. Na mnie przypadła ta, gdzie trzeba wymienić imię biskupa. Nie wiedziałem, jakie... Przed „Pater” mówiono o pozytywach tego roku. Komunia św. — podawanie pateny i kielicha. Przed zakończeniem mszy projekty. Ze szczególnym aplauzem przyjęto projekt o utrzymaniu łączności z małżeństwem, które przenosi się do innego miasta. W tym czasie nastrój swobodnej rozmowy, żarty, śmiech, już więcej osób paliło. Ksiądz w chwili, kiedy widać było, że rozmowa nie idzie naprzód, powiedział „Pan z wami”, razem pobłogosławiliśmy i „Idźcie w pokój i radości Chrystusa”. Liturgia trwała dwie godziny.

*

W latach 1938—1947 młode małżeństwa okręgu paryskiego pod kierownictwem księdza Caffarel wspólnie poszukują podstaw chrześcijańskiej duchowości małżeńskiej i rodzinnej oraz próbują żyć tu duchowością na co dzień. Po dziewięciu latach doświadczeń, w 1947 r. powstaje konieczność stworzenia wyraźnej struktury dla coraz liczniejszych grup rodzin. Opracowano więc Kartę Ekip Notre Dame („la Charte des Equipes”), która stanie się podstawą Ruchu. Rozwija się on we Francji, w krajach frankofońskich, a potem także i w innych krajach. Za datę wejścia w nowy etap Ruch Ekip Notre Dame uważa pielgrzymkę tysiąca rodzin do Rzymu (w 1959 r.), gdzie Jan XXIII wygłosił do przybyłych programowe przemówienie.

Ruch Ekip ND jest ruchem przeznaczonym dla rodzin, które pragną posiadać solidną formację duchową i w tym sensie jest to ruch elitarny, nie zaś masowy. Zasady owej duchowości sformułowano mniej więcej tak: nie ma życia chrześcijańskiego bez żywej wiary, nie ma żywej, rozwijającej się wiary bez refleksji. A więc rodziny należące do Ruchu prowadzą pogłębioną refleksję dotyczącą wiedzy o religii i znajomości wymagań Chrystusa. Ponieważ nie chodzi jedynie o poznanie Boga, ale o spotkanie Go, do studium dołączona jest modlitwa. Członkowie Ruchu modlą się więc wspólnie, modlą się jedni za drugich, ufni w obietnicę Chrystusa, że „jeśli dwóch spośród was na ziemi będzie zgodnie prosiło o coś, Ojciec mój niebieski

da im". Praktyka wzajemnej miłości, tj. pełnienie Nowego Przykazania jest racją istnienia ekip. Wszystkie praktyki, obowiązki, struktury są temu podporządkowane. „Mistyka” ekip swą żywotność i trwałość zawdzięcza regule. Reguła owa — jak utrzymują członkowie ekip — dostatecznie lekka, by nie niszczyła osobowości i nie naruszała własnego posłannictwa każdej rodziny, jest dostatecznie twarda, by zapobiec „rozpląnięciu się”. Istnieje szereg obowiązków, które członkowie ekip podejmują. Apostolską misję chcą pełnić przede wszystkim przez świadectwo miłości, na wzór pierwszych chrześcijan. Ruch wydaje pisma i książki, traktując je jako formę dzielenia się z innymi owocem swoich przemyśleń.

Jedna ekipa (4 do 7 rodzin) spotyka się przynajmniej raz w miesiącu. Spotkanie obejmuje posiłek, modlitwę, podzielenie się tym, co przeżyło się od ostatniego spotkania: sukcesami, klęskami, zmartwieniami itp., i podzielenie się przemyśleniami na temat zadany wcześniej. Temat na cały rok, jak i wchodzące w skład głównego tematy szczegółowe podawane są przez Centralę, której zadaniem jest pomoc w rozwoju i pogłębieniu autentycznej chrześcijańskiej duchowości małżeńskiej.

Uczestniczący w ekipach zobowiązują się m. in. sami ustalić sobie pewną regułę życia; do obowiązków należy m. in. codzienna wspólna modlitwa małżonków i dzieci; wspólne studiowanie przez małżonków tematu wyznaczonego na dany miesiąc; odprawienie raz w roku zamkniętych rekolekcji trwających przynajmniej 48 godzin. Każdej ekipie towarzyszy „doradca duchowy”. Na czele zaś stoi jedno „małżeństwo odpowiedzialne”, wybierane na rok. Ekipy grupują się w sektorach i regionach. Odpowiedzialność i kierownictwo spoczywa w rękach świeckich. Na czele Międzynarodowego Ośrodka kierującego Ruchem stoi ksiądz, gdyż zadaniem Centrum jest odpowiedzialność doktrynalna i duchowa. Księża towarzyszą ekipom odpowiedzialnym za sektor mają za zadanie utrzymywanie więzi Ruchu z biskupem diecezji.

- Sekretariaty miejscowe Ruchu Ekip Notre Dame istnieją w RFN (również dla Austrii), w Brazylii, Kanadzie, Hiszpanii, Stanach Zjednoczonych, na wyspie Maurycjus, we Włoszech i w Portugalii. Inne kraje obsługuje Sekretariat Generalny w Paryżu (49, rue Glacière, Paris XIIIe).

CETAD — NAUCZANIE TEOLOGII ZDALNIE STEROWANE

Dwa lata przemyśleń i prac przygotowawczych, rok pracy z ekipą — testem dla wypróbowania metody, i wreszcie start. W czerwcu 1973 roku w „Le Monde”, „La Croix”, „La France Catholique” i „Témoignage Chrétien” ogłoszenie o możliwości korzystania z usług CETAD*. „Odkrywanie Jezusa Chrystusa dziś. Poglębienie teologiczne. Żadnych dyplomów. Praca indywidualna i w grupie. Korespondencyjna pomoc specjalistów w zakresie pedagogiki i teologii”.

CETAD chce pracować z grupami, proponuje usługi grupom, nie pojedynczym osobom. Propozycje swoje kieruje do osób, które serio chcą podjąć wysiłek zgłębienia problemów wiary na płaszczyźnie teologicznej: „Wiara jest stale odnawianym odkryciem miłości Boga; poszukiwanie teologiczne jest jedną z osi, wokół której koncentruje się to stale odkrywanie miłości. Istnieje dziś wiele grup powstałych z potrzeby wspólnych poszukiwań i wymiany myśli. Niestety, często brak im wypróbowanych narzędzi pracy, kompetentnej krytyki z zewnątrz. CETAD powstał jako punkt usługowy dla tych poszukiwań”.

W październiku 1973 w Paryżu spotkało się 17 osób, reprezentujących 13 powstałych grup. Na początku stycznia 1974 dwieście sześćdziesiąt jeden osób pracujących w 38 grupach, we Francji i poza jej granicami. Od chwili ogłoszenia w prasie napływają prośby o szczegółowe informacje z Belgii, Kanady, Luksemburga, Danii, Szwajcarii, Włoch. Oczywiście i z całej Francji.

Uczestnicy grup: profesorowie liceów (także niewierzą-

* CETAD — Centre d'Enseignement Théologique à Distance.

cy), rodzice, grupa zakonnice przygotowujących się do ślubów wieczystych, inżynierowie, badacze naukowci, pracownicy wyższych uczelni, ludzie przygotowujący się do chrztu, księża. Wiek: od 17 do 72 lat.

Nie przyjmuje się zgłoszeń indywidualnych. CETAD proponuje w takich wypadkach nawiązanie kontaktu z innymi kandydatami zgłaszającymi się z tego samego miasta.

Rzecz jest potraktowana bardzo poważnie. Wpisowe: 380 franków, konieczność powzięcia decyzji poświęcenia miesięcznie przynajmniej dziesięciu godzin na pracę indywidualną i zespołową, wreszcie zobowiązanie do poważnego wysiłku umysłowego, jakiego wymagają dostarczane z CETAD materiały.

W gronie siedmiu członków ekipy prowadzącej Centrum i jego założycieli znajduje się (odpowiedzialny za problemy pedagogiczne) ks. Jerzy Kowalski, Polak, profesor Instytutu Katolickiego w Paryżu.

W tej chwili CETAD proponuje dwa tematy: komentarz do Credo i wprowadzenie do lektury Pisma św. Od października 1974 r. przewidziany jest trzeci temat z zakresu antropologii i zagadnień moralnych.

Komentarz do credo. Podstawą studium ma być według propozycji CETAD własne doświadczenie w dziedzinie wiary oraz lektura dwóch dzieł teologicznych, katolickiego i protestanckiego: J. Ratzinger *Foi chrétienne hier et aujourd'hui* (*Wiara chrześcijańska wczoraj i dziś*) oraz K. Barth *Esquisse d'une dogmatique*.

Wskazówki metodyczne. Nie należy czytać całej książki na raz. Do każdego rozdziału dodane są wskazówki dotyczące lektury. Tym, którzy nie mają metody pracy, doradza się, by najpierw przeczytali cały wskazany tekst bez zatrzymywania się w miejscach następujących trudności, po przeczytaniu zaś zanotowali to, co wydało im się interesujące. Następnie powinno się przeczytać rozdział po raz wtóry, tym razem posługując się wskazówkami dostarczonymi przez CETAD. Ci, którym czas na to pozwala, mogą pogłębić lekturę przez sprawdzenie, w jakim stopniu streszczenie umieszczone na wstępie każdego rozdziału K. Bartha zostało rozwinięte w tekście, zaś w przypadku książki Ratzingera, gdzie takich streszczeń nie

ma, spróbować napisać je samemu. W trakcie lektury należy wynotować słowa i pojęcia następujące trudności. Wysłane do CETAD wykazy owych trudnych słów i pojęć stają się podstawą opracowania małego słownika teologicznego („...w ten sposób bierzecie udział w opracowaniu...”). Nie przeszkadza to podaniu wśród narzędzi pracy także słownika teologicznego (L. Bouyer, 1963).

Po lekturze przychodzi drugi etap pracy. Podstawą są tu przysłane przez CETAD „problemy do przemyślenia” oraz „synteza”.

Kolejność pracy jest taka: najpierw należy spróbować odpowiedzieć na pytania, potem przeczytać „syntezę” i wreszcie zastanowić się, jakie zmiany do danych odpowiedzi może wnieść lektura „syntezy”. Jeśli któreś z pytań okaże się zbyt trudne, w „syntezie” trzeba szukać pomocy. Ma ona spełnić jeszcze inne funkcje: ma ukazać różnice w ujęciach obu autorów oraz uwypuklić w każdym temacie rzeczy najistotniejsze.

Praca w zespole. To, co do tej pory powiedziano, odnosi się do pracy indywidualnej. Dopiero przygotowanie przez te dwa etapy umożliwi przystąpienie do trzeciego, jakim jest praca w grupie. Każdy z przychodzących na spotkanie musi wiedzieć dokładnie, czym chce się podzielić z innymi. A więc referuje się kolejno napotkane trudności, odkrycia, jakich dokonało się w trakcie lektury. Także należy zwrócić uwagę na rozbieżności między tym, co znalazło się w książkach i w tekstach przysłanych przez CETAD. Ostatnim etapem tej części pracy grupowej jest własna próba rozwinięcia omawianych zagadnień w perspektywie ascetycznej, biblijnej i społecznej.

Podczas spotkania zespołu (6—10 osób) konieczny jest sekretarz. Punktem wyjścia pracy są „problemy do przemyślenia” z poprzedniego spotkania i otrzymane z Centrum uwagi. Pracę nad nowym tematem rozpoczyna przedstawienie przez każdego własnej pracy indywidualnej. „Nie chodzi o to — czytamy we wprowadzeniu ogólnym — by odpowiadać wspólnie na postawione kwestie, ale o konfrontację napotkanych trudności i rozwiązań każdego z uczestników. Konfrontacja ta ma prowadzić do wypracowania syntezy, do rozwiązania trudności, wyświetlenia rozbieżności, o których wyżej, lub przynajmniej do wspólnego sformułowania pytań, które mają być przesta-

ne do CETAD. Tu warto dodać, że Centrum zastrzega się przed absolutyzowaniem swoich opinii: „studium jest tere-
nem teologicznych poszukiwań”.

Po własnym rozwinięciu przez uczestników spotkania poruszanych zagadnień przychodzi ostatni etap, jakim jest opracowanie sprawozdania dla CETAD. Podać tu należy ilość uczestników, nazwiska, datę następnego spotkania, czas trwania pracy zespołowej i osobistej każdego, czas dany każdemu z uczestników w ostatnim etapie wspólnej pracy (własna refleksja). Sprawozdanie zawierać ma odpowiedzi na kwestie do przemyślenia przysłane przez Centrum oraz przedstawić dokonane przez grupę odkrycia i zasadnicze kierunki poszukiwań. Centrum ze swej strony zapewnia każdemu uczestnikowi dostarczenie materiałów, (zawsze z wyprzedzeniem o jedno spotkanie), sugeruje kierunek, w jakim można pogłębić dokonane odkrycia, pomaga w analizowaniu stwierdzonych rozbieżności, dostarcza uwag dotyczących rytmu pracy itd. Omówienie sprawozdania wysyła CETAD w ciągu piętnastu dni od otrzymania.

Dla ilustracji kilka szczegółów o pierwszym z dwóch tematów proponowanych w tej chwili przez Centrum (Komentarz do Credo). Po ogólnej refleksji na temat wiary, jako następne tematy szczegółowe idą „artykuły” Credo, w porządku od końca do początku. Lista tematów wygląda więc tak: 1) Wierzę, 2) Przyszłość człowieka i Duch Boży, 3) Duch św. i Kościół, 4) Chrystus Zmartwychwstały, 5) Jezus umarł. Po co? (*Jésus est mort pour quelle cause?*) 6) Jezus, Syn Boga, 7) Bóg Wszechmogący, 8) Bóg-Ojciec-Stworzyciel, 9) Doświadczenie i metoda teologiczna.

Skrypt dotyczący pierwszego tematu: „Wierzę”, jest obszerny. 27 stron maszynopisu. Na końcu autorzy piszą: „Ta lekcja mogła się wydać długa i pracochłonna. Są tacy, którzy przez nią się przedarli i czują satysfakcję. Tym lepiej! Są tacy, którzy wprawdzie przebrnęli, ale niepokoją się na myśl o dalszym ciągu. Oczywiście, z czasem przyjdzie oswojenie się z metodą. Początki zawsze są trudne. Trudność jednak pozostaje...” Autorzy podają więc szereg propozycji co do organizowania pracy, np. rozbić jednego tematu na dwa spotkania i co za tym idzie przedłuże-

nia okresu studium, powtórne przerobienie tej samej lekcji itp.

Pytanie nr 0. Skrypt otwiera pytanie oznaczone numerem 0: „Co znaczy zdanie: JA WIERZĘ?” „Nie szczydźcie czasu — czytamy w skrypcie — na odpowiedź. Odpowiedź ta będzie użyteczna w czasie dalszej pracy. Na końcu będziecie mogli prześledzić modyfikacje wynikłe z całości poszukiwań”.

Wskazówki dotyczące lektury. Najpierw podano strony w obu książkach. Potem, niemal wiersz po wierszu: „jak rozumiesz to sformułowanie?”, „zwróć uwagę że...” Następnie „problemy do przemyślenia” i „synteza”: 16 stron maszynopisu — „Wierzę — wierzymy”, „Wiara i teologia”, „Pytania niewierzących”.

Wprowadzenie do lektury Pisma św. (podtytuł: „Jezus i Ewangelia”). Tu oparto się na podobnej metodzie. I tu znajduje się przewodnik po wskazanych dziełach: C. H. Dodd *Le fondateur du Christianisme* i B. Rigaux *Témoignage de Marc*, „syntezę” i „problemy do przemyślenia”. Narzędzia pracy są tu obfitsze. Obok przewodnika po lekturze znajdujemy w skrypcie wskazówki robocze dotyczące tekstów Pisma św. Starego i Nowego Testamentu, przewodnik chronologiczny, kulturalny, bibliografię dzieł pomocniczych itp. wskazówki.

Doświadczenia kończącego się roku akademickiego. Zdaniem ks. Jerzego Kowalskiego, CETAD — jak dotychczas — zdaje egzamin (konfrontacji z terenem. Tematy „Credo” okazały się bardziej pracochłonne niż biblijne. Większość grup bierze jeden temat na dwa miesiące, to jest na dwa spotkania. Pierwsze spotkanie poświęca się lekturze, drugie pracy samodzielnej. Grupy biblijne idą w większości w rytmie: jeden temat — jedno spotkanie.

Lektury podstawowe? W grupie tematycznej „Credo” jesteśmy zadowoleni z obu książek. Cykl biblijny ma nieco inną technikę posługiwania się lekturą. Tam myśli się o dopracowaniu narzędzi pedagogicznych. W związku z lekturami zauważa się znamienne zjawisko: ludzie stopniowo coraz więcej pracują przy pomocy „syntezy” niż książek. Początkowo było odwrotnie. „Wskazówki lektury” za-

wsze są opracowywane z podobną drobiazgowością jak w pierwszym temacie. Chodzi o to, by nie czytano tych książek „po lebkach”. Czy to znaczy, że studenci są w stanie także rozwijać zalecaną z takim naciskiem refleksję własną, rozwijać problematykę w kierunku ascetycznym, społecznym itp.? W sprawozdaniach polecono podawać czas zostawiony każdemu na referowanie własnego dorobku. — To okazało się zbyt trudne. Własne rozwinięcia uczestników można odkryć w sprawozdaniach: w odpowiedziach na pytania i w samych pytaniach przysyłanych przez grupy.

Książd Kowalski daje mi do przejrzania teczkę ze sprawozdaniami, nad którymi właśnie pracuje. — Takie jedno sprawozdanie, to dla mnie, specjalisty, jedna a czasem trzy godziny roboty. Napisz o tym także — dodaje ze śmiechem. Sprawozdanie grupy z Abidżanu (Wybrzeże Kości Słoniowej): pięć stron drobnego pisma. Czytam rękopis odpowiedzi CETAD. Autor nie zadowala się odpowiedzią na pytania. Z nadesłanego materiału starannie wydobywa elementy godne rozwinięcia i pogłębienia. Jakby chciał pokazać korespondentom wszystkie wartości ich opracowania. Oczywiście także wiele wyjaśnień filologicznych, historycznych, teologicznych. Ton listu bardzo osobisty („napiszcie dokładniej, jak doszliście do tego, w ten sposób będę mógł lepiej was poznać...”).

No dobrze, ale autorytet? Odżegnujcie się od autorytaryzmu, kładziecie nacisk na własne poszukiwania studiujących. Czy to nie jest ryzykowne? Ostatecznie teologia...? Na to pytanie ks. Kowalski aż podskakuje w fotelu. Autorytet! Jest autorytet Boga, Biblii, Kościoła, ale chodzi o to, by zrelatywizować autorytet takiego czy innego ujęcia, takiej czy innej systematyki, takiego czy innego autora. Dwaj autorzy, czasem bardzo odmienni, jeden katolicki, drugi protestancki... Dlaczego? By pokazać, że ich ujęcia rzucają światło na Prawdę, na Rzeczywistość, która jest gdzieś głębiej... No i pokazanie, że możliwe są jeszcze inne ujęcia, sformułowania, oświelenia, także własne.

Wracając jeszcze do organizacji CETAD, co oznacza ogłoszenie na tablicy w Instytucie Katolickim o sesji CETAD? Czyżby także studia stacjonarne? — Zaprosiliśmy do przerobienia programu grupę studentów formacji B (odpowiednik magistrantów) i drugą grupę, studentów

mniej przygotowanych. To są grupy testowe. Pracują zupełnie tak jak inne, tyle że my jesteśmy obecni. Studenci formacji B są obowiązani do bardzo poważnego pogłębienia przerabianych problemów.

I jeszcze jedno pytanie: w „Le Monde” R. Solé pisząc o waszym studium zakończył swój artykuł refleksją, że być może ze studiujących grup powstaną w przyszłości *les communautés de base* i powiada, że byłoby to *faire d'une pierre deux coups*, czyli dwa zajęcia za jednym strzałem. Co o tym myślisz?

Ks. Kowalski: — W tej chwili nic. Ludzie studiują, chcą naszej pomocy. To jest pewne.

PRZEDWCZORAJSI KONTESTATORZY

Paryż, 21 listopada 1973

Już dziś trudno było znaleźć dzienniki, w których pisano o lyońskim zebraniu „Krytycznych Chrześcijan”, czy jak kto woli „Krytycznych Wspólnot”, o których wczoraj przy obiedzie jako o najświeższym ewenemencie mówiono z „Le Monde'em” i „La Croix” w ręku. Wydarzenie zaledwie przedwczorajsze. I koniec, cisza. Jeszcze odnotują tygodniki, może będą jakieś fotografie w „Paris Match”. Nie chcę o tym pisać tak, żeby to wydarzenie urosło do początku nowej epoki.

17—18 listopada w merostwie dziewiątej dzielnicy zebrało się 900 osób. Hasło powiewające na przeciągu brzmiało: „Wyzwolić Ewangelię, wyzwolić człowieka”. Była to kontynuacja ruchu znanego w 1970 r. jako ruch księży kontestatorów Europy zachodniej. Ruch ten odbył wówczas dwa zgromadzenia, jedno w Szwajcarii, drugie w Rzymie, podczas synodu biskupów. Od tego czasu przyciągnął wiele osób, m. in. także ze środowisk Kościoła Reformowanego, zmieniał nazwę najpierw na „Solidarnych”, obecnie — „Wspólnoty Krytyczne” (*Communautés critiques*). Zebranie zorganizował sekretariat międzynarodowy, który stara się tworzyć pewną więź między wspólnotami nieraz bardzo różniącymi się między sobą.

Zaproszono wszystkich biskupów Francji. W imieniu wszystkich odpowiedział sekretarz generalny Konferencji Episkopatu ks. Hout-Pleuroux: biskupi nie wezmą udziału w spotkaniu, odpowiadają jednak na zaproszenie obszernym listem, w którym określają swój stosunek do przedstawionej problematyki. Jest to pierwszy wypadek oficjalnego dialogu stałego synodu biskupów francuskich z ruchem kontestatorów. Konferencja Episkopatu w Lour-

des niedawno postanowiła „utrzymać kontakt z grupami krytycznymi, nawet jeżeli uważają się za niezależne od hierarchii”.

Wśród około 900 uczestników 30% było kobiet. Uczestnicy pochodzili z 15 krajów, w znacznej większości z Europy zachodniej: z Włoch, Hiszpanii, Belgii. Przeważali Fracuzi (220). Z Ameryki Łacińskiej 20 osób: Argentyna i Chile. Jedną z bardziej wyróżniających się postaci był jezuita, profesor uniwersytetu w Santiago, Gonzalo Aroyo. Odczytał on testament księdza chilijskiego, którego zwłoki znaleziono przeszyte dziesięcioma kulami: „...chciano nowe wino wlewać do starych naczyń. Dziś nie mamy ani wina, ani naczyń. Idziemy po kamienistej drodze”. Testamentu wysłuchano w religijnej ciszy. Inną wyróżniającą się postacią był włoski salezjanin Giulio Girardi, którego ostatnio zwolniono z Wydziału Teologii Instytutu Katolickiego w Paryżu, gdzie miał zlecone wykłady marksizmu. Zwolnienie to narobiło sporo hałasu. Ksiądz Girardi opublikował w prasie ostry list, w Instytucie organizowano akcję protestacyjną. Na zjeździe lyońskim powiedział m. in.: „Prawdziwy internacjonalizm chrześcijański jest po stronie internacjonalizmu proletariackiego i rewolucyjnego”.

Jeden z trzech sekretarzy ruchu oświadczył: „Nie chcemy tworzyć kościoła paralelnego, nie chcemy tworzyć kościoła nowego. Walczymy wewnątrz Kościoła z siłami ucisku, które w nim działają”.

Spodziewano się — notuje jeden z dziennikarzy — że w trakcie spotkania poszczególne grupy będą mówiły o swoim konkretnym zaangażowaniu w problemy współczesnego życia. Tak się jednak nie stało. Pracowano w grupach, a to, co przedstawiciele owych grup referowali na forum, sprowadzało się do ogólników. Domagano się więc: rezygnacji z „imperializmu kościelnego”, zwalczania niesprawiedliwości dokonywanych w imię Ewangelii, rewizji poglądu na zagadnienia seksualne (celibat, przerywanie ciąży, środki antykoncepcyjne itd.), bazowania na *ortopraxis* a nie na *ortodoxis*, krytyki „burżuazyjnej koncepcji Boga”, koncepcji grzechu (gdy tymczasem jedyny grzech, to brak miłości) itp. Miano za złe episkopatowi, że w swym pięciostronicowym liście uprawia starym zwyczajem „polowanie na czarownice” atakując (pięciokrot-

nie) marksizm, choć jednocześnie zauważono z zadowoleniem, że w tymże liście każdemu uczestnikowi i każdej uczestniczącej przesłano *des sentiments fraternels*.

Prasa podała fragmenty listu sekretarza Konferencji Episkopatu. List ustosunkowuje się do „tekstu orientacyjnego”, jaki rozesłano przed zebraniem. Biskupi piszą: jesteśmy świadomi palącej potrzeby pracy nad wyzwoleniem każdego człowieka, znamy różne formy ucisku, jaki nie pozwala ludziom normalnie się rozwijać, jaki przeszkadza w zapanowaniu pokoju... Nie przestaniemy nigdy mówić, że wierność Chrystusowi wymaga starań o wyzwolenie wszystkich, zwłaszcza biednych... Ale nie możemy się zgodzić na utożsamianie wyzwolenia ekonomicznego, politycznego i społecznego ze zbawieniem w Jezusie Chrystusie. Tajemnicy człowieka nie można wyjaśnić inaczej niż w Tajemnicy Syna Bożego, który stał się Synem Człowieczym. Jezus z Nazaretu został objawiony ludziom, by w Synu mogli stać się synami. Uczestnicząc sakramentalnie w tajemnicy śmierci i Zmartwychwstania, człowiek może zostać prawdziwie wyzwolony, zdolny, by w pełni żyć...

Chcemy też dodać, że człowiek jest grzeszny. Trudny do przeniknięcia i do właściwego sformułowania dogmat o grzechu pierwotnym pozostaje w mocy. Człowiek bez tej prawdy jest jeszcze bardziej niezrozumiały niż kiedy się ją uwzględnia.

Przyznając, że marksizm położył wiele zasług w ukazaniu, co w kapitalizmie jest nie do przyjęcia, biskupi stanowczo nie zgadzają się na mieszanie zasad filozofii marksistowskiej i teologii. „Jest oczywiste, że istnieje radykalna niezgodność między ideologią ateistyczną i wiarą w Jezusa Chrystusa”.

„Krytyka? Owszem. Wiele rzeczy w Kościele zasługuje na krytykę, ale pod jednym warunkiem: że Słowo Boże głoszone przez Kościół zostanie przyjęte jako ostateczne i decydujące kryterium”. I fragment końcowy: „Pozwólcie nam powiedzieć, iż odnosimy wrażenie, że ugrzęźliście w problematyce bardzo zawężonej i częściowo przebrzmiałej wobec nowego kontekstu ludzkiej kultury...”

Sprawa dziś najpilniejsza, to znaczenie człowieka, znaczenie jego osobowej, historycznej i społecznej egzystencji. Po epoce śmierci Boga nadszedł oto czas śmierci człowieka. Dlatego mamy świadomość gwałtownej potrzeby

głoszenia wiary w Jezusa Chrystusa, który jedynie ukazując w pełni ostateczne znaczenie człowieka, historii, społeczeństwa. Stąd też nasza zdecydowana postawa wobec wszystkiego, co odnosi się do ludzkiego życia, szczególnie w zakresie problemów seksualnych i przerywania ciąży; będąc dalecy od reakcyjnej obrony pozycji minionych, stojmy na pozycji zdecydowanej walki, w której stawką jest przyszłość ludzkości”.

O ile list episkopatu francuskiego potraktował „Wspólnoty Krytyczne” bardzo poważnie (H. Fesquet twierdzi, że była to okazja, by stały synod biskupów publicznie określił różnice, jakie dzielą go od ruchu *Echanges et Dialogue*), to sprawozdania prasowe nie przywiązywały do wydarzenia większego znaczenia. Z większym lub mniejszym rozczarowaniem pisano o sloganowym stylu obrad. „La Croix” kończy sprawozdanie melancholijnym stwierdzeniem, że gdy trwały obrady, w tym samym mieście dziesiątki tysięcy robotników francuskich i imigrantów szło jak zwykle do pracy, nie mając nic do powiedzenia na tym zgromadzeniu, na którym nimi się właśnie zajmowano.

POMIĘDZY „WSZYSTKO” I „NIC”

Od dość dawna mam u siebie w teczce kilka spiętych razem listów od zaniepokojonych czytelników, proszących o wyjaśnienie. Do listów dołączono wycinki z „Nowin Rzeszowskich” (z grudnia 1974) i „Sztandaru Ludu” (ze stycznia 1975). Notatki w obu pismach zatytułowano: „Kościelne małżeństwa na próbę”.

„...W coraz liczniejszych diecezjach kościoła rzymsko-katolickiego we Francji, m. in. w departamencie Saone-et-Loire księża legalizują wolne związki i udzielają ślubów niesakramentalnych. Para czasowo związana stałym pożyciem przybywa do kościoła — po odbyciu wprowadzających rozmów z księdzem — i przed ołtarzem składa ślubowanie wzajemnej wierności i poszanowania... Kościelne »małżeństwa na próbę« cieszą się rosnącym powodzeniem. W wielu parafiach w soboty i niedziele staje przed ołtarzem kilka par ludzi młodych, a także w dojrzałym wieku, którzy przedkładają nowoczesny, dobrowolny związek nad wieczyście nierozzerwalny” („Sztandar Ludu”).

Autorzy notatki powołują się na dziennik „Le Monde” bez podania numeru (nie udało mi się odnaleźć). Informacje, które znalazłem w innych czasopismach francuskich, m. in. w „Informations Catholiques Internationales” były na tyle niewystarczające, że zwróciłem się wprost do księdza biskupa Le Bourgeois, w którego diecezji ma miejsce opisywany eksperyment, z prośbą o informację. Otrzymana odpowiedź: list i broszura, w której zebrano zasadnicze dokumenty i wyjaśnienia, pozwala na pełniejsze ukazanie całej sprawy. Broszura podaje m. in. zestaw ważniejszych głosów prasy na temat eksperymentu. Rozgłos nadał mu „Paris Match” (14 września 1974), za nim poszły inne pisma i eksperyment nabrał znamion sen-

sacji). Określenie eksperymentu jako błogosławienia przez Kościół „małżeństw na próbę” pochodzi z sensacyjnego „France-Dimanche” (nr 1465). Kontekst: eksperyment duszpasterski, o którym mowa, ma miejsce w okolicach Mâcon, w środowisku na poły wiejskim, na poły robotniczym, gdzie jedynie 4% mieszkańców praktykuje. W okręgu tym, po długim okresie ostrego antyklerykalizmu nastąpiła obecnie era religijnej obojętności. Należy podkreślić, że chodzi o teren ściśle określony, niewielki, gdzie duszpasterze doskonale znają środowisko, oraz że rozgłos, jaki sprawie nadała prasa, nie leżał bynajmniej w intencjach tamtejszych duszpasterzy, którzy przyznają, że ich doświadczenia to stadium poszukiwań, a do pełnego rozwiązania problemu jeszcze daleko.

Wobec ogromnej ilości napływających do kurii pytań zadawanych przez ludzi, którym informacje prasowe, niejasne i często między sobą sprzeczne, nie wystarczyły, koniecznością okazało się opracowanie broszury, której egzemplarz oto otrzymałem.

Motywacje: w podejmowaniu eksperymentu kierowano się potrzebą wyjścia naprzeciw realnej sytuacji. Chodziło o znalezienie miejsca w Kościele dla zawierających małżeństwo cywilne, którzy nie są na tyle wierzący, by byli dysponowani do przyjęcia sakramentu.

Biskup Autun ogłosił w prasie kilka zasadniczych wyjaśnień:

— Jest to eksperyment o ściśle ograniczonym zasięgu, oparty na poszukiwaniach teologicznych i pastoralnych. Nadanie mu rozgłosu nie było życzeniem ani biskupa, ani księży.

— Pewna ilość ochrzczonych, wierzących w Boga, jest tak daleko od Kościoła, że ludzie ci nie są dysponowani do przyjęcia sakramentu. Pragną oni jednak jakiegoś religijnego znaku, który by towarzyszył ich małżeństwu. Trudno zmuszać do przyjęcia sakramentu tych, którzy sobie tego nie życzą. Wydaje się więc potrzebne przyjęcie tych ludzi i udzielenie im pomocy w refleksji prowadzącej do przyjęcia sakramentu.

— Młodym w takim wypadku stawia się ściśle określone warunki: wymaga się od nich zawarcia małżeństwa cywilnego, uznawania nierozrenwalności małżeństwa i to także wtedy, gdy prawo dopuszcza rozwód, oraz zobowią-

zania do kontynuacji refleksji nad wiarą, która to refleksja prowadzona pod kierunkiem księdza może doprowadzić ich do małżeństwa sakramentalnego.

— Sama ceremonia ukazuje wyraźnie, że nie ma ona charakteru sakramentalnego.

ODPOWIEDŹ NA NIEKTÓRE WĄTPLIWOŚCI

Ceremonia, o której mowa, nie jest błogosławieństwem „wolnych związków”, czyli takich, w których partnerzy nie uznają elementu przynajmniej cywilnej stabilizacji, której podejmują się wobec społeczności. Nie jest to także błogosławienie konkubinariuszy, przyjmując, że konkubinat, aczkolwiek może trwać praktycznie aż do śmierci jednego z partnerów, owej stabilizacji wobec społeczeństwa nie chce lub nie może podjąć. Nie jest to także błogosławienie małżeństw „na próbę”, w których z góry zakłada się ewentualność rozejścia się w razie niepowodzenia związku.

Błogosławieństwa niesakramentalnego udziela się w diecezji Autun ludziom dotychczas wolnym (także w sensie cywilnym), którzy wobec społeczeństwa deklarują publicznie i oficjalnie swoją wolę zawarcia małżeństwa i którzy przyjmują zasadę nierozzerwalności małżeństwa przynajmniej w tym stopniu, w jakim przyjmują ją chrześcijanie przystępujący do sakramentu małżeństwa (którzy później, jakże często, mimo to się rozchodzą). Błogosławieństwa udziela się ludziom odczuwającym potrzebę otrzymania czegoś więcej, niż może im dać akt ślubu cywilnego, lecz którzy nie mogą w duchu uczciwości angażować się w porządek sakramentalny, odwołujący się do wiary w Chrystusa, Kościół i sakramenty.

Jak więc widać, odrzucono tu stanowisko, według którego małżeństwo cywilne nie posiada żadnej wartości. Oczywiście, mając wartość ludzką, nie wystarcza ono chrześcijanom, którzy w sakramencie małżeństwa odnajdują pełnię łaski (sakramentalność), przymierze Boga z ludźmi i Chrystusa z Kościołem.

Wartości ludzkiej małżeństwa nie należy mieszać z ważnością kanoniczną. Zdaniem teologów zajmujących się eksperymentem diecezji Autun, kwestią otwartą pozostaje do tej pory pytanie, czy małżeństwo „naturalne” ochrzczono-

nych może być godziwe i ważne nie będąc sakramentem — wobec braku wiary u zainteresowanych małżonków. Czy takie małżeństwo może być uznawane przez Kościół?... W tej sprawie skierowano do Rzymu zapytanie.

Kodeks prawa kanonicznego powiada wprawdzie, że „między ochrzczonymi nie może istnieć ważny kontrakt małżeński, który nie byłby przez to samo (*eo ipso*) sakramentem” (kan. 1012 § 2), ale poprawna interpretacja tego kanonu wskazuje — czytamy w broszurze — że to nie sakrament daje kontraktowi ważność, lecz ważność czyni kontrakt sakramentem. Stąd trudno twierdzić, że nieobecność sakramentu sama z siebie sprawia, że kontrakt jest nieważny. Mamy tu do czynienia z realną rzeczywistością, której kodeks nie przewidział, nie chodzi bowiem po prostu o tak zwanych wierzących-niepraktykujących, ani o przypadek niedokształcenia czy ignorancji, ale o ochrzczonych, których wiara nie ogarnia roli Jezusa Chrystusa i Kościoła w ekonomii zbawienia. To co w kodeksie jest utożsamiane: „ochrzczeni” i „wierni” — w życiu się nie utożsamia. Eksperyment nie jest więc *contra legem*, ale raczej *praeter legem*. „Należy wyraźnie stwierdzić — napisał w liście, który otrzymałem, wikariusz generalny ks. Lucien Ray — że w przypadku, kiedy godzimy się na uznanie przez ceremonię religijną małżeństwa tych ochrzczonych, mało-wierzących, uważamy ich małżeństwo za rzeczywiste, nierozzerwalne...” Inna sprawa czy weszli oni w porządek sakramentalny małżeństwa? Tą sprawą zajmuje się specjalnie powołana komisja teologiczna”.

SAKRAMENT I NIEROZERWALNOŚĆ

Wielu korespondentów — piszą autorzy broszury — niesłusznie wiąże nierozzerwalność małżeństwa z przyjęciem sakramentu. Piszą oni, że „niesakramentalne” implikuje „rozerwalne”. Tymczasem Chrystus oświadczył bardzo wyraźnie, że nierozzerwalność jest wolą Boga, że „tak było na początku”, a więc przed ustanowieniem sakramentu (Mt 19; Mk 10). Dlatego ceremonia, o którą tu chodzi, praktykowana jest jedynie pod warunkiem uznawania nierozzerwalności. Ten sposób postępowania — czytamy — wydaje nam się dużo mniej anormalny, aniżeli przypadki, w których zostaje zawarte małżeństwo „sakramentalne”.

a potem orzeka się nieważność małżeństwa, ponieważ jedna ze stron wykluczyła nierozzerwalny charakter związku.

Błogosławienie sytuacji, która jest stanem grzechu?

Inny zarzut formułowano w ten sposób: błogosławicie to, co jest przynajmniej obiektywnie grzechem ciężkim („materialnym”). W odpowiedzi duszpasterze Autun piszą, że trudno mówić o grzechu tam, gdzie nie ma intencji obrażania Boga, gdzie nie ma złej woli. Pozostaje oczywiście jawne nieposłuszeństwo prawu kanonicznemu... Tu należy przypomnieć, że chodzi o bardzo specjalny typ ludzi, o ochrzczonych praktycznie nie wierzących w Kościół, którym sumienie nie pozwala na odgrywanie komedii, jaką byłoby dla nich przyjmowanie sakramentu, którego nie uznają ani nie rozumieją. Autorzy zapytują, w imię czego można kwestionować dobrą wolę i dobrą wiarę tych ludzi?

W PRZYPADKU ROZPADNIĘCIA SIĘ TAKIEGO ZWIĄZKU...

„Wierzmy z całą powagą w charakter stały i jedyny zawieranych związków, wyrazem tego jest odnotowywanie ich w specjalnej księdze”.

Biorąc rzecz prawnie, zainteresowani mogą ubiegać się o prawo do zawarcia nowego związku — „ślubu kościelnego” — ze względu na „brak formy kanonicznej”. W tym miejscu zapytują autorzy broszury o tych chrześcijan, którzy zrywając związek cywilny, mogą z łatwością z kim innym zawrzeć małżeństwo sakramentalne. Jest sprawą nowego kodeksu, czy ten nowy typ małżeństwa będzie w Kościele dopuszczalny.

MOŻLIWOŚĆ POWSTAWANIA NIEPOROZUMIEŃ

Wielu korespondentów zwracało uwagę na możliwość powstawania sytuacji niejasnej. Ktoś napisał: „mimo że uczestniczyłem w wielu błogosławieństwach niesakramentalnych i pomimo długich wyjaśnień dawanych przez celebującego księdza (a może na skutek tych wyjaśnień) nie jestem w stanie rozróżnić prawdy od fałszu”. Autorzy eksperymentu zgadzają się, że niejasności istnieją i że prawdopodobnie wiele jeszcze trzeba zrobić dla nadania jasności nowej praktyce.

We wszystkich wyjaśnieniach powtarza się twierdzenie o konieczności znalezienia czegoś pośredniego pomiędzy „wszystko” i „nic” dla tych mało wierzących, którzy zwracają się do Kościoła.

*

Eksperyment rozpoczął się na Wielkanoc 1973 r. Od tego czasu do września 1974 na 70 par, jakie zgłosiły się do ślubu, 40 wybrało formę niesakramentalną. Zgody na tę formę udziela się jedynie tym młodym, którzy zwracają się do Kościoła z prośbą o „udzielenie ślubu”, a więc nie myślą o rozwodzie. Błogosławieństwa nie udziela się rozwiedzionym, zawierającym powtórny związek. Zgłaszającym się do ślubu przedstawia się jasno trzy możliwości: mogą pozostać jako małżeństwo „cywilne”, gdzie ich związek zostaje uznany przez społeczeństwo, mogą przyjąć w kościele błogosławieństwo, wreszcie mogą przyjąć sakrament. Młodzi otrzymują zawsze specjalne opracowanie wszystkich trzech propozycji, mają czas na lekturę tych opracowań i na zastanowienie się przed podjęciem decyzji wyboru.

CEREMONIA

Błogosławieństwo poprzedzone jest przez kilka spotkań z księdzem. Sama ceremonia przygotowywana jest przez młodych. Składa się na nią lektura Pisma św., deklaracja wyjaśniająca motywy, dla których młodzi chcą być przyjęci przez Kościół, oraz zapewnienie o chęci kontynuowania refleksji nad sprawami wiary i sakramentu. Zawsze podkreśla się, że ceremonia nie ma charakteru sakramentu. Młodzi nie wymieniają konsensu małżeńskiego.

Na obecnym etapie większość par, które otrzymały „niesakramentalne błogosławieństwo”, prowadzi pod kierunkiem księdza pracę nad pogłębieniem wiary i zrozumieniem sakramentu.

*

Eksperyment jest na tyle niezwykły, że trudno się dziwić rozgłosowi, jaki wywołał. Jedni widzą w nim cenne poszukiwanie rozwiązań palących problemów duszpasterskich, inni dewaluację sakramentu i zastępowanie go na-

miastką. Sprawa została przedstawiona Konferencji Episkopatu Francuskiego, kluczowy problem teologiczny przekazano do rozstrzygnięcia Rzymowi. Jeżeli tak szeroko omawiam tu eksperyment Autun, to nie tylko dlatego, że idąc za informacjami dzienników francuskich nasza prasa podała informacje co najmniej niekompletne. Warto tu podkreślić, że duch tego eksperymentu idzie nie w kierunku sankcjonowania związków nietrwałych, lecz przeciwnie, w kierunku dowartościowania związków cywilnych zawieranych przez wierzących, dowartościowania w sensie ich nierozzerwalności dla człowieka ochrzczonego. Należy powiedzieć jasno tym, którzy dręczą się nieraz sytuacją, w jakiej znaleźli się wobec stanowiska Kościoła w sprawie nierozzerwalności małżeństwa, że Kościół nie może nic takiego zrobić, by związek, jaki powstaje w wyniku małżeństwa ważnego i dopełnionego, przestał istnieć. Inną sprawą jest zagadnienie miejsca w Kościele ludzi znajdujących się w sytuacji konfliktu z prawem kanonicznym.

Jednak nie tylko te sprawy były powodem opisanego wyżej. Wydaje mi się bowiem, że dla wielu z nas eksperyment diecezji Autun-Chalon-Mâcon jest okazją do stwierdzenia, jak bardzo jurydycznie patrzymy na sakrament. Głównym naszym zmartwieniem — w pierwszej reakcji — jest sprawa nierozzerwalności prawnej związku, podczas kiedy tamtejszym duszpasterzom chodziło o wiarę przyjmujących sakrament. Sprawa ta nie jest obca większości duszpasterzy, którzy także i u nas przeżywają ciężkie rozterki, będąc zmuszeni przez różne sytuacje do administrowania posług sakralnych tak, jakby to były czeze formalności lub uświęcone tradycją i sentymentem obrzędy zwyczajowe.

DWA ŚWIATY

Po obiedzie siedzimy przy kawie. Krystyna z gitarą na podłodze. Śpiewa miłym, niewyrobionym głosem. Krystyna ma 17 lat. Rodzice bardzo polscy, bardzo mili, bardzo wierzący. Na ścianie akwarela przedstawiająca znany w Warszawie pałacyk. — W tym domu się urodziłam — mówi mama Krystyny, kiedy spostrzega, że przyglądam się akwareli. Na chwilę przyszedł najstarszy. Przystojny, smukły, nieco jakby roztargniony. Przywitał się ze mną mówiąc kilka uprzejmych zdań po francusku.

Krystyna ma przed sobą rozłożony na podłodze wielki kajet, do którego wpisuje piosenki. Mama prosi Krystynę: — Zaśpiewaj jeszcze to. — Krystyna potrząsa głową. To nie jest piosenka do śpiewania ot tak. To jest piosenka, która coś wyraża. Mama się dziwi; jak to nie do śpiewania ot tak? — „Bo mama jest dumna, że córka uczy się grać na gitarze i zawsze, kiedy przychodzą goście chce, żebym śpiewała”. Ale śpiewa. Tę i jeszcze jedną, i jeszcze. Wszystkie piosenki mówią o czymś ważnym, ludzkim. Nie ma ani jednej takiej sobie.

Krystyna rysuje. Chyba bez specjalnego talentu. Pytam: to jest szyfr? Każda rzecz na tym rysunku coś znaczy? Krystyna: tak, wszystko coś znaczy. Ale tylko dla mnie. Ja: bo rysunku nie należy tłumaczyć? Po to się rysuję, żeby nie opowiadać? Krystyna: Nie, nie tylko to. To też, ale to co znaczy ten rysunek, znaczy dla mnie. Inni tego nie rozumieją. Więc nie tłumaczę i nie chcę tłumaczyć.

Rozmawiamy o ich pobycie w Polsce. Krystyna: Trudno powiedzieć w jednym zdaniu, jaka jest różnica między młodymi, których spotkaliśmy w Polsce a nami z Francji. Np. inne poczucie humoru. Tu dla nas musi być coś naprawdę mocnego, żeby nas zabrało. No i to, że my bar-

dzo wyraźnie chcemy być sobą, nie chcemy być tacy, „jak powinno się być”.

O rodzicach: Ja mam zupełnie inny pogląd na wychowanie dzieci niż moi rodzice. Zawsze się mówi: „rodziców należy szanować”. Ale i rodzice powinni mieć szacunek dla dzieci. Np. ojciec mówi o czymś: nie, nie wolno. A ja chcę wiedzieć, dlaczego nie. Oni mówią: doświadczenie, wiek... ale oni są wychowani w innym świecie. Jest tyle zasad, które są... Krystyna szuka polskiego słowa. Podpowiadam: przestarzałe? Nie, nie to... Które są bez uzasadnienia. Na przykład, że trzeba się ładnie ubierać, kiedy się idzie do koleżanki.

— No, ale przyznasz, że istnieją pewne umowne formy np. szacunku wyrażonego przez porządne ubranie się?

— Ale dlaczego?

— Przynajmniej przyznasz, że przez sposób ubierania się człowiek mówi o tym, jaki jest. Są takie stroje, w których byś się czuła jak idiotka. W tym rozciągniętym swetrze z odklejoną łatą na łokciu, w dżinsach i rozwalonych butach czujesz się sobą. Wyraża się przez to twoja dusza. Zgoda?

— Tak, na to zgoda. Coś się wyraża przez zewnętrzny styl. Ale wracając do rodziców, oni nie mogą przyjąć myśli, że ich dziecko może mieć rację, a nie tylko oni. I wtedy nie ma rozmowy. Ojciec mówi: nie, bo to jest złe. Kropka. Wtedy ja wpadam w złość. Albo sprawa seksu. Sprawa jak inne. Ale mówić o tym? Nigdy! Nie wolno! Mówić tak, jak się mówi o innych sprawach, bez czerwienienia się. Dlaczego nie? A religia. Mieliśmy po trzy lata, kiedy nam kazano chodzić na mszę. To było nudne, długie i niezrozumiałe. Wreszcie powiedzieliśmy: nie. Jak coś jest wymuszone, to nawet nie bardzo wiedząc czemu dziecko mówi: nie. Teraz już mniej więcej wiem, dlaczego jestem niewierząca. Ale początkowo to było dlatego, że przymusowe. A rodzice w każdej rozmowie: zobaczysz, jeszcze odkryjesz, może nawet za chwilę, czym jest wiara...

Moralność... jak ja nie lubię tego słowa! Wszystko jest względne. Wychowywać trzeba w wolności. Jak człowiek jest wolny, to nie robi złych rzeczy. Robi je, kiedy jest trzymany siłą, jak tylko się wyrwie. Nie, nie „na złość

mamie", to nie jest nikomu na złość. Ale tak jest, że zakaz powoduje sprzeciw.

A wolność jest możliwa. Sprawdzono. Mam koleżankę, która na każde wakacje bierze śpiwór i wyrusza w świat. Rodzicom tylko mówi, że idzie i gdzie idzie. Tylko mówi. Nie to, żeby prosiła o pozwolenie. I żadnych złych rzeczy nie robi. Bo ona wie, czego chce. Sama.

*

Po kilku dniach dalszy ciąg rozmowy. Tym razem uczestniczy brat. To Krystyna mnie zaprosiła. Możemy się już nie zobaczyć przed moim wyjazdem do Polski, a obiecała wytłumaczyć mi, jaka jest młodzież i jakie są jej problemy.

Po kolacji w rodzinnym gronie idę za nimi do kuchni. Jedno zmywa, drugie brzdąka na gitarze.

Pytam Krystynę, jak rozumie swoje stwierdzenie, że już teraz wie, czemu nie wierzy?

Krystyna: — No, bo Kościół teraz nie jest tym, czym chciał go mieć Jezus Chrystus. (Wychodzę po coś do pokoju i kiedy wracam mam wrażenie, że rodzeństwo odbyło błyskawiczną naradę, Krystyna, jakby sobie nagle przypomniała:) I przede wszystkim, ja nie wierzę w Boga.

Ja: — Czy możesz mi powiedzieć, czemu?

Odpowiedź jest natychmiastowa. „To jest bardzo trudne powiedzieć tak: puff, nie wierzę dlatego, bo... Nie wierzę, wiem o tym.” I potem nie bardzo w związku z tym ostatnim Krystyna opowiada mi o reakcjach dewotek na ich znajomego księdza, który pracuje jako robotnik, nie chodzi w sutannie, ale w dżinsach, usiłuje wszystkich zrozumieć. Pobożni oburzają się na to, co on robi...

Brat (młodszy) włącza się, trochę nie bardzo na temat, i mówi, że prawdopodobnie jakaś religia musi zawsze istnieć, że każda religia utrzymuje o sobie, iż będzie trwała wiecznie, że wierzenia starożytnego Egiptu itd...

Ot, i jeszcze jedna rozmowa niedokończona.

POMÓŻCIE

Stale to samo. Najpierw telefon; z niedobrym akcentem, borykając się ze zrozumieniem głosu chroboczącego szybko w słuchawce ustalała, kiedy może przyjść, by omówić warunki pracy... Jako pomoc domowa. Oczywiście! Już prawie ukończone w innym kraju studia tu nie mają żadnego znaczenia. Albo opieka nad dziećmi. Potem metrem, ulicami o trudnych do wymówienia nazwach. Wreszcie poszukiwany dom, brama, guzik otwierającego bramę automatu i schodami, coraz wolniej, wolniej... Przystanąć przed drzwiami, poprawić włosy, odsapnąć, zadzwonić i nie myśleć o tym, co nastąpi za chwilę.

— Ach, to panienka?... — i to spojrzenie na nieszczęsne kule. — Panienka rozumie, my szukamy kogoś do pracy, trzeba chodzić, stać przy kuchni, pilnować małego... Bardzo nam przykro. Jeszcze zastanowimy się. Panienka ma telefon? Możemy zadzwonić w przyszłym tygodniu, jeśli się zdecydujemy. Nie? panienka nie ma telefonu. To ewentualnie napiszemy kilka słów. — I jeszcze raz, że przykro, ale naprawdę nie wiedzieli, że... — i chwila kłopotliwego milczenia, aż chciałyby przeproszać, że przyszła, że osmieliła się stawiać w kłopotliwej sytuacji tych ludzi, choć przecież wie, że to nie tak, że może robić wszystko. W domu przecież robiła wszystko. Z myciem podłogi włącznie. Że o kulach? Mój Boże, jeśli ktoś piętnaście lat chodzi o kulach, stają się one przyjaznym oparciem, jakby częścią człowieka.

*

Aż któregoś dnia trzeba było powiedzieć sobie prawdę: pobyt zaczyna nie mieć sensu. Nieubлагana rzeczywistość rozbija misterną konstrukcję nadziei, z jaką tu jechała. Plan zdawało się realny (kiedy go układała w Polsce),

okazał się naiwnym marzeniem. Jak trudno nadal uśmiechać się do ludzi, do świata, do losu. Do losu... ten los spletał jej niedobrego figła. Akurat to musi być ona?... Urodziła się z niewielkim defektem biodra. Banalna sprawa. Wiele dzieci z tym się rodzi, a potem wszystko wraca do normy. Prawie zawsze. Ale nie zawsze... I właśnie ona. Defekt zaczęli poprawiać lekarze. Właściwie miała szczęście. To byli dobrzy lekarze, jeden z nich, cudowny człowiek o złotym sercu i zręcznych rękach chirurga uchodzi za najlepszego w Polsce. Ile było tych operacji? Pięć czy więcej. Mało ważne. Było ich dużo. Jedne psuły to co naprawiły poprzednie, inne naprawiały jak się dało po tamtych. Pewnie każdy z lekarzy chciał dobrze. Los. Ten los, do którego tak trudno się teraz uśmiechać. Więc były całe lata leżenia, bez możliwości postawienia kroku, a potem znowu operacje i wreszcie wielki sukces: o kulach. To było wszystko, na co możliwości medycyny w Polsce pozwalały. Tymczasem znalazł się ktoś, kto znał możliwości w szerokim świecie, poinformował: jest w Holandii lekarz, który te operacje robi. Więc jakimś cudem do Holandii. Zbadał, powiedział, że tak, że robi takie operacje, że w jej przypadku jest przekonany o pomyślnym wyniku. A koszt? 3 tysiące florenów. Trzy tysiące to bardzo dużo. To 5000 F. Więc zostać tak, na pół zdrową, na pół kaleką, albo zdobyć 5000 F. I dlatego jest tu. Musi zarobić. Tak myślała jadąc do Francji. Teraz wie, że nic z tego. 5000 F to bardzo dużo.

Nie może spać. Myśli kłębią się po głowie. Co robić? Wracać? Poddać się? Dziewczyny o kulach nikt nie zatrudni, a jeśli nawet zatrudni... 5000 F?! I myśl, która już za dnia świdrowała: przecież po pokoju, kiedy wie, że w razie czego może przytrzymać się krzesła czy stołu, kiedy przestrzeń do przebycia jest mała, kilka kroków — chodzi bez kul. To nie jest lekki krok młodej dziewczyny, to nie jest chód jej równolatek, które mają tak jak ona te dwadzieścia kilka lat, ale mimo wszystko lepsze to, niż widok kul. Wielkie przestrzenie składają się z małych. I rano, pierwszy raz po piętnastu latach chodzenia o kulach, wychodzi bez nich. To było straszne. Przejście przez ulicę to jakby przebrnięcie nieskończonej szerokiej, wezbranej rzeki. Odruchowo ręce szukają oparcia. Co ta dziewczyna wyrabia? Dlaczego nagle staje pośrodku jezd-

ni, wśród samochodów?... „...spokojnie, spokojnie”. Mówi do siebie? To już zły znak. Krok jeden, drugi, trzeci, zbawczy chodnik. Ławka. Można przysiąść, odpocząć.

To był dobry pomysł z tymi kulami. Kosztował wiele, ale ostatecznie okazało się, że jest coraz łatwiej. Znalazła się praca, mieszkanie, ubezpieczenie. Lekarz młody, ufny w wielkość swoich profesorów zapewniał, że oczywiście, nie trzeba Holandii, tu w Paryżu profesor X tę operację wykona. Więc ileś miesięcy pracy, żeby nabyć wszelkich koniecznych uprawnień, jednocześnie pracując nad przygotowaniem pracy magisterskiej i w niesłychanym tempie ucząc się języka ku podziwowi wszystkich. I wreszcie szpital.

*

Wtedy się o niej dowiedziałem. Przypadkiem, u przyjaciół Francuzów. Ktoś przyszedł i powiedział, że był w tym jej szpitalu i znalazł ją zalaną łzami: tu takich operacji nie wykonują, nie podejmują się, nie chcą. Powiedzieli mi ci przyjaciele Francuzi, żebym poszedł do niej do szpitala, że to nic nie szkodzi, że jej nie znam, że trzeba dziewczynie dodać sił.

Dodać sił. Ba, ale jak? Powiedzieć: nie martw się. Ty nie masz 5000 F, ja nie mam, nic nie poradzimy, wracaj do Polski? (Lekarz w Holandii był pewien, że Polski Czerwony Krzyż czy jakaś instytucja pokryje koszty pobytu w szpitalu. Złożyła wszystkie potrzebne dokumenty: że operacja potrzebna, że możliwa, że w Polsce nie można jej przeprowadzić. Pomocy odmówiono).

Teraz każdemu, kogo spotkałem, czy chciał słuchać, czy nie chciał, opowiadałem całą historię. Myślałem: przecież wreszcie trafię na kogoś, kto będzie wiedział, skąd wziąć te pieniądze. Przecież to niemożliwe, żeby w świecie, gdzie ludzie potrafią na przyjemności wydawać jednego wieczoru więcej...

I znalazł się ktoś, kto powiedział, gdzie trzeba się zwrócić, znaleźli się inni, bynajmniej nie specjalnie bogaci, którzy pożyczyci pieniądze, licząc na pozytywną odpowiedź Instytucji, do której złożyła podanie. Żeby nie tracić czasu natychmiast napisała do lekarza w Holandii, że jest gotowa przyjechać, że prosi o zarezerwowanie miejsca. Odpowiedź, wyjazd, jeszcze jedna wizyta u lekarza. Znowu

zapewnienie, że operacja możliwa, że ręczą za wynik. Znowu rozmowa o kosztach pobytu w szpitalu...

I... Przecież miała w papierach złożonych w Instytucji z której spodziewa się pomocy, list tegoż profesora, w którym napisał własnoręcznie: 3000 florinów, a tymczasem... To jest koszt połowy operacji: albo w całości jedną nogę doprowadzi pani do ładu, albo połowę jednej i połowę drugiej...

*

Jakby dla dania czasu do namysłu, do działania losowi, do działania ludziom, dwa dni przed wyznaczoną datą operacji lekarz dostał infekcji prawej ręki. Termin operacji został przesunięty aż na początek czerwca. Prośba o 3000 florinów (5000 F) leży w instytucji. Czas oddania pożyczki ofiarowanej „pod zastaw” nadziei na pozytywną odpowiedź Instytucji zbliża się. A to jest i tak jedynie na jedną całą nogę, albo na połowę jednej i połowę drugiej.

Redakcja jest w posiadaniu dokładnych danych opisanej historii. Nie będąc w stanie w inny sposób przyjść z pomocą dziewczynie, o której mowa, redakcja pragnęła przynajmniej przedstawić waszej uwadze jej historię i sytuację.

*

Artykuł ten został opublikowany w „Głosie Katolickim”, tygodniku wydawanym przez Polską Misję Katolicką w Paryżu (19/1974). Wtedy istniała jeszcze nadzieja, że część potrzebnych na operację pieniędzy zgodzi się dać pewna instytucja. Ostatecznie okazało się to niemożliwe. Czytelnicy pisma, a więc Polacy z Francji, Belgii i RFN na apel zawarty w artykule odpowiedzieli wzruszającą ofiarnością. Poważna suma dziesięciu tysięcy stu pięćdziesięciu franków wpłynęła pod adresem Redakcji i została przekazana chorej, która obecnie po szczęśliwie przebytej operacji jest już z powrotem w kraju. Zamieszczenie tego tekstu w książce niech będzie wyrazem wdzięczności i uznania dla Księdza Redaktora „Głosu Katolickiego”, który zaangażował siebie i pismo w tę sprawę, oraz dla rzeszy czytelników „Głosu”, którzy pospieszyli z pomocą potrzebującemu człowiekowi.

WIELKA „MAŁA ŚWIĘTA”

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN

Gdyby dożyła dzisiejszego dnia, miałaby sto lat. W roku, w którym została beatyfikowana, przypadała pięćdziesiąta rocznica jej urodzin (1923), zaś pięćdziesiąta druga w roku kanonizacji, na którą przybyło do Rzymu 35 kardynałów, 250 biskupów i nieprzebrana rzesza wiernych. O tę kanonizację proszono Stolicę Apostolską w dwustu tysiącach listów. W rok po jej śmierci wydano zapiski (zredagowane na podstawie rękopisów przez jej siostrę, także zakonnice), *Dzieje duszy* (1898). Nakład wynosił dwa tysiące egzemplarzy. W następnym roku wznowiono wydanie w ilości czterech tysięcy egzemplarzy. Do 1915 roku rozeszło się ponad 200 tysięcy egzemplarzy w 35 językach a nakład dwóch książek o jej życiu przekroczył liczbę 100 tysięcy. W roku beatyfikacji do klasztoru, gdzie żyła i zmarła, przybyło 300 tysięcy pielgrzymów, a klasztor otrzymywał dziennie 800 do 1000 listów.

W r. 1948 po raz pierwszy opublikowano jej listy, w 1956 manuskrypty autobiograficzne, znane do tej pory jedynie w wersji zatytułowanej *Dzieje duszy*, w której poszczególne z trzech manuskryptów nie były wyodrębnione, a szereg szczegółów pominięto lub zretuszowano. W r. 1971 we Francji ukazał się pierwszy tom krytycznego wydania wszystkich jej pism (wyd. Cerf et DDB). Kompletne wydanie pism wyszło w Polsce w 1971 dzięki polskim karmelitom i karmelitankom, którzy opracowali tłumaczenie pod kierunkiem o. Ottona od Aniołów (Wyd. Karmelitów Bosych, Kraków).

W styczniu 1973 Paryski Instytut Katolicki, włączając się w obchody setnej rocznicy urodzin świętej, zapowiedział cykl konferencji jej poświęconych. Konferencje te mieli wygłaszać uczeni i pisarze tacy, jak René Laurentin, Jean

Guitton, Hans Urs von Balthasar i in. Na pierwszy wykład do Instytutu Katolickiego na rue d'Assas przybyło tytułu słuchaczy, że trzeba było natychmiast przenieść się do obszerniejszego pomieszczenia Kolegium św. Stanisława, kilka ulic dalej. Ale i w wielkiej sali kolegium zmieściła się zaledwie część przybyłych, wobec czego następne wykłady odbywały się w katedrze Notre Dame. Na pierwszym wykładzie w katedrze (Jean Guitton) główna nawa była wypełniona. Tak pozostało przez wszystkie tygodnie do końca cyklu. Niemal natychmiast po jego zakończeniu Instytut wydał specjalny numer „Des Nouvelles de l'Institut Catholique de Paris” z tekstami konferencji, uzupełnionymi artykułem księdza J. F. Sixa i ze wstępem Paul Bouparda. Obszerna literatura terecjańska wzbogacona została w roku stulecia urodzin świętej o drugi tom obszernego studium Jean François Sixa (pierwszy, *La Veritable enfance de Thérèse de Lisieux. Nerveuse et sainteté* ukazał się w r. 1971), Réne Laurentina *Thérèse de Lisieux. Mythes et réalité*, Conrada de Meester *Les Mains vides*, żeby wymienić tylko pozycje najbardziej głośne.

Jest coś niezwykłego w historii kultu Teresy. Nie potrafię powiedzieć, czy kult i zainteresowanie stale wzrastają. Konferencje, o których przed chwilą była mowa, gromadziły rzeczywiście wiele osób, trzeba jednak lojalnie powiedzieć, że w znacznej większości byli to przedstawiciele pokolenia, które czytało dawne wydanie *Dziejów duszy* i nadawało córkom imię Teresy przez sympatię dla nowej świętej, „największej świętej czasów współczesnych”, jak określił Teresę Pius XI. W zainteresowaniu świętą, pomijając jego ilościowy wzrost, następuje stopniowo wyraźny zwrot. Nadal w Lisieux istnieją niezliczone sklepy i sklepiki eksploatujące na wszystkie możliwe sposoby słodki wizerunek „Małej Świętej”, nadal ciągną tam ludzie, którzy prawdopodobnie niewiele wiedzą o nowych badaniach prowadzonych nad jej życiem i pismami, nadal mit miesza się z rzeczywistością. Ale rzeczywistość ukazuje się coraz wyraźniej, nieskończenie bogatsza i pasjonująca. Kiedy w 1945 r. prof. A. Combes, prałat, profesor *de spiritualité* w Instytucie Katolickim w Paryżu, za przedmiot wykładów roku akademickiego bierze Teresę od Dzieciątka Jezus, mówi się — notuje Laurentin — „Teresa na Cacho? ksiądz jest wariat”. Teresa może być „kwiatkiem”,

słodkim motywem pobożności, itd., ale nie przedmiotem wykładu w poważnej uczelni. Dziś nikogo nie zaskazuje szukanie paralel między Teresą a Franciszkiem z Asyżu, św. Pawłem, św. Tomaszem z Akwinu, Joanną d'Arc, Lutrem, Nietzschem, Claudelem i innymi wielkimi, co zajmuje 1/4 książki Laurentina. Tenże autor podając bibliografię wymienia około stu pozycji. Święta bijąca wszelkie rekordy popularności teraz została poddana nowej próbie — próbie badań naukowych. Nie znaczy to bynajmniej, że przestała pociągać masy. W roku jubileuszowym Lisieux odwiedziło ponad półtora miliona pielgrzymów. Teraz, w 1973 r.

W jej życiu nie ma faktów olśniewających nadzwyczajnością w potocznym sensie tego słowa. Żadnych cudów, żadnych widzeń, żadnej zewnętrznej działalności misyjnej, społecznej, politycznej, naukowej. Najmłodsza z dziewięciorga dzieci, z których czworo zmarło we wczesnym dzieciństwie, Teresa mając piętnaście lat wstępuje do zamkniętego klasztoru karmelitanek w rodzinnej miejscowości, w którym już są dwie jej siostry. (Trzecia jest zakonnicą w klasztorze sióstr wizytek.) Siostra Teresa w klasztorze pełni funkcje takie, jak opieka nad refektarzem, nad zakrystią, malowanie obrazków itp. Jest także pomocnicą mistrzyni nowicjatu. Zapada na gruźlicę i w wieku 24 lat, po 9 latach pobytu w klasztorze umiera. Zostawia trzy zeszyty notatek, w których na polecenie przełożonych opisuje dzieciństwo, życie klasztorne i dzieje swego życia wewnętrznego. Zeszyty spisywane pośpiesznie, w wolnych od zajęć chwilach, przy marnej lampce oliwnej. Ostatnie strony pisała ołówkiem, kiedy leżała w infirmerii, krańcowo wyczerpana chorobą. Ponadto zostawiła około pięćdziesięciu wierszy, dwa obrazki sceniczne i 247 listów. Niektóre z nich są nie tyle listami, co pośpiesznie pisanymi bilecikami. Zostały wreszcie skrzętnie zanotowane przez jej siostrę, zakonnicę, ostatnie z nią rozmowy na łożu śmierci.

Przygoda Teresy jest przygodą duchową. Nadzwyczajnością Teresy jest odkrycie, jak zwyczajność może być nadzwyczajna. Wielkość Teresy, zaakceptowana natychmiast przez szerokie masy, nieustannie budzi coś na kształt niedowierzania uczonych. Obecnie literatura, a przynajmniej niektóre jej pozycje zdają się być wyrazem owego niedo-

wierzenia. Skrupulatnie przerząsa się każde najmniejsze świadectwo, wszystko, co dotyczy całej rodziny Teresy, jej miasta, klasztoru, epoki, lektur, spotkanych ludzi, świadomości i podświadomości. Każdy najmniejszy fakt jej życia został sto razy zinterpretowany, listy opublikowane jeszcze za życia osób, o których i do których były pisane. Badania te zdają się wyrażać niepokój: tam coś jeszcze musi być! A tymczasem... Wszystkie owe badania wzbogaciły wiedzę o prawdziwej Teresie, ale czy zmieniły w sposób istotny obraz, jaki wyłonił się z badań procesu beatyfikacyjnego i jaki przez Piusa XI został podany światu w akcie beatyfikacji Teresy od Dzieciątka Jezus?

W tej sytuacji nie jest łatwo pisać o Teresie nie narażając się na śmieszność lub banalność.

*

„Święci nie mają u nas szczęścia. My wiemy lepiej od nich. Zabezpieczamy się przed nimi twierdząc, że ich przepowiadanie miało swoją własną epokę, my zaś możemy spokojnie wypatrywać nowych gwiazd... Twierdzimy nawet, że byli oni zbyt naiwni, kiedy bez oglądania się na subtelności egzegetyczne, każde słowo Pisma brali za dobrą monetę” — powiedział H. U. von Balthasar na konferencji o aktualności Teresy z Lisieux. A także i to, że: „Teresa wydaje mi się świętą jak najbardziej radosną. Ona ukazuje, jak wspaniałe i przejmujące jest życie w intymnej zażyłości z Bogiem. Nie wie, co to strach... A my? My zrobiliśmy z chrześcijaństwa sprawę skomplikowaną, ponurą i przebrzmiałą. Jesteśmy starzy; Bóg zaś jest wiecznie młody i potrzebuje młodości promieniejącej młodzieńczym temperamentem i humorem”.

*

Ksiądz J. F. Six pisze o rodzinie Teresy, że był to *un univers de mort*, świat śmierci. Że pani Martin żyła w stałej „gorączce śmierci” (aż do obrzydliwości). Była to osobowość znerwicowana, o nieograniczonym pragnieniu śmierci... Six analizuje reakcje pani Martin po śmierci kolejnych dzieci, przeważnie noworodków. Jej radość, że już są w niebie. Czas między urodzeniem a niebem jest dla matki Teresy międzyczasem nieużytecznym. Six tłumaczy to historią życia samej pani Martin, brakiem miłości matki

w dzieciństwie, niepewnością, czy potrafi sama być matką. Ten sam autor przytacza modlitwę, ilustrującą pobożność epoki, w jakiej wychowana była pani Martin (oczywiście i jej córka). Jest to modlitwa dla matek, które straciły małe dzieci. W tekście ukazane są wszystkie okropne ewentualności, czym mogłyby się stać owe dzieci, gdyby Bóg nie zabrał ich do nieba. Obraz ponury.

Istniały też i chyba do dziś istnieją tendencje, by w rodzicach Teresy widzieć ludzi wielkiej świętości. O ile wiem, wszczęto nawet postępowanie kanoniczne. Six z całą gwałtownością głosi zdanie przeciwne. Matka bardziej niż dziećmi zajęta interesami. Ojciec o skłonnościach kontemplacyjno-eremickich. Entuzjasta wszystkich możliwych pielgrzymek, niezdolny do podjęcia odpowiedzialności ojca rodziny. Trudno zaprzeczyć faktom. Louis Martin rzeczywiście porzuca swój zawód (zegarmistrza), podróżuje, niemal umierając żonę wiezie na bardzo ciężką pielgrzymkę do Lourdes. Zélie Martin rzeczywiście oddaje kolejno przychodzące na świat dzieci do mamki na wieś, gdzie pozostają bardzo długo, gdy ona zajmuje się interesami. Nie można jednak umniejszyć wpływu tej rodziny na świętą, tak jak nie można zrozumienia jej sprowadzać do tego, co zostało ukształtowane w środowisku rodzinnym. Z pewnością wielkość św. Teresy wyraża się między innymi w genialnym przeskoczeniu przez mur pobożności ówczesnej Francji, pobożności słodkiej, tryumfalnej, z domieszką jansenizmu, pielgrzymkowej. Ale nie można pominąć faktu, że wszystkie córki wstąpiły do klasztoru. I tego, że było to największym pragnieniem rodziców. Z drugiej strony zapobiegliwość matki a po jej śmierci także i ojca dawała siostrze Martin możliwość urzędzenia się na świecie. To nie był przymus. To był klimat tamtego domu.

Dom. Oczywiście to wielkie wzruszenie dla każdego, dla kogo Teresa jest kimś ważnym: być w domu, w którym wyrosła, który tyle razy wspomina w swoich pismach. Ale jest też coś nieznośnie mieszczańskiego w owym pluszowym, różowym, słodkim gniazdku. Trzeba tam być, a potem w klasztorze, do którego tak gwałtownie się wyrывała, wychowana w tym słodkim „Buissonnets”. Przeszedłem drogę między tymi dwoma budynkami kilka, może kilkanaście razy. Omijałem okropną, wielką bazylikę, która pewnie jest dowodem uwielbienia dla Teresy, ale nie ze sty-

lem jej świętości nie ma wspólnego. Chodziłem po tym niewielkim mieście, w którym tysiące pielgrzymów po sumie zajada swoje kurczaki popijając je winem: po mieście kramów i sklepów ze słodkimi Tereskami. Karmel-Buissonnets. I jeszcze raz: Tereso, jak o Tobie pisać? Co jest istotne? Tajemniczy, zimny klasztor, pewnie identycznie wyglądający dziś jak wtedy. Siostry w chórze, szklany sarkofag, wota, pamiątki: włosy obcięte bodaj z okazji obłóczyn, martwe, zmatowiałe loki, sukienka, habit, drewniane trepy, drewniana łopatka do prania, fotokopie zeszytów. Na taśmie nagrane objaśnienia. I pusty dom na wzgórzu, w ogrodzie, taki, jakby mieszkańcy właśnie wyszli na mszę, jak to mieli w zwyczaju, do pięknej gotyckiej katedry. Zabawki w pokoju najmłodszej. Książ kardynał mówił na sumie o rozpoczynającym się przygotowaniu do Roku Jubileuszowego, który właśnie zapowiedział był Ojciec Święty w Rzymie. Po sumie można było zobaczyć film o Teresie. Wszystko proste i jakieś nieprzekonywające. Myślę o komentarzu. Bo sam film jest montażem przechowanych fotografii Teresy, miejsc związanych z Teresą itp.

*

Teresa napisała gdzieś, że nigdy nie była zaskoczona tym, co zastała w klasztorze, że doskonale sobie wyobrażała, jak tam będzie. „Mała Święta”, kiedy wstępowała do Karmelu, mimo swych piętnastu lat nie była bynajmniej naiwnym dzieckiem. O swoje wstąpienie do klasztoru musiała walczyć. Kiedy idzie do biskupa prosić o dyspensę od wymaganego wieku, chwyta się dziecinnego podstępu: upina włosy, żeby doroślej wyglądać. Znamy to uczesanie z przechowanego zdjęcia. Pomysł oczywiście okazał się nieskuteczny: nawet w tym uczesaniu trudno przypisać jej więcej niż szesnaście lat. Sposoby, których się chwyta, mogą wydawać się dziecinne, ale upór świadczy o wewnętrznym przekonaniu, że ma rację. Niebawem po wizycie u biskupa Teresa jedzie z ojcem i siostrą do Rzymu. Uczestniczą w pielgrzymce organizowanej na cześć jubileuszu papieża Leona XIII. Prałat przewodniczący pielgrzymce, który jest przeciwny wstąpieniu Teresy do Karmelu, zakazuje pielgrzymom odzywania się do papieża w czasie prezentacji. Mimo że groźny prałat stoi obok tronu papieskiego

prezentując podchodzących, Teresa ani myśli stracić okazji. Klęcząc przed papieżem prosi: „Ojciec święty, dla uczczenia twego jubileuszu pozwól mi wstąpić do Karmelu w piętnastym roku życia”. Papież nie bardzo rozumie, o co chodzi, pyta stojącego obok pralata, a ten usiłuje zbagatelizować sprawę: „...to jest dziecko, które chce wstąpić do Karmelu, przełożeni rozpatrują jej sprawę”. Teresa nie ustępuje: „Ojciec św., jeżeli powiesz »tak«, wszyscy się zgodzą”. Konsternacja, zdenerwowany pralat, zakłopotany papież, który odsyła ją do decyzji przełożonych, zakłócenie rytmu audiencji. Teresa widzi, że jest źle. Trzyma się papieskiej sutanny. Dwaj z gwardii szlacheckiej biorą ją pod ramiona i wyprowadzają z sali. Teresa ma jedynie enigmatyczne zapewnienie papieża: „A zatem wstąpisz, jeżeli Bóg tego zechce”.

Bóg widać tego zechciał...

Van der Meersch pisząc o świętej Teresie przedstawia klasztor w Lisieux niemal jak gniazdo żmij. Szczególnie czarno przedstawiona jest matka Maria Gonzaga, wieloletnia przełożona. W procesie beatyfikacyjnym mówiło się o tym, że Teresa wiele wycierpiała od tej niezrównoważonej kobiety. W ogóle temat cierpień Teresy wynikających ze stosunków w Karmelu prowokuje autorów. Bardziej krytyczni wzywają, by wprowadzać do tej kwestii potrzebne niuanse. Może na przykład niezwykle przykry sposób upominania nowicjuszek wynikał ze stylu ascezy karmelitańskiej w owym czasie, a nie ze złośliwej natury przełożonej? Czy jej podejrzliwe i zazdrosne usposobienie nie było równoważone przez mądrość i doświadczenie? Czy wobec obecności czterech sióstr Martin i ich kuzynki w małej wspólnotcie, wobec tego, że ojciec i rodzina Teresy stale świadczyli na rzecz potrzeb materialnych klasztoru, przełożona nie czuła się w jakiś sposób zagrożona czy zmajoryzowana przez „klan”? Czy dziwaczne na pozór pomysły przełożonej, by w godzinach wielkiego milczenia zrywać zakonnice do szukania po ciemku w ogrodzie jej ukochanego kota, nie były może formą rozerwania kobiet zamkniętych w małej przestrzeni klasztoru? Listy, jakie matka Maria Gonzaga pisała na temat Teresy, są pełne autentycznej serdeczności i zachwytu. Takie same wątpliwości można mieć w stosunku do innych zakonnicek, które niejednym raz boleśnie dotknęły Teresę. Wydaje mi się, że po-

szukiwania w tym kierunku niewiele pomogą w zrozumieniu wielkości Teresy od Dzieciątka Jezus. To, co pisała o udrękach życia we wspólnocie zakonnej, mogłaby pisać z pewnością niejedna zakonnica żyjąca w analogicznych warunkach. Ludzie zamknięci w takiej wspólnocie potrafią być okropni. Kiedy Teresa w infirmerii dusiła się wyčerpana gruźlicą, były zakonnice, które do końca posądzały ją o symulowanie choroby. Znalazła się taka, która jej to powtórzyła. Na długo przed jej śmiercią przyniesiono jej do infirmerii siennik, na który składano zwłoki zmarłych zakonnicek. Ale to znosiła nie tylko Teresa od Dzieciątka Jezus, to jest życie w tego rodzaju wspólnocie. Nie, źle napisałem, to jest jeden z aspektów życia we wspólnocie zamkniętej. Aspekt, który zresztą niczego sam z siebie nie tłumaczy.

*

Mam wrażenie, że to co, napisałem do tej pory, było pretekstem, żeby nie pisać o najtrudniejszym. Oczywiście tamto wszystko jest ważne, jest tłem, jest sygnalizowaniem realiów. Realiów przeanalizowanych już na wszystkie strony. By rzeczywiście mówić o Teresie, trzeba mówić o jej miłości. Wstąpiła do Karmelu *pour Jésus seul* — tylko dla Jezusa. „Wybieram wszystko” — powie jako mała dziewczynka. Mówiąc o Teresie trzeba mówić o jej miłości do Jezusa.

*

Parę miesięcy przed śmiercią napisała: „Sądząc po uczuciach, które wyrażam w wierszykach w tym roku ułożonych, mogłabyś mniemać, moja ukochana Matko, że moja dusza opływa w pociechy, że zasłona wiary została prawie rozdarta. A tymczasem... dla mnie to już nawet nie jest zasłona, to mur, który się wznosi prawie do nieba i przysłania gwiazdzisty firmament... Kiedy śpiewam o szczęściu Nieba, o wiecznym posiadaniu Boga, ozynię to bez żadnej wewnętrznej radości, opiewam po prostu to, w co CHCĘ WIERZYĆ. To prawda, że czasem nikły promyk słońca rozjaśnia moje ciemności. Ale tylko na chwilę. Wspomnienie tego promyka, zamiast mnie cieszyć, sprawia, że ciemności wydają mi się jeszcze bardziej nieprzeniknione”.

A w niedługi czas później: „Nie widzę jasno, co będę

miała po śmierci, ponad to, co już teraz posiadam... Oglądać będą Boga, to prawda, ale co do obcowania z Nim, to zażywam go już w całej pełni na ziemi". Miesiąc przed śmiercią, kiedy była ogromnie umęczona chorobą, powiedziała do kogoś z otoczenia: „O, jakże się trzeba modlić za konających! Gdyby wiedziano! Jakże potrzebna jest modlitwa komplety: *Procul recedant somnia et noctium phantasmata*... Zdaje mi się, że szatan prosił Pana Boga o pozwolenie kuszenia mnie cierpieniem posuniętym do ostatnich granic, aby doprowadzić mnie do utraty cierpliwości i wiary”.

*

Raczej niewiele pisano o tym, co przeżywała Teresa przez ostatnie dziewiętnaście miesięcy życia. Pisano ogólnie, że ciemności, że udręki wewnętrzne. Jej siostra w zapiskach z ostatnich rozmów modeluje zmarłą według wzoru mistyków Karmelu, Jana od Krzyża i Teresy Wielkiej. Jest coś wstrząsającego w tym, co wymknęło się spod pióra Teresy. Pierwszy z rękopisów autobiograficznych stale mówi o czerpaniu radości z wiary. Jej niebo jest tu, na ziemi. Realność obecności Oblubieńca nadaje sens wszystkiemu. Nie tak w rękopisie C, tym, który kończyła ołówkiem, leżąc w infirmerii: „Zdaje mi się, że słyszę głosy szydzące ze mnie: Naprzód, naprzód, ciesz się na śmierć, która ci da nie to na co oczekujesz, ale noc jeszcze głębszą, noc i nicość”. Teresa szuka porównań do ukazania tego, co przeżywa. Ciemność, tunel, mgła... Zatrzymuje się: „Nie chcę dalej pisać z obawy, aby nie zbluźnić”.

I przy tym ani na chwilę nie ustaje jej wiara. I to jaka wiara! Nie sposób tego opisywać. Cytaty będą mylić. Tak bardzo nieliterackie zapiski, dzięki nieliterackości są przejmująco prawdziwe. Pisze adresując do przełożonej, ale co chwila Jezus jest adresatem. To nie są formalne chwytły współczesnych nam, zajadłych polemistów piszących „Listy do Jezusa Chrystusa”, by dyskwalifikować ludzi innych poglądów. Sama się dziwi: „nie spostrzegłam, że to co piszę, zmieniło się w modlitwę”. Nie poprawia. Przełożona poleciła jej napisać prawdę o sobie.

Pozostając w ciemnościach z tymi, którzy nie wierzą, Teresa nie przestała wierzyć. To dla niej powód do radości: „Biegnę do Jezusa i mówię Mu, jak jestem szczęśliwa,

że nie cieszę się niebem na ziemi, bo dzięki temu mogę je otworzyć na całą wieczność biednym niewierzącym". Wiara Teresy nie jest spekulacją teoretyczną. Fakty egzystencjalne. Uczestniczy w ciemnościach niewierzących, „dzieli ich chleb” jak sama się wyrazi, a jednocześnie, jak napisał ks. J. F. Six, łamie chleb z Chrystusem, który — o czym jest przekonana — dał jej ową próbę do przejścia. Teresa nigdy nie mówi o „nocy wiary” jak wielcy mistycy, mówi o „nocy tego życia”. Nie jest świętą, która spieszy ku przeżyciom mistycznego sam na sam z Bogiem. W nie spotykany w owym czasie sposób Teresa rozumie niewierzących. Utożsamia się z nimi, nie przestając ufać Jezusowi. O swoich przeżyciach mówi jako o męczeństwie. Jest to męczeństwo samotności. Stojąca nad łóżkiem umierającej rodzona siostra, która z ołówkiem i papierem poluje na każde jej słowo, nie rozumie. Zanotowane rozmowy są świadectwem owego nieustannego mijania się pytającej i odpowiadającej.

*

O miłości Teresy do ludzi można by napisać wiele. Miłość przemyślana, uważna, wrażliwa. Przykład: siostra Maria od św. Józefa. Na kilku fotografiach można zobaczyć tę twarz, grubo ciosaną, o ociężałym wyrazie. Siostry Marii od św. Józefa nie lubiano. Miała trudny do zniesienia charakter. Kiedy umarła, nie napisał nikt o niej wspomnienia, jakie po śmierci zakonnice rozsyła się normalnie do innych klasztorów. Starsza o piętnaście lat od Teresy, zmarła znacznie później (nie bardzo dziś wiadomo, kiedy). Biedna neurasteniczka przeżyła raz w życiu wielkie zaskoczenie. Znalazła się ochotniczka, która zgłosiła się do pomocy w jej pracy bieliźniarki klasztornej. Zachowało się kilka bilecików, które nieoczekiwana pomocnica — siostra Teresa od Dzieciątka Jezus — napisała do niej. Bileciki pisane są w konwencji nieznośnego szczebiotu: diabelki, chore czepki, lódeczki, generałowie itp. Tak widocznie trzeba było rozmawiać z siostrą Marią od św. Józefa, żeby powiedzieć jej słowo dodające optymizmu i odwagi. Wiadomo tylko, że na całe życie zachowała siostra Maria wspomnienie przyjaźni Teresy, która starała się podtrzymywać ją i pocieszać. A bileciki, o jakich wspominałam, to nie tylko szczebiot. Ostatni list, z infirmerii, niemal cał-

kiem poważny także w formie. Wszystkie pisane w okresie, kiedy Teresa wiedziała, że jest śmiertelnie chora, kiedy przeżywała najcięższe chwile swego wewnętrznego życia.

*

Usiłowania, by ukazać Teresę przez przytaczanie cytatów. Nieporozumienie. Jedna z zacytowanych przez jej siostrę rozmów: Matka Agnieszka od Jezusa (siostra świętej) — „Zachęcałam ją do powiedzenia kilku słów budujących lekarzowi zgromadzenia”. Teresa — „Ach! moja Matko, nie jest to mój zwyczaj. Niech pan de Cormier myśli, co mu się podoba. Lubię jedynie prostotę. To, co się jej sprzeciwia, jest dla mnie wstrętne. Zrobić to, czego chcesz ode mnie, byłoby czymś złym.”

*

Nie napisałem do tej pory, że „Mała św. Tereska” była wyższa niż pozostałe jej siostry, że była piękną dziewczyną o żywym, wesołym usposobieniu, że nawet podczas ostatniej choroby potrafiła tak zabawiać otoczenie, że przełożony, który przyszedł, by ustalić, czy należy udzielić jej Ostatniego Namaszczenia, został wprowadzony w błąd i zdecydował, że nie, że sytuacja nie jest na tyle poważna. Nie napisałem, że bała się pajaków, że nie cierpiała mleka, że długo trwało, zanim przestała przywiązywać wagę do ładnych przedmiotów codziennego użytku i że rezygnacja z ładnego, lekkiego dzbanka na wodę na rzecz obtłuczonego, ciężkiego i brzydkiego, który ktoś wstawił do jej celi, była dla niej przeżyciem. Nie napisałem wielu rzeczy. Właściwie chcę tylko przypomnieć, powiedzieć, że nie tylko podobizny zostały przywrócone do prawdziwej wersji, ale i pisma. I że są to pisma jednego z największych mistyków chrześcijańskich.

*

Jeżeli Teresę miałbym streścić w jednym słowie, to w słowie UFNOŚĆ. Teresa powiedziała to, co teraz mówią najwięksi teologowie naszych dni: „pozwoić Bogu być Bogiem”. Nazwano to „małą drogą”, albo „drogą dziecięctwa duchowego”. Conrad de Meester zatytułował książkę o Te-

resie: *Les Mains vides* — „Puste ręce”, w czym — wydaje mi się — leży sedno rzeczy. Kochać Boga... to duże słowa. Teresa, podobnie jak kiedyś Franciszek z Asyżu, odpowiada: uwierzyć w Jego Miłość. Dać się kochać Bogu.

*

„Mówiono jej: Jesteś święta! — Nie, nie jestem święta, nigdy nie spełniałam czynów świętych. Jestem małą duszą, którą Bóg napełnił łaskami”. „Mówiłam jej, że później będą wysławiać jej cnoty. Odpowiedziała mi: Pana Boga jedynie trzeba będzie wysławiać, bo w moim małym «nic» nie ma niczego do wysławiania.”

*

„Być jako dziecko, to uznawać swą nicość, oczekiwać wszystkiego od Boga, tak jak małe dziecko oczekuje wszystkiego od ojca; o nic się nie martwić, niczego nie gromadzić. Nawet u biednych ludzi, dopóki dziecko jest małe, dają mu to co niezbędne, ale kiedy podrośnie, ojciec mówi do niego: teraz pracuj, sam sobie możesz wystarczyć. Żeby nie usłyszeć tego, nigdy nie chciałam być duża, czułam się niezdolna, by zapracować sama na życie wieczne w niebie.

Być małym, to nie przypisywać sobie dobra, które się pełni, lecz uważając się za niezdolnego do czegokolwiek, uznać, że to Bóg składa w ręce swego dziecka te skarby dobra, by się nimi posługiwać według potrzeby. Ale skarb zostaje zawsze własnością Boga. Wreszcie nie zniechęcać się swoimi błędami, bo dzieci często się przewracają, lecz są za małe, by mogły sobie zbyt wiele złego zrobić.”

*

Kiedy się czyta o św. Teresie od Dzieciątka Jezus opracowania fragmentaryczne — pewnie także przy czytaniu powyższych, bezradnych notatek — rodzi się nieufność: a może to gorączkowa uczuciowość tak właśnie wychowanej dziewczyny, chorej na gruźlicę, trawionej gorączką? Dom, klasztor, lektury?

Ale nie. Bóg, do którego zwraca się Teresa, nie jest Bogiem religii jej środowiska rodzinnego, Bogiem „na potem”, „na po śmierci”. Jej niebo jest już teraz. Nie jest to jansenistyczny Chrystus umierający za wybranych, groźny

sędzia. Jej świętość (czytaj: osobista więź miłości z Bogiem) odbiega daleko od tego, co przez świętość rozumiano w ówczesnym Karmelu. Kiedy przekonana o niezwykłości umierającej jej siostra, matka Agnieszka od Jezusa, czytująca na ostatnie zwierzenia z ołówkiem w ręku, stawia jej coraz to innych spraw dotyczące pytania, podświadomie sterując w kierunku potwierdzenia pewnego modelu świętości, nieustannie rozmija się z zapytywaną. Bóg Teresy nie jest produktem rozgorączkowanej wyobraźni. Teresa, mimo języka jakim pisze, jest typem dalekim od egzaltacji religijnej. Zmuszona posłuszeństwem daje przejmujące świadectwo, jak bardzo jej wyobraźnia pozostawała w sprawach Boga milczącą pustynią. Więc co? Wiara, nadzieja i miłość jako specjalna władza poznawcza? Nie wiem. Wiem, że stoimy przed wielkim mistycznym świadectwem.

NOTES



NIE ŚPIESZYĆ SIĘ Z ODEJŚCIEM

Przychodzi taka chwila, że pozostaje tylko jedno do zrobienia: przywalić drzwi grobowe wielkim kamieniem i odejść. Jak Józef z Arymatei, potajemny uczeń, dobry człowiek i ofiarny, bo przecież oddał własny, nowy grobowiec. Oddał, żeby przynajmniej koniec tej smutnej historii i wspomnienie, i miejsce, gdzie będzie można wspominać piękne dni nadziei, były piękne.

Napisałem tak, bo wiem byłem z tymi ludźmi, razem z nimi przywalałem drzwi do grobu tym smutnym kamieniem i odchodziłem z nimi smutny. Razem z nimi wracałem do domu ze świadomością, że umarła wiara, że zgasła nadzieja: a myśmy się spodziewali, że będzie inaczej.

Zostały jeszcze do podjęcia gesty rytualne, ceremonie pogrzebu, namaszczenia, powroty do grobu o świtaniu, bardzo potrzebne nam niż temu, którego zakrywał ciężki kamień grobu. Bo nie jest łatwo rozstawać się z nadzieją, nie jest łatwo odejść od spraw, z którymi związało się życie; bo odchodzenie od grobu bywa bardzo trudne, więc się jeszcze powraca.

Nie mam wiary nawet takiej jak ziarnko gorczyczne, nigdy wiarą moją nie udało mi się poruszyć, już nie mówię góry, ale najmniejszej grudki ziemi czy obłoku.

Kiedy byłem młodszy, powiedzieli mi, żebym patrzył na gwiazdy, na góry, na bezmiar morza i odkrywał Tego, Który Jest. Powiedzieli mi, kiedy byłem młodszy, żebym prosił i był dobry, a zostanę wysłuchany. Powiedzieli mi, żebym przeczytał mądre książki. Więc czytałem, patrzyłem na gwiazdy, morze i góry, prosiłem i zostałem wysłuchany; kiedy szedłem przez góry, czułem jego obecność; książki zdawały się zawierać wszystkie potrzebne odpowiedzi wcześniej, nim umiałem postawić pytanie. On był w zasięgu ręki. Kiedy ubrany w komeżkę zawieszałem w

zakrystii kadzielnicy, miałem lzy w oczach z radości, że jest tak blisko. Przez uchylone drzwi z kościoła słycać było wielki śpiew. I tam był On. On wynikał z rozumowań, którymi olśniewał mądry prefekt jezuita, z łatwością odpierając zarzuty, jakie pełnymi garściami znosili mu z innych lekcji.

Ale później, właściwie nie wiadomo kiedy, cała ta miasternie wznoszona budowla zaczęła się rozpadać. Aż do dnia pogrzebu, kiedy trzeba było zamknąć drzwi grobu wielkim kamieniem i odejść. Gwiazdy, jeśli nawet mówiły o potędze, nie mówiły o miłości, niebo w zimie lśniło lodowato, prażyło bezlitośnie podczas lata. Z obojętnością straszna mówiło mi, że tak samo będą mrugać gwiazdy, kiedy mnie nie będzie i że słońce prażyło dawniej jak dziś, obojętne tak na złych, jak i na dobrych. Wyniki rozumowań wreszcie zaczęły nudzić. Wiadomo już było, że w rozumowaniach zawsze ukryta jest pułapka, której nie potrafię odkryć, bo jednym wychodzi zawsze co innego niż drugim, a jedni i drudzy byli ode mnie mądrzejsi. Zresztą nie logiczne kusiło bardziej niż logiczne, była w tym przyгода, chodzenie po bezdrożach, ryzyko. W prośbach czułem się bezradny, na dobrą sprawę nie wiedziałem, o co chcę prosić. Także w prośbach zawierała się pułapka: każde wysłuchanie zawsze i tak przeciwko mnie się obracało.

Nie spodziewałem się, że On odnowi jakieś państwo ziemskie, ale myślałem, że przemieni mnie i uraduje młodość moją, a byłem coraz starszy i coraz trudniej przychodziło mi się cieszyć.

Więc szedłem do ludzi, którzy razem ze mną przeszli ten odcinek drogi zachwyceni, pełni entuzjazmu i nadziei, tak jak ja sam. Ale byli smutni. Obmyślali sposoby obrony, bali się, że może być jeszcze gorzej, bo czuli się samotni ze swoimi wspomnieniami, Zagrożeni. Więc i od nich odchodziłem. Właściwie trzeba było tam nie wracać, jeśli chciało się być logicznym. Trzeba było iść do domu. Trzeba było pogodzić się z klęską. Zachować co dobre, pielęgnować ból wspomnień i nie wracać. Ale byli tacy, którzy wbrew logice przeczuwali, że to nie może być koniec; którzy zgoła absurdalnie szukali czegoś, krążąc wokół grobu.

Chcę tu jeszcze dodać, że oni także nie mieli wiary, która przenosi góry.

Może to, co spowodowało spotkanie właściwie niemożliwe: odnalezienie żywym Umarłego — to było czekanie wbrew wszelkim kalkulacjom. Jeden z nich znajdował się w podobnej sytuacji jak ja. Przyszedł kiedyś i dowiedział się o nieprawdopodobnym spotkaniu z Umarłym. Oczywiście nie uwierzył. Tak jak i oni sami przedtem nie wierzyli, bo ostatecznie są granice prawdopodobieństwa, poza które nie da się wyjść. Więc nie uwierzył, ale wbrew logice i niewierzeniu został. Został, żeby czekać na to, o czym wiedział przecież, że nie może nastąpić: na spotkanie, które zakwestionował jako niemożliwe. Może właśnie to, że został, że mu żal było przeszłości i nadziei, i entuzjazmu, którym dawniej płonął, może to, że został, mimo rozpaczy tym cięższej, im większe były przedtem entuzjazm i nadzieja, teraz zawiedzione — przeżył spotkanie, które nastąpiło nie przez patrzenie na gwiazdy, góry i fale wielkiego oceanu ani przez czytanie lub dyskusje. Nie została wysłuchana żadna prośba, nie prosił zresztą o nic, siedział oddzielony od reszty swoją nieufnością, sceptycyzmem, tyle że siedział razem z resztą, niewierzący, obcy przez swą niewiarę, słaby przez nadzieję, która świadczyła o niezdecydowaniu; przynajmniej tak mogło to być odczytane.

Inny napisał do mnie o spotkaniu: „Bracie, jestem tak szczęśliwy, że czasami wydaje mi się, że ze szczęścia pęknię. Idę ulicami miasta i mam ochotę każdemu spotkanemu człowiekowi rzucić się na szyję i prosić, żeby ze mną szedł do Niego. Jak ja mogłem tyle czasu żyć bez Niego? nie wiem”.

Nie mam wiary nawet takiej jak ziarnko gorczyczne. Mówię górą, żeby ruszyły się z miejsca, a one się nie ruszają, nie poruszę moją wiarą nawet grudki ziemi ani obłoku, ale po co mam przenosić góry, wcale nie chcę pofuzować obłoków na niebie.

Nie umiem opowiedzieć o moim spotkaniu. Nie ma nic do opowiadania. Było to wtedy, kiedy ostatecznie zaakceptowałem klęskę, kiedy już zostały tylko rytualne gesty pogrzebowe i żal, a także niechęć wobec konieczności odejścia od grobu, przy jednoczesnym — powtarzam — stwierdzeniu, że to koniec. Wtedy On, nie rozpoznany, powiedział moje imię. Nic więcej, tylko moje imię. Wiem, że ta relacja to dla Was za mało. Niestety, nie mam już nic

do dodania. Oczywiście, jeśli chcecie, mogę opowiedzieć Wam o tym, co czytałem w książkach, mogę Wam poradzić, żebyście patrzyli na gwiazdy, góry lub na morze. Ale naprawdę z przekonaniem mogę powiedzieć jedno: nie odchodźcie łatwo, nie dajcie się zasypać ruinom waszego marnego budowania, kiedy Wam wszystko zacznie walić się na głowę. Bo miejsce i czas spotkania są nie w sytuacji krańcowej, ale już poza nią. I nie wiercie w granice prawdopodobieństwa. Może zresztą istnieją, ale my o nich nie wiemy.

Jego przyjaciele denerwowali się (było to niedługo przed klęską), że nie poszedł zaraz uzdrowić przyjaciela. Wtedy On przez to wydarzenie powiedział (powiedział to w tonacji łatwiejszej do przyjęcia dla nieprzyzwyczajonego ucha), że będzie zwlekał poza ostateczność prawdopodobieństwa. Że dopiero, kiedy działanie śmierci będzie silniejsze niż cała możliwa nadzieja ludzka, wtedy dopiero On przychodzi.

Więc decyzja czekania wtedy, kiedy należałoby — na tak zwany zdrowy rozum — odejść, machnąwszy ręką na nadzieję. Spotkanie możliwe jest na gruncie absurdu, oczywiście absurdu w kategoriach wszystkich przewidywań ludzkich.

Ryzyko przeczekania albo zaufania podjąć trzeba przed spotkaniem. Tak było z rybakiem, któremu On kazał wysiąść z łodzi na środku jeziora i przyjść do siebie. Po jeziorze nikt nie chodzi. A potem pomocna dłoń dla tego, który postąpiwszy krok w stronę Spotkanego, pomyślał, że to niemożliwe.

Powiecie, że mówię o niczym, że na tych relacjach życia nie da się budować. Że lepiej by może w przyzwoitym grobie zachować Tego, który umarł i w oparciu o wspomnienie budować na tyle, na ile to możliwe w rozsądnych granicach prawdopodobieństwa. Pewnie macie racje. Ale gdyby tamten rybak nie wyszedł z łodzi, gdyby siedząc w niej, uprzejmie kiwał głową, że owszem, to pewnie jest możliwe, ale on osobiście, raczej niech mu będzie wolno, nie ma zamiaru się utopić i ograniczy się do zachowania innych poleceń i wskazówek, których słuszność społeczna, wychowawcza a nawet zdrowotna jest większa niż ciężar wynikający z ich przyjęcia, gdyby z łodzi nie wyszedł, nie przeżyłby doświadczenia ufności.

I musiałby pozostać stróżem grobu, pustego, czy pełnego śmierci, ale zawsze grobu.

Byli tam jeszcze i tacy, którzy odeszli. Nieśli w węzełkach grudki ziemi utraconej, nieśli okruchy zgłiszcz swego budowania. Przystawali, rozwijali węzełki i patrzyli smutni na to, co z ich nadziei zostało. Mieli oczy pełne popiołów i ceglanego pyłu, jaki wznieca wałąc się budowla. Może też płakali nad tymi garstkami prochu i może od płakania zaczęli lepiej widzieć. A kiedy wrócili biegiem, bardzo się zdziwili, że to nie wszyscy odeszli, tylko oni, że ich przyjaciele siedzą razem, radośni. I siedzieli długo w noc, bo już wiedzieli, że spotkanie jest możliwe i że zwalenie budowli, które oni brali za klęskę, dopiero odstłoniło widok na prawdziwą budowlę; że z wyznaczaniem granicy absurdu trzeba być ostrożnym i z odejściem nie trzeba nigdy się spieszyć, bo łatwo się rozminąć, unosząc w sobie pamięć grobu, a nie wiedząc, że grób ten tylko we wspomnieniu zamyka wielkim głazem pogrzebaną nadzieję, w rzeczywistości zaś jest pusty.

KTO JEST NAJLEPSZYM TEOLOGIEM

Spotkałem S. a ponieważ to teolog, więc spytałem, kto według niego jest najlepszym w Polsce teologiem. To co usłyszałem, w pierwszej chwili uznałem za żart, bo S. twierdzi, iż najlepsi są duszpasterze akademicy. Dopiero potem połapałem się, że ja pytałem o najlepszego specjalistę-teoretyka, gdy on przypuszczalnie uważa, że jeśli rozmawiać, to nie o teoretykach, ale o tak zwanych kerygmatykach. Podobne twierdzenie spotkałem niedawno w książce o małych wspólnotach Philippe Varniera. Cytując ojca Jossua pisze on, że za teologów nie należy przede wszystkim uważać specjalistów legitymujących się najsuktelniejszymi spekulacjami. Miarą kompetencji wyższą niż naukowa jest refleksja nad własną wiarą podjęta przez człowieka wierzącego, włączonego przez chrzest do Ludu Bożego. Ojciec Congar powiada, że „wszyscy mają światło; są oświeceni i czynni”. Ujmując rzecz radykalnie, powiedziec można, że samo pojęcie „zawodowego teologa” ma w sobie coś z bluźnierstwa: byłoby wtedy chrześcijaństwo specjalistów od Pana Boga!

Jest to problem języka, ale także problem świadectwa.

Najlepsza formuła teologiczna pozostanie bez oddźwięku, jeśli nie wyraża świadectwa przeżytej wiary, wątpienia, odkrycia. Oczywiście i doświadczenie pozostające jedynie doświadczeniem przeżytym, ale zamkniętym w sobie, doświadczenie, którego nie próbuje się wyrazić w słowach, którego się nie przekazuje przy pomocy istniejących narzędzi myślowych, pozostanie magmą. Może cenne w krajnie subiektywnych doznań, dla teologii, o której mowa, nie będzie miało wartości. „Teologowie zawodowi” muszą na nowo nauczyć się języka, jakim mówi się i myśli na co dzień; „teologowie na mocy chrztu” muszą poznać język teologów wypracowany przez wieki, przejść przez tę strefę językową, by odkryć język nowy i w nim wypowiedzieć swą wiarę.

Rozwiązania proste, typu: dać doktrynę, a wszystkie problemy będą rozwiązane; czy odwrotnie: zostawić wolność mówienia, a każdy bezboleśnie dojdzie do wiary, czy: zostawić wszystko działaniu łaski chrztu i bierzmowania; lub wreszcie: sprowadzić wszystko do posłuszeństwa hierarchii — jak zwykle bywa z prostymi rozwiązaniami, są niewystarczające.

JAKA JEST MOJA RELIGIJNOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSKA

„Zapytał Piłat: czy Ty jesteś królem żydowskim?” Sam od siebie to mówisz, Piłacie? To nie jest twoje pytanie. Powtarzasz cudze pytania. Nie sil się na pytania uczone, podchwytliwe, politycznie istotne, pytania „na poziomie”. Odważ się postawić swoje własne pytanie.

„Zapytał Piłat: a więc Ty jesteś królem? Odrzekł Jezus: tak, Piłacie; jestem królem, tyś powiedział...”

Jaka jest moja religijność chrześcijańska? To tak jakbym spytał, jaka jest miłość do kochanego człowieka, chłopca, dziewczyny, męża, żony, dziecka, rodziców? Jaka jest? Przecież moje dzisiejsze „jest taka i taka” różni się od jest z wczoraj i od jest jutrzejszego. „Idźcie, mówi Pan na wszystkich zakrętach Ewangelii. Wybrał nas, byśmy pozostawali w dziwnej równowadze, której nie można osiągnąć, zachować inaczej, jak poruszając się (...) Podobnie do roweru, którego nie da się utrzymać pionowo jeśli nie jedzie; roweru opartego o ścianę, dopóki się go nie dosiądzie, by toczył się szybko po drodze (...) A na

tej drodze poruszamy się wśród nocy, każdy czyn, który mamy wykonać, rozjaśnia się kolejno jak odblaskowy znak na poboczu drogi" (M. Delbrel).

To jest po prostu życie, które płynie. Wchodzimy w nie. Pod tym wszystkim, co we mnie jest stałe, jak wrodzone i nabyte cechy charakteru, ukształtowana w dzieciństwie osobowość itd., płynie podziemny, rzadko uświadamiany nurt nieustannego stawania się. I ostatecznie religijność nie jest, bowiem punkt pomiędzy „była” i „będzie” jest abstrakcyjny. Kiedy mówię „jest”, mówię już o tym, jaka była...

Jaka jest moja religijność? Moja, to znaczy czyja? Każdy idzie swoją drogą i tyle jest dróg, ilu idących ludzi. Jak łatwo z sekciarskim uporem wykrzykiwać, że tylko i wyłącznie moja prowadzi do celu, że tylko tędy można dojść, że wszystkie inne są błędne, do nikąd. „Ja właśnie od św. Tomasza nauczyłam się, że ostatecznie istnienie Boga jest być może prawdopodobne. Ale któż mi zaręczy, że dla ciebie św. Tomasz nie jest najnudniejszym, najbardziej niezrozumiałym z filozofów? Dla mnie moja religia nieodłączna jest od mądrej moralności, zbudowała wspaniałą rodzinę, do której należę. Ale być może, że twoja rodzina nie została wcale zbudowana i nawet jeżeli naprawdę chcesz kochać Jezusa, nic na świecie nie przekonasz cię do kochania jakiejś moralności” (M. Delbrel). Dla mnie przełomowym przeżyciem było spotkanie człowieka, który był prawdziwym przyjacielem Boga. Ale przecież nie wiem, czyś i ty przeżył podobne spotkanie, nic nie wiem o ludziach złych i dobrych, jacy zjawili się na twojej drodze. Jest przecież tyle dróg...

Jaka jest moja religijność chrześcijańska? Inaczej: co nowego wniósł w twoje życie Chrystus? Może powiesz: „...nie wiem, bo zawsze byłem chrześcijaninem, Bóg wchodzi w zakres moich przyzwyczajzeń i mojego sposobu myślenia. Nie bardzo umiem sobie wyobrazić, czym mógłbym być, gdybym nie został wychowany po chrześcijańsku”.

Ale zwykle ten stan spokoju, w który z czułością wypozażył nas dom dzieciństwa, zdąża do krytycznego momentu. Człowiek spotyka inny świat, ludzi, którzy wierzą inaczej, lub nie wierzą wcale, dla których wpojone mi zasady dobra i zła nie są bynajmniej tak oczywiste, jak my-

ślalem, że są dla wszystkich; jak są dla mnie. I ten inny świat, przed którym mnie ostrzegano, że jest zły, ci inni ludzie nie są ani głupi, ani źli. I zbudowany w dzieciństwie dom zaczyna drżeć...

Tak musi być. Konfrontacji każdy musi dokonać sam. Musi zawalić się wszystko, co we mnie nie było mną... Zaczynam stawiać pytania „sam od siebie”, już nie powtarzam tego, co „inni powiedzieli mi o Nim”.

To jest czas budowania światopoglądu (słowo to zresztą nie jest najlepsze, kiedy mówi się o religijności i wierze), czas stawiania pytań i podejrzliwego słuchania odpowiedzi, konfrontowania propozycji moralnych. Czy nowo wznoszony dom wytrzyma wiatr konfrontacji z nauką? Czy ktoś gdzieś nie usiłuje mnie nabrać? Czy w gruncie rzeczy nie chodzi komuś o zdobycie władzy nade mną w sprawach najbardziej moich własnych?... Zwykle wtedy przeżywa się także radość tych jedynych spotkań: „...więc i ty? więc i wy podobnie jak ja szukacie?... Przyszedłem do was, ufam, że tu znajdę odpowiedź, że sam będę mógł odpowiedzieć: tak lub nie...”

I często aż zdumiewa szybkość, z jaką rozjaśnia się mrok. Usłyszane wyjaśnienia, wykłady, przeczytane książki pełne są odpowiedzi na pytania, jakby wyjęte z moich własnych ust... Zbudowałem swoją religijność, już wiem, już mam. Już na byle zarzut nie odczuwam usuwania się ziemi spod nóg, nie wpadam w panikę. Dorosłem. Już wiem, co to jest dobro i zło, zasmakowałem goryczy w krainie grzechu, z którego nie można wstać, i radości powrotu, który wydawał się przez długi czas zbyt trudny, wręcz niemożliwy, a potem jak błysk lampy po przekreśnieniu kontaktu rozświetlił moje życie. Tak łatwo, tak nadspodziewanie łatwo. Czasem łapię się na tym, że z wyższością patrzę na innych. Bo ja już wiem.

I wtedy Duch wyprowadzi cię na pustynię. Chociaż drzewa razem tworzą wielki las, każde z nich samotnie czerpie korzeniami soki dla siebie. Pustynia. Już nie sprawa pytań, na które może nawet innym mógłbyś sam odpowiedzieć, już nie kłopot z zarzutami przeciw dogmatowi albo przeciw jakiejś decyzji Kościoła. Przyszedł czas mgły. Mówisz: możliwe, że to wszystko jest, istnieje. Ale ja nie widzę nic.

I nie zawsze wiemy, że tej mgły na imię jest śmierć,

że wyszliśmy z lat niedojrzałości, że dorosiliśmy do tego, by dotknęło nas najbardziej ludzkie, najważniejsze z tego, co człowiekowi dane jest przeżyć: przemijanie. „Jak kobieta cierpi wydając na świat dziecko, jak ojciec się trudzi, by je nakarmić, tak my nosimy naszą śmierć rozpoczętą, i wkrótce ukończoną, jako nasze własne i ostateczne narodziny. Chodzi jednak o to, by dobrze się rodzić, za każdym razem, kiedy umieramy. Chodzi o to, by w obcowaniu ze śmiercią nauczyć się obcować z życiem, by otworzyć oczy wiary tam, gdzie zawodzą nasze własne oczy...” (M. Delbrel).

Czy ten, kto jeszcze nie doszedł tam, do smutku, ba, do przerażenia, jakie rodzi przemijanie, śmierć, może usłyszeć Tego, który przyniósł Życie?...

Kto tu doszedł, na pytanie: „Co Chrystus wniósł nowego w twoje życie?” odpowie: Wszystko! Moc i wraz z nią Miłość. Oddał mi się i myślę, że ja też Mu się oddałem. Ale jeszcze prościej, na pytanie, co nowego wniósł w nasze życie Chrystus? odpowie: Siebie samego — Chrystusa.

JAK MÓWIĆ O BOGU CZŁOWIEKOWI, KTÓRY NIE WIERZY?...

Nie wiem, jak mam mówić o Bogu człowiekowi całkowicie niewierzącemu... A jednak co chwila ktoś pyta: powiedz tak, żebym mógł zrozumieć.

Mówić o Bogu... Kiedyś zdarzyło mi się być wezwanym do umierającej dziewczyny. Umierała w nieludzkich cierpieniach, żadne środki nie były w stanie ich złagodzić. Kiedy tam wszedłem, poprosiła: niech ksiądz mi powie o Bogu dobrym. I to jej cierpienie, i młodość, i życie, które — wiedziała to doskonale — trzeba kończyć. Nie wiem, co jej wtedy powiedziałem. Wiem, że byłem przerażony swoją bezradnością. Nie wiem, czy odpowiedziałem na jej niepokój. Ona już nie żyje. Jej pytanie ściga mnie do dziś.

Jak ma się modlić ten, kto nie wierzy, a pragnie uwierzyć? Taki właśnie człowiek powiedział mi dziś: ponieważ nie mam wiary, mogę modlić się do swojej Nadziei.

Jakże nie sprawdza się to, czego uczyli nas w seminarium, że niewiara to albo sprawa niewiedzy, albo winy moralnej. Jest jeszcze coś trzeciego — kiedy wiedza jest wystarczająco duża, kiedy moralna uczciwość znacznie wyższa niż uczciwość wierzących.

Jeżeli słowo „ateizm” oznacza postawę refleksji skierowanej przeciwko Bogu, to można mieć wątpliwość, czy określa ono właściwie postawę wielu ludzi nam współczesnych. Lepszym słowem będzie tu „niewiara”, słowo, które nie zawiera w sobie sugestii wyraźnej negacji Boga, ale sposób istnienia bez Boga. Postawa, o której mówi się jako o nowym ateizmie, to wybór możliwości bycia całkowicie i w pełni człowiekiem bez uciekania się do hipotezy Boga. Coraz radszym zjawiskiem stał się dziś ateizm walczący. Raczej jest to humanizm przejrzyście niereligijny. Mówiło się do niedawna o erze postchrześcijańskiej, dziś można ryzykować twierdzenie o wejściu w erę postateistyczną.

By zrozumieć aktualny ateizm (niewiarę), trzeba uświadomić sobie, co oznacza powszechne dziś zjawisko zmierzchu ideologii i śmierci wszelkich dogmatów, także niereligijnych. Jeszcze dziesięć lat temu żywy spór pomiędzy ateistycznym humanizmem egzystencjalistycznym i ateistycznym humanizmem marksistowskim dziś stał się sporem akademickim. Dziś, w miarę, jak nowy ateizm się rozszerzył, stał się on mniej doktrynalny — chciałoby się powiedzieć: skromniejszy. Niewiara dzisiejszej młodzieży, na przykład, nie ma charakteru głównie racjonalnego, jest to raczej swoista alergia w stosunku do wiary.

Sklądać ateistyczne wyznanie wiary oznacza powtórnie wpadać w ideologię, co grozi ideologią prometeistyczną, diwinizacją człowieka, zastąpieniem religii Boga religią człowieka (na tym dylemacie, o ile dobrze sobie przypominam, oparty jest wątek głośnej niegdyś powieści *Szerszeń*).

Drugim rysem aktualnego ateizmu jest to, że stał się on problemem praktycznym: jest to druga strona walki o wyzwolenie człowieka. Niektórzy ze współczesnych, jeśli nawet nie wierzą w ideologię, są świadomi ostrości problemów stojących przed ludzkością. I im bardziej szlachetni i ofiarni są to ludzie, tym bardziej rozczarowani praktyczną nieskutecznością poczynań Kościoła w walce o przyszłość człowieka, w walce o przełamanie fatalizmu historii. Problem Boga, zbawienie pozahistoryczne — to są „kwe-

* Sporo myśli zawartych w tych notatkach zaczerpnąłem z konferencji belgijskiego dominikanina ojca Claude Geffré, wygłoszonej w 1974 r. w Bordeaux.

stie luskusowe", które do niczego nie prowadzą ani nie przydają się w rozwiązywaniu sprzeczności historycznych. Trzeba tu podkreślić, że współczesny ateizm często uznaje prawdę chrześcijańską o tyle, o ile ukazuje ona wizję spotkania się w miłości wszystkich ludzi. Jednocześnie ten ateistyczny humanizm uważa, że owa wizja jest pogrążona w abstrakcji i nieskuteczna.

Trzeci rys ateizmu współczesnego, to nihilizm, występujący o wiele silniej aniżeli ateistyczny humanizm. Nihilizm ten jest owocem sukcesu nauki w sensie nowoczesnym i jej antyhumanistycznej ideologii. Dewaloryzuje się wartości metafizyczne w świecie, w którym komunikacja dokonuje się przy pomocy języka technicznego, zaś język symbolu staje się niekomunikatywny.

Stalność zjawiska religijnego skłania do ostrożności w wyciąganiu wniosków z kryzysu wiary chrześcijańskiej i rosnącej w nowoczesnych społeczeństwach marginalizacji Kościoła, z usuwania sacrum z naszego świata i niereligijnego charakteru współczesnego człowieka. Nie można bowiem suponować że jedynie Kościół ma monopol na sacrum. Z faktu, że wielu nam współczesnych nie jest chrześcijanami, nie wynika, że są to ludzie niereligijni.

Należy zastanowić się nad wstrząsającym zjawiskiem: podczas gdy chrześcijanie głoszą sekularyzację, jesteśmy świadkami eksplozji religii i swoistego powrotu do sacrum.

Stosunek Kościoła do tych świeckich religii jest i będzie z konieczności pełen rezerwy. Niewątpliwie religie te są często u młodych formą kompensacji, reakcją na totalitaryzm społeczeństw, w których żyją, na modele kultury, w ich odczuwaniu represywnej. Mogą więc być fenomenem jedynie przejściowym. Jest rzeczą znamionną, że te nowe religie odwołują się zwykle do tego, co w instynkcie religijnym człowieka jest najbardziej mętne i archaiczne. Człowiek łatwo jest religijny, ale trudno wierzący. Można się wręcz pytać, czy stawiający wymagania moralne ateizm nie jest lepszym wstępem do wiary i nie prowadzi do niej lepiej niż owe neopogańskie przejawy religijne?

W wywiadzie udzielonym w październiku 1974 pismu „Panorama d'aujourd'hui” ks. F. Six, przewodniczący Se-

krętariatu dla Niewierzących na Francję, powiedział m. in.:

„Stwierdzam, że coraz więcej ludzi żyje według koncepcji życia, w której nie ma miejsca na wiarę. Nie jest to postawa wrogości wobec wiary, lecz po prostu uważanie jej za rzecz nie istniejącą. Dawniej ludzie spotykając księdza zadawali sobie pytania. Obecnie dziwią się, że ksiądz w miarę otwarty i inteligentny może żyć wiarą. Dziwią się, to wszystko. Nie są oni przeciw Bogu, nie są nawet wobec Boga obojętni, lecz po prostu obchodzą się bez Niego. Niekiedy nie przeszkadza im to być religijnymi. Mówi się dziś wiele o odnowie religijności w różnych formach. Milczy się jednak o fali pogaństwa, któremu towarzyszy religijność. Nigdy bez wątplenia nie było takiej religijności jak w cesarstwie rzymskim w czasie nadejścia chrześcijaństwa. Nie zapominajmy, że pierwsi chrześcijanie, którzy odmawiali oddania czci bogom, byli skazywani na śmierć z powodu ateizmu.

Jesteśmy świadkami powrotu irracjonalizmu — konsekwencji czasu, który poznał bombę atomową i który lęka się eksplozji demograficznej. Ekonomię pozostawiono samej sobie i nie wiadomo, jak ją opanować. Tajemnica świata i człowieka jest większa, niż przypuszczano. Mówiono mi, że w okręgu paryskim niektórzy inżynierowie rozpoczynają dzień kontemplacją wschodzącego słońca. Odczuwają oni potrzebę oddawania czci komuś lub czemuś.

Na pytanie: dlaczego to oddawanie czci nie miałyby pewnego dnia doprowadzić człowieka do Jezusa Chrystusa? Odpowiada ks. Six: „Chciałbym na pytanie odpowiedzieć pytaniem: dlaczego miałyby doprowadzić? Doceniam znaczenie niepokoju, który tkwi w człowieku, lecz jeśli chce się naprawdę szukać sensu życia, trzeba przezwyciężyć religijność uczuciową. Znajdujemy się bardzo daleko z przejawami naszej religijności, która jest dla nas ucieczką od zbyt twardej rzeczywistości. Wielu młodych z chwilą włączenia się w ten prąd czuje się jakby zdemobilizowanych. Ten sam problem spotykamy we wspólnotach, w których młodzi szukają kontynuacji bezpieczeństwa matczynej piersi. U dna tego wszystkiego kryje się lęk przed konfrontacją z rzeczywistością...”.

Jest zasługą współczesnego chrześcijaństwa, że uwypu-

klęło oryginalność wiary biblijnej w stosunku do religii oraz że podkreśliło to wszystko, co dzieli prawdziwe sacrum od wiary archicznego sacrum wielkich religii, objawiających się i dziś w społeczeństwach zsekularyzowanych. Można powiedzieć, że chrześcijaństwo na równi z marksizmem jest podejrzliwe w stosunku do religii, które faworyzują ucieczkę od bezpośrednich, ziemskich obowiązków.

*

Stalność fenomenu religii.

A więc wielu nam współczesnych żyje jako ludzie klarownie niereligijni. Jesteśmy tak bardzo przyzwyczajeni do mówienia o współczesnej cywilizacji jako o cywilizacji ateistycznej, że ryzykujemy uproszczenie wielu spraw. Równocześnie bowiem jesteśmy świadkami wielkiego powrotu do religii, jaki dokonuje się we współczesnym świecie. Ów powrót daleki jest od tego, by mógł być tłumaczony jako wyraz nędzy społeczeństwa, ożywienie religijne występuje w społeczeństwach bogatych i tam zwraca się nie przeciwko nędzy, ale przeciw nonsensowi świata (konsumpcji). Jest to protest społeczeństw nadmiaru, które zwiększa bez przerwy swe środki, cierpiąc na brak wzrostu celów.

*

Co osłabia wrażliwość chrześcijan na sprawy niewierzących? Myśli się o wszystkim z perspektywy eklezjalnej, używa się słów, reakcji zdezaktualizowanych, nie zdając sobie sprawy z coraz większego nieprzystawania naszych trosk czy słów do tego, co przeżywają i odczuwają współcześni (młodzież, ludzie o formacji technicznej itd.). Zostaje się „w kościele”, nie wychodzi się, nie idzie się gdzie indziej, albo wychodzi się bardzo rzadko. Brakuje należytej uwagi skierowanej na głęboką wrażliwość ludzi, którzy nas otaczają. Jeśli zaś wyteżą się uwagę, to mniej lub więcej podświadomie po to, by „rekuperować”, zawładnąć. Dąży się do tego, by „przyprawić z powrotem do Kościoła”, by usprawiedliwić Kościół nie wysłuchawszy nawet dokładnie zarzutów, zamiast wsłuchać się w pytania stawiane Kościołowi przez niewierzących i poszukać odrobiny wiary u stawiającego je, wychodząc od tych właśnie, bardziej lub mniej kłopotliwych pytań.

Wrażliwość na niewiarę zmniejsza się wobec mniejszego niż niegdyś antyklerykalizmu.

Czy struktury kościelne stanowią również przeszkodę w spotkaniu? Często tak — przez wielkie obciążenie uwagi i czasu sprawami wewnątrzinstytucjonalnymi (organizacja pracy, katechizacja, rozdzielanie sakramentów itd.). Istnieją jednak struktury stanowiące doskonałą płaszczyznę spotkania: np. katechumenat. Jest to znakomita okazja wspólnego odbycia drogi ku Prawdzie w atmosferze wzajemnego szacunku, w wysiłku zozumienia drugiej strony.

Brak śmiałości, obawa, że nie będę umiał powiedzieć tego, co trzeba, powątpiewanie o własnej wierze, czy jest dostatecznie mocna.

Samo słowo „niewierzący” zdaje się sugerować, że to nas nie dotyczy — nas „wierzących”. Szkoda, bo jak będzie wyglądało spotkanie z niewiarą drugich, jeśli nie jesteśmy świadomi niewiary w sobie (materializm, używanie słów bezmyślnie, „magnetofonowo”, brak doświadczenia prawdziwego życia modlitwy, brak zmysłu bezinteresowności, kult pieniądza itd.).

Niewiara nie istnieje w stanie czystym. W różnych przypadkach określa się ona konkretnym ujmowaniem sensu życia, rozumienia wolności, wartości itd. Chodzi o tę konkretną uwagę, spostrzegającą konkretny wymiar niewiary w sobie i w innych.

A WY, ZA KOGO MNIE UWAZACIE?

Znamienna rzecz, większość moich rozmówców miała wyraźne trudności, kiedy przyszło do wymówienia imienia Boga. Wyjątek stanowili Monod i H. Tazieff, którzy są głęboko pewni swej niewiary, jak również opat z Bec-Hellouin, ojciec Gramont — głęboko wierzący. Ale jednocześnie wszyscy rozmówcy okazali się ożywieni tą samą pasją co przed tysiącami lat naród żydowski wychodzący z Egiptu. Współcześni mają niejasną ideę, że coś zostało obiecanie człowiekowi, lecz lękają się stwierdzić, że wierzą w Boga. Rzeczywiście, takie stwierdzenie może budzić lęk.

Tak mniej więcej odpowiedział przeprowadzającemu z nim wywiad redaktorowi katolickiego pisma pan Geor-

ges Suffert, naczelny redaktor znanego tygodnika francuskiego „Le Point”, który wydał ostatnio książkę pod szokującym tytułem *Zwłoki Boga jeszcze się ruszają* (*Le cadavre du Dieu bouge encore*, wyd. Grasset). Autor zadał dziesięciu wybitnym ludziom pytanie: „Większość współczesnych ludzi nie wierzy w nic, ale trzyma się życia. Dlaczego?”. Zjawisko paradoksalne — stwierdza Georges Suffert: podczas gdy wierzący wykręcają się albo gubią w meandrach freudowskich i innych, najwięksi uczeni, którzy najczęściej są niewierzący, bez skrępowania stawiają sobie problem Boga albo przynajmniej nie wykluczają go u kresu swych dociekań naukowych.

Te wykręty wierzących intelektualistów przypomniały mi się podczas lektury rozprawki ojca A. M. Carré *Qui dites-vous que je suis?* (*A wy za kogo mnie uważacie?*), stanowiącej rozdział w pięknie wydany przez wydawnictwo Hachette (Collection Genies et Realités) dziele zbiorowym zatytułowanym *Jezus*. Ojciec Carré mówi o aktualności Jezusa. A więc jest aktualność, współczesność Jezusa rozumiana w potocznym sensie: aktualność Jego nauki, przykładu, które wciąż zmuszają człowieka do odpowiedzi, stają przed nim jako pytanie, jako wyzwanie. Są stale aktualną propozycją. W Ewangelii znajdują się żądania, które człowiek stopniowo w sobie formułuje: sprawiedliwość dla wszystkich, zwłaszcza dla słabych, pierwszeństwo służenia przed rozkazowaniem, niezależność wobec potężnych tego świata, zgodność słów z czynami, składanie daru z siebie w służbie bliźniego ...Wielu niewierzących — powiada ojciec Carré — idzie dalej, dochodząc do swojego rodzaju świętości. Postępują oni śladami Jezusa drogą dobrowolnego ubóstwa, przebaczenia krzywd, posuniętego aż do heroizmu. Nauka Chrystusa i Jego osoba doprowadziły ludzi do zakwestionowania dotychczasowego sposobu życia, do przekroczenia samych siebie, do przekroczenia granic ludzkiej mądrości. Gdzie On ich prowadzi?... To tajemnica.

Jednak — stwierdza francuski dominikanin — trzeba lojalnie powiedzieć, że takie przyjęcie aktualności nauki Jezusa i Jego samego prowadzi też do odkrycia obietnic nie dopełnionych, przesłania Niedopowiedzianego.

Błędem bowiem jest przedstawianie Ewangelii jako książki, która zawiera odpowiedź na wszystkie wielkie py-

tania człowieka: o sens, życie, cierpienie, los tych, którzy pomarli itp. Jeśli mówimy o aktualności, o współczesności Jezusa, mówimy o tym samym, czego dotyczyły niegdyś spory Pawła z jego oskarżycielami, spory „o jakiegoś zmarłego Jezusa, o którym Paweł twierdził, że żyje” (Dz 25 19). Wielkie pytania ludzkie Jezus zdaje się pomijać milczeniem. Na pytanie odpowiada pytaniem: A wy za kogo mnie uważacie? I to jest zasadnicze. Od odpowiedzi zależą wszystkie inne pytania, ich waga, ich sens lub beznadziejność.

Współczesność Jezusa... Żyje z nami współcześnie na globie ziemskim ileś milionów ludzi. Współcześni im, nie mamy z nimi nic wspólnego poza faktem istnienia. A On? To jest inny rodzaj współczesności: „Jeśli ktoś mnie kocha, Ojciec mój umiłuje go i przyjdziemy doń i uczynimy sobie w nim mieszkanie”.

Nauka Jego... tak, ale nauka ta nie tylko nie przesłania Jego osoby, lecz przeciwnie, naprowadza, wskazuje nań. Nie powiedział: „miłujcie jedni drugich”, ale „miłujcie się nawzajem tak, jak ja was umiłowałem”.

I zawsze przeszkadzająca nam skłonność do wysilania wyobraźni: jaki był? (Nie chodzi o to, by wyobraźnią rekonstruować przeszłość!), albo nawyk czekania, który ustawia nas w pozycji czekających, że kiedyś nastąpi opóźniające się wciąż ponowne przyjście. (Nie o przyszłość chodzi.) „Oto ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata”.

...Ojciec Carré połowę swej rozprawki wypełnił wypowiedziami różnych ludzi o tym, kim jest dla nich Chrystus.

Georges Suffert powiada, że Bóg powraca kuchennym wejściem. Zapytany, co ma na myśli, mówił o prostych, wierzących ludziach, o prostych, wierzących proboszczach, przypominających mu wiejskiego proboszcza Bernanosa.

POJĘCIA RELIGIJNE

Na zjeździe socjologów religii w Oltarzewie pani dr Janina Słomińska referowała badania dotyczące pojęć religijnych. Te badania, to temat sam w sobie. Chodziło o odkrycie, jak przedstawiają się pojęcia religijne, jak

tworzą układy, jak wpływają na nie wiek, płeć, zawód itd.

I tak np. kiedy zapytano: „czym — kim według ciebie jest Bóg?” otrzymano aż dwadzieścia jeden rodzajów odpowiedzi. Do częstych należały: Stwórca, Ojciec, Ten, który mnie kocha; dość często były: Ten, który rządzi światem, Byt Nadprzyrodzony; rzadko padały: Przyjaciel, Ten, którego kocham (czyli o charakterze bardziej osobistym i aktywnym), bardzo rzadko specyficznie chrześcijańskie — to jest Jezus, Zbawiciel: u młodzieży 9 proc., u dorosłych 7 proc.; gdy podczas analogicznych badań przeprowadzonych w środowisku protestanckim 42 proc. odpowiedzi na pytanie: kto to jest Bóg, było: Zbawiciel.

Pytanie dotyczące innego pojęcia: „Czy należysz do jakiejś społeczności wierzących? Jeśli tak, to do jakiej i co cię z nią wiąże?” Młodzież pytano w salach katechetycznych, starszych po wyjściu z kościoła po mszy św. niedzielnej. Bardzo wielu odpowiedziało, że nie należy do żadnej takiej społeczności, a w jednym przypadku po wypełnieniu ankiety podszedł do prowadzącej badania osoby student prawa i powiedział, że on napisał „nie należę”. „Bo społeczność wierzących, to sekta, prawda, proszę pani?” Zapytany, czy parafia nie jest taką właśnie społecznością, po namyśle stwierdził: „no nie, przecież tu nie ma takiej więzi”. Dla kleryków takimi społecznościami były ich małe grupy. Parafię wymieniło 8 proc. młodzieży, 2 proc. dorosłych, 7 proc. kleryków. Rodzinę (w tych samych grupach badanych) 6 proc., 1 proc., 5 proc.

Z odpowiedzi dotyczących więzi wynikało, że ze społecznością identyfikuje się (świadomość „my”) 3 proc. młodzieży, 0 proc. dorosłych, 7 proc. kleryków. Tu chodziło o przekonanie się, w jakim stopniu obiektywne należenie do społeczności pokrywa się z subiektywnym odczuwaniem tego faktu. Ani jedna osoba nie wskazała grupy katechetycznej jako swojej społeczności wierzących, co pozwala na wniosek, że grupy te w istocie nie są grupami w socjologicznym tego słowa znaczeniu, ale zbiorowościami, publicznością zbierającą się w celu wysłuchania lekcji.

Były jeszcze pytania o „sens życia Jezusa Chrystusa”, o „przyszłość Kościoła”, o to „jak sobie wyobrażasz wła-

sną rolę w Kościele?" (wysoki odsetek braku odpowiedzi!), o modlitwę.

Ustalono wyraźne i znamienne korelacje: dla tych, którzy w Kościele widzą społeczność, Bóg to Miłość, Dobro, Jezus Chrystus, Zbawiciel; ci, dla których Kościół społecznością nie jest, na pytanie o Boga odpowiadali katechizmowym: Sędzia Sprawiedliwy, Duch Najdoskonalszy.

Nie należy generalizować. W dyskusji socjologowie specjaliści i amatorzy jak zwykle grymasili, że metody nie takie, że pytania owakie, że „efekt ankietera” (czyli odpowiadanie „pod ankietera i sytuację”). Dla mnie waga tych badań leży przede wszystkim w samym postawieniu problemu: jakie podkładają treści pod mówione przez nas i przez siebie słowa? Sam pomysł próby wtargnięcia w świat pojęć (nie postaw, nie wiedzy, ale właśnie pojęć) wydał mi się bardzo dobry.

Przejęty tą ideą postanowiłem przeprowadzić eksperyment. W każdym miesiącu spotykam się z pewną grupą młodzieży. Bardzo mili, przychodzą na spotkania punktualnie, chodzą na katechizację, uważają, zachowują się bez zarzutu, w niedzielę są na mszy św., słuchają kazań. Ponieważ to nie są ściśle biorąc lekcje katechizmu, ale spotkania „ekstra”, zwykle tak było, że ja mówiłem, a oni słuchali, czasem ktoś zadał pytanie. Dziś postanowiłem, że ja ich zapytam. Miały być dwa pytania, skończyło się na jednym, bo tyle czasu zajęła rozmowa na ten jeden temat: kto to jest chrześcijanin? Albo inaczej: czy jesteś chrześcijaninem? Co uważasz za cechę odróżniającą cię od niechrześcijanina? (i odwrotnie, jeśli ktoś nie uważa się za chrześcijanina, to na podstawie jakiej cechy?). Trzymałem się zasady, że nie chodzi o postawy, ale o pojęcia. Nie chodziło więc o odpowiedzi dobre i złe. Jeśli ktoś był w tej rozmowie oceniany implícite, to ja sam. Ileż razy mówiąc do nich używałem określeń: chrześcijanin, chrześcijański itd. we wszystkich przypadkach, a nigdy nie zastanawiałem się, czy słowo to znaczy dla nich to samo co dla mnie. A teraz widziałem, że nie znaczy. Mówili przez godzinę, każdy zabierał głos, każdy powiedział, kto to według niego jest chrześcijanin. A więc był tam i „każdy uczciwy, porządny człowiek”, i wyłącznie ludzie doskonali, byli ochrzczeni i nie ochrzczeni, wyłącznie

przystępujący do sakramentów, zachowujący dziesięcioro Bożych przykazań i pięć kościelnych i tak dalej. O związku z Chrystusem powiedziała — na dwie grupy — jedna osoba. Było jasne, że to samo słowo budzi niemal u każdego inne skojarzenia, że to samo pojęcie ma niemal dla każdego z nich inną treść. A w końcu chodziło o pojęcie stosunkowo proste.

Mam przed sobą materiały z sesji na temat wychowania seksualnego (Wyd. LSW), jaka odbywała się w Jabłonnie w 1973 r. Na stronie 224 Andrzej Wielowieyski omawia metodykę pracy na kursach przygotowujących do małżeństwa. Punkt 5: „Każdą konferencję rozpoczyna ankieta. Tematem bardzo zwężonej ankiety jest problematyka rozpoczynającego się spotkania. Po napisaniu odpowiedzi przez uczestników, prowadzący odczytuje wypowiedzi wszystkie lub niektóre. Pomijając sprawę aktywizacji uczestników, satysfakcji, że najpierw im udzieliło się prawa głosu, prowadzący dowiadyuje się natychmiast, z jakim światem pojęć ma do czynienia”.

Któryś z uczestników spotkania w Oltarzewie, ksiądz, pytał ze smutkiem, skąd może wiedzieć, co i jak myślą jego słuchacze. To jest smutek bardzo konstruktywny. Oczywiście nie da się przeprowadzać ankiet przed każdym kazaniem, konferencją itd. Zresztą... tu chodzi o każdy kontakt, o każdą rozmowę. Ale właśnie każdy kontakt, każda rozmowa jest zaproszeniem do wejścia w świat pojęć rozmówcy. Byle nie rozmawiać od niechcienia, byle nie zadowolić się wygłoszeniem swojej kwestii, byle mieć ciepłość i uwagę, jakiej wymaga sztuka słuchania.

„CZY BÓG ISTNIEJE? NIE”

Kiedy mówi się o wierze, trzeba pamiętać, że sprawa rozgrywa się w sferze świadectwa, a nie dowodu. W 1973 ukazała się we Francji książka: *Dieu existe-t-il? Non.* Christian Chabanis przeprowadził szereg rozmów z najsłynniejszymi przedstawicielami kultury i nauki, ateistami. Prosił ich, by w jasny sposób wyrazili swoje przekonania. Książka godna szerszego omówienia. Ch. Chabanis do François Jacoba — wybitnego biologa z Instytutu Pasteura — laureata wielu nagród: „Czy według pana

ateizm określa siebie jako opozycję, negację konkretnej wiary religijnej, czy też jako niezależne i pozytywne twierdzenie?" Jacob: „W moim szczegółowym wypadku jest to po prostu nieobecność: problem, którego się nie stawia, którego już się nie stawia". Chabanis: „Jak więc pan tłumaczy — odrzucając istnienie Boga — fakt psychologiczny istnienia religii, fakt socjologiczny istnienia Kościoła?" Jacob: „... Jeżeli nauka jest najlepszym rozumowym sposobem, jaki znalazł człowiek, aby zapanować nad światem, to według mnie nie jest ona absolutnie zdolna do dania odpowiedzi na potrzeby emocjonalne (afektywne) człowieka. Strona poznawcza i strona uczuciowa są do siebie absolutnie niesprowadzalne. Wielkim sukcesem religii jest połączenie tych dwóch aspektów. Dziś nauka tę jedność rozbiła i część potrzeb efektywnych pozostała nie zaspokojona. Nie przypuszczam też, by zadanie to spełniła kiedykolwiek nauka". Chabanis: „Pan więc nie przypuszcza, że kluczem nowej jedności może stać się nauka?" Jacob: „Nie, nie sądzę, by nauka mogła kiedykolwiek dać wyjaśnienie tego, co odczuwamy wobec uśmiechu kobiety, zachodu słońca, koncertu Bacha. Nie można mieć nadziei na powstanie systemu jednego dla wszystkich, który dostarczyłby dostatecznych racji urodzeniu, życiu, śmierci, posiadaniu dzieci... To jest wielki problem. Dlatego jesteśmy w sytuacji rozdarcia i cierpienia". Chabanis: „Postawa naukowa nie przedłuża się więc koniecznie w etykę, w postawę wobec życia, jak to twierdzą dość pochopnie niektórzy ateści?" Jacob: „Oczywiście, że nie. Weźmy fakty: wystarczy powiedzieć, że istnieje wielu ludzi nauki w pełni godnych szacunku, którzy wierzą w istnienie Boga. Ale podkreślam raz jeszcze, to nie ma nic wspólnego z nauką. To jest inna domena..."

Pierre Debray-Ritzen, psychiatra dziecięcy: „...Ja zajmuję się jedynie przyczynami wtórnymi. Przyczyny pierwsze?... Cóż to jest? Można policzyć je na palcach jednej ręki: skąd pochodzimy? gdzie zdążamy? dlaczego jesteśmy? kto uczynił to wszystko? jak z Nim się połączyć, ewentualnie jak Go odnaleźć? To są pytania, na które człowiek nie znajdzie odpowiedzi nigdy. Jak mucha, która tłucze się o szybę aż do zatłuczenia się na śmierć, bo nie rozumie, że to jest szyba".

Chabanis: „Powiedzieć, że nie ma odpowiedzi, to już jest odpowiedź...”

Debray-Ritzen: „Możliwe, ja nie przeczę, że są przyczyny pierwsze, że zajmują one ważne miejsce, ale — wybaczy pan — ważne dla ludzi, których uważam za dotkniętych obsesją”.

Chabanis: „???”

Debray-Ritzen: „Ponieważ uważam, że wiedza naukowa nigdy tych pytań nie rozwiąże”.

Chabanis: „Ale wiedza naukowa to nie jest jeszcze całe poznanie...”.

Debray-Ritzen: „Jestem skłonny te pytania odstąpić panu, bo jak powiedziałem, ja zajmuję się tylko przyczynami wtórnymi...”

Wierzyć w Chrystusa Zmartwychwstałego, to znaczy przyjąć za realność twierdzenie najbardziej nieprawdopodobne... To co w Ewangeliach o tym napisano, jest zupełnie inne niż na przykład opis wyjścia z grobu brata Marii i Marty, Łazarza. Tam opis jest jak reportaż — etap po etapie: choroba i nadchodząca śmierć, zmarły, tak długo w grobie, że ciało zaczyna się psuć, przy grobie gromada patrzących, modlitwa Jezusa i wreszcie kulminacyjny punkt: Łazarzu, wynijdź z grobu. A potem jeszcze ci, którzy gromadzili się w Betanii ze względu na tego, którego wskrzesił Jezus.

O Zmartwychwstaniu Chrystusa nie tak. Powtarzane coraz szerzej świadectwo: On żyje.

Przyjęcie tego świadectwa oznacza przyjęcie do wiadomości, że jest jeszcze inny sposób istnienia, niż ten, o jakim mówi doświadczenie. Właśnie, jakie doświadczenie?...

Świadectwo, którego ciąg trwa od tamtych, pełnych niedowierzania dni aż do dziś, aż do naszych (pełnych niedowierzania) dni drugiej połowy wieku dwudziestego...

Dla dowodu najgroźniejszą rzeczą jest podważenie go, dla świadectwa — pewien specjalny rodzaj nieuwagi.

W INNEJ PERSPEKTYWIE

Mówić o religii, to mówić o życiu widzianym inaczej. W tak zwanej perspektywie wiary. Nie jest łatwo widzieć rzeczy w innej perspektywie, niż się do tego przy-

wykło. Przykładem tego są choćby dzieje kilku sławnych kosmonautów amerykańskich. Po wylądowaniu na Ziemi, Neil Armstrong, pierwszy księżycowy człowiek, nie dał się nigdy namówić do powiedzenia choćby jednego słowa na temat Księżyca czy nawet podróży. Zamknął się w małym uniwersytecie na prowincji, stał się odludkiem stroniącym od ludzi. Buzz Aldrin tak przejął się własną wielkością, że w armii nie można było z nim wytrzymać. Potem załamanie psychiczne — psychiatra poradził mu, by dla zaspokojenia gwałtownej potrzeby rozgłosu został gwiazdorem reklamy. W czasie związanych z tym podróży narozrabiał tak okropnie, że koledzy ze związku pilotów-myśliciów uznali, że to dla nich wszystkich wstyd i namówili Aldrina, by osiadł spokojnie na przedmieściu Los Angeles. Píše tam książkę, którą zresztą opinia szczególnie się nie interesuje. Ed Mitchel wrócił ogarnięty tajemnymi siłami kosmicznymi, rozwiódł się natychmiast z żoną i usiłuje eksploatować (z małymi zresztą sukcesami) swe nowo nabyte uzdolnienia. Mówią o nim, że jest tym, który zobaczył jedynego mieszkańca Księżyca — diabła. James Irvin spotkał na Księżycu — jak twierdzi — Pana Boga. Oddał się pracy misjonarsko-religijnej. Alfred Worden został poetą.

Jak widać, nawet dla doskonale dobranych amerykańskich chłopców zobaczenie Ziemi z takiej perspektywy, znalezienie się w tak bardzo specjalnej sytuacji nie było łatwym przeżyciem. Dlaczego miałyby być łatwo patrzeć na życie z perspektywy nieba?

REKOLEKCJE DLA NIEWIERZĄCYCH

Mówię konferencje, które ogłoszono jako rekolekcje dla wątpiących, szukających, niewierzących. W pierwszej chwili, kiedy w kościele zobaczyłem kilku znajomych, wierzących, powiedziałem sobie, że pewnie inni podobnie: przyszli z ciekawości, zobaczyć, jak to się robi itd. Ale niby jakim prawem te spotkania uważać za rodzaj sytuacji umownej, gry: wy udajecie wątpiących, ja udaję, że mówię do takich właśnie, ale wszyscy myślimy zupełnie tak samo?

Wierzący, niewierzący?... Do jakiej kategorii zaliczyć Tomasza Apostoła, kiedy siedzi samotny pośród towarzy-

szy cieszących się, że Pan zmartwychwstał — on, zamknięty w swoim wątpieniu?

Na jednej z tych konferencji znalazł się przypadkiem Krzysztof, student, któremu ktoś dał mój adres, żeby jeśli w przejeździe nie będzie miał gdzie nocować, szedł do mnie. Wieczorem trochę gadamy. Krzysztof stwierdza, że jestem pierwszym księdzem, jakiego w życiu spotkał, potem przypomina sobie jeszcze jakichś dwóch spotkanych w czasie wędrówek po Polsce. Krzysztof twierdzi, że jestem zupełnie inny, kiedy mówię w mrocznym kościele dominikańskim, inny potem na spotkaniu z tymi, którzy po konferencji chcą porozmawiać, i inny teraz, w domu. Dodaje: tego księdza z kościoła nie lubię. Potem dodaje coś o samym kościele, o nastroju, niemal teatralnym, a nawet mówi: „...i do tego, cała ta retoryka...”. W czasie spotkania po jednej z konferencji powiedział mi ktoś: „...gdybym przyprowadził dziś moją znajomą, która z wiarą i Kościołem nie miała nic wspólnego od pierwszej Komunii św., byłoby to dla niej słuchanie mówienia o niczym...” Bardzo się zmartwiłem, bo w końcu cały czas myślę właśnie o takich słuchaczach, jak ta jego znajoma. Ktoś inny denerwował się: „...dlaczego takimi opłótkami prowadzi ksiądz ludzi? Trzeba mówić całkiem prosto o tym, co w Ewangelii...”. Wiedziałem, że trzeba. Dwie pierwsze konferencje do tego właśnie prowadziły (opłótkami?). Wczoraj trzecia. Ta właśnie o wierze w Jezusa Chrystusa. Ostatecznie, nie ma innego *signum distinctivum* chrześcijaństwa, niż związanie z Jezusem z Nazaretu, żyjącym w określonym miejscu i czasie Człowiekiem: z Chrystusem, tym, którego zabili za Poncjusza Pilata i który trzeciego dnia wyszedł żywy z grobu; z Tym, o którym świadectwo przekazała pierwsza gmina wierzących...

I przeżyłem dziwny moment. Mówi się te konferencje od ołtarza ustawionego twarzą do ludzi. Kościół jest niemal całkiem zaciemniony, tylko ostre światło pada na ołtarz i na mówiącego. Słuchaczy zupełnie nie widzę, chwilami wręcz zapominam, że kościół jest pełen ludzi, czuję się jakby w studio radiowym. Mam przed sobą jedynie jasno oświetloną płaszczyznę stołu ołtarzowego przykrytą obrusem przypiętym pineskami. Pineska jest najdalszym przedmiotem oświetlonym i kiedy mówię, mówię w ścianę mroku, albo do tej pluskiewki.

Wczoraj, kiedy miałem powiedzieć zdanie: „Bóg stał się człowiekiem. Wierzymy w to. Oraz wierzymy, że zabity zmartwychwstał, że żyje” — zdałem sobie sprawę, że przede mną w ciemnościach jest dziewczyna, dla której moje mówienie sprzed dwóch dni (te opłotki) już byłoby mówieniem o niczym. Zdałem sobie z tego sprawę, słysząc te słowa jeszcze przeze mnie nie powiedziane uszami tych, którzy tu przyszli dlatego, że ogłoszono, rekolekcje dla niewierzących i wątpiących. Słowa, które w każdej niedzielnej mszy przy tym samym ołtarzu spokojnie wypowiadam (wśród nas wierzących), przeraziły mnie bezmiarem swego nieprawdopodobieństwa.

Chociaż nadal kościół pozostawał ciemny i milczący, jakby nie było tam przede mną nikogo, wypowiedzenie tych słów, których chyba podświadomie nie miałem odwagi przez poprzednie dni wymówić, sprawiło, że ciemna przestrzeń przede mną przestała mi ciążyć. Stało się jasne: zgorzeniem dla Żydów, szaleństwem dla pogan... dokładnie tak. Od samego początku właśnie tak.

KŁOPOTY Z LITURGIĄ

W listopadzie 1974 r. Konferencja Plenarna Biskupów Francuskich ogłosiła dokument odnoszący się do reformy liturgicznej. „Od kilku lat krążą opinie, że reforma liturgiczna polecona przez II Sobór Watykański nie ma charakteru obowiązującego. Mówi się zwłaszcza, że ordo missae Piusa V może być używane na równi z ordo Pawła VI”. Biskupi przypominają, że tylko księża starzy lub chorzy mogą za specjalnym pozwoleniem celebrować według dawnego rytu, i to jedynie prywatnie.

„Niektórzy katolicy — czytamy dalej — pozostając w dobrej wierze są wprowadzeni w błąd przez propagandę, która utrzymuje, że odrzucenie reformy liturgicznej soboru jest kryterium ortodoksyjności. Dochodzi aż do stwierdzeń, że teksty mszalne Pawła VI, zwłaszcza modlitwy eucharystyczne, są tekstami niezgodnymi z wiarą lub przynajmniej na tyle niejasnymi, że łatwo mogą służyć herezji”. Biskupi podkreślają, że nie można jednocześnie głosić wierności ojcu św. i podobnych kalumnii.

Dokument jest świadectwem problemów, jakie stworzyła we Francji reforma soborowa. Krańcowości, do jakich

dochodzą przeciwnicy zmian, są niewątpliwie reakcją na krańcowości reformatorów. W dziedzinie liturgii rzecz jest szczególnie wymowna, kiedy się zważy, że — jak powiada Camille Pasquier we wnikliwym artykule o młodzieży francuskiej (w „Informations Catholiques Internationales”) — „nie jest dla młodych ważne, w jaki sposób odprawia się mszę czy prowadzi katechizm, ale ważne jest, czy wiara może nadać życiu wewnętrzną spójność”.

*

Godne zastanowienia jest to, jak żywe reakcje budzi wszystko, co dotyczy liturgii i rytów. Przykłady owych reakcji można długo mnożyć. Przykładem może być więc burza wywołana artykułami Jean Fourastie w „Le Figaro” (24 IV 73; 7 VI 73), które spowodowały napływ listów do redakcji przekraczający wszelkie rekordy korespondencji od czasu powstania dziennika. Ostatnio znów prasa donosi o ostrej interwencji kardynała Paryża w związku z odprawianiem przez byłego kapelana Suwerennego Zakonu Maltańskiego, ks. prałata Ducard Bourget, mszy św. w rycie Piusa V w paryskiej sali Wagram.

Niegdyś komentatorzy twierdzili, że sobór rozpoczął swe prace od Konstytucji o Liturgii, ponieważ ta sprawa wydawała się najprostsza i najłatwiejsza. Życie pokazuje, że jest wprost przeciwnie, że sprawa nie jest ani prosta, ani tym mniej blaha:

1. Ryty (także w liturgii chrześcijańskiej) nie istnieją bez głębokich racji. Zawsze są wewnętrznie związane z określoną koncepcją świata. Co więcej, dla większości ludzi ryty są drogą, którą owa koncepcja do nich dociera. Jedynie specjaliści, teoretycy, członkowie Komisji patrzą na ryty jako na wyraz przemyślanych przez siebie wcześniej teorii. Dla ogółu ryty dostarczają tworzywa do owych koncepcji. Całkowicie opracowane przez teoretyków, ryty, wśród innych niebezpieczeństw, niosą w sobie ryzyko zastąpienia symbolu tłumaczeniem. Dążenie do wyjaśnienia wszystkiego słowami w odniesieniu do rzeczywistości religijnej skazane jest z góry na niepowodzenie. Jakże denerwujące bywają te modlitwy, gdzie Panu Bogu (oczywiście ze względu na wiernych, których przy okazji chce się podksztalić) tłumaczy się wszystko od A do Z.

2. Ryty ewoluują (oczywiście, że ewoluują i ewoluować

muszą) bardzo wolno, w ciągu stu — jeśli nie tysiącleci. Kościół do XVII wieku był skłonny „chrześć” ryty pogańskie, unikając gwałtownych zmian. Ryty bowiem z natury swojej idą od dołu. Obecna reforma jest pierwszym od czasów Karola Wielkiego i Alkuina przypadkiem zmiany przygotowanej odgórnie. Pisał o tym o. Dominik Michałowski w dyskusji o „Szóstym Francuzie” („Tygodnik Powszechny” 3/73), wskazując na wynikające stąd wezwanie do aktywnego wejścia w nową liturgię. Już dziś zgadzają się wszyscy, także najwięksi zwolennicy przemian, że reforma zbyt łatwo usunęła niektóre ryty, nie zawsze dając coś w zamian: że brak jej piękna, że za mały być może w tym dziele był udział artystów z prawdziwego zdarzenia.

3. Tłumaczenia na języki narodowe wydają się przedmiotem nieustannej kontrowersji. Esteci boleją nad usunięciem zwięzłych, pięknych tekstów łacińskich, którym tłumaczenia nie mogą dorównać, umysły praktyczne się dziwią, że Kościół zrezygnował z międzynarodowego języka, dzięki któremu w każdym kraju każdy mógł czuć się w kościele jak u siebie. Tu można dodać, że intencją reformy nie było całkowite rugowanie języka międzynarodowego, np. wyraźnie polecono, by w większych miastach i tam gdzie gromadzą się w kościele ludzie różnych narodowości, używać łaciny. Sprawa odżyła zwłaszcza w związku z Rokiem Jubileuszowym i wielkim ruchem pielgrzymkowym w Rzymie.

Trzecia grupa protestów odwołuje się do tajemniczości niezrozumiałej przez ogół łaciny. Powiadają: łacina podkreśla moment tajemnicy w liturgii, a więc sprawę w religii istotną. Otóż w odpowiedzi należy zadać pytanie, czy było to podkreślenie tajemnicy, czy pewnego rodzaju kamuflaż? I o tym też pisał o. Michałowski we wspomnianej dyskusji. Prawie już dziś zapomnieliśmy, że nawet czytania (w dni powszednie) były po łacinie.

Przez pewien czas co tydzień odprawiałem mszę św. niedzielną po łacinie, z czytaniem także po łacinie. Było to o godz. 12 w polskim kościele w Paryżu. W tym czasie ksiądz proboszcz przeprowadził ankietę wśród uczestników, w większości Polaków, zapytując, w jakim języku ta msza ma być odprawiana: polskim, francuskim czy po łacinie? Odpowiedź zadecydowała: odprawiałem nadal po łacinie.

4. Ale najbardziej generalny zarzut dotyczy zatracenia przez nową liturgię poczucia sacrum. Tu jako przykład zwykle wskazuje się (wprowadzoną zresztą powszechnie w krajach Beneluxu i we Francji) zmianę rytu udzielania komunii św. Przywrócono tam istniejącą przez pierwszych dwanaście wieków w Kościele praktykę podawania komunii św. do ręki.

Istotne¹ jest tu, że zmiany rytów wyrażają zmianę akcentów w wykładzie wiary. Ryt komunii św., chrztu czy sakramentu pokuty jest implicite wykładem na temat struktury Kościoła, miejsca świeckich, hierarchii, roli rodziców, rozumienia grzechu itd. Owa zmiana akcentów może szokować i często szokuje właśnie dlatego, że dotyka rozumienia sacrum. W związku z tym bardzo cenne wydaje mi się to, co powiedział René Laurentin w dyskusji z Fourastie: * „...Co do problemu sacrum, jest to kwestia fundamentalna. Aktualna ewolucja nawiązuje do tego, co głosił Chrystus, kiedy z całą gwałtownością zwalczał formalizm religijny. Istnieją dwie dziedziny, w których sacrum może być kultywowane: przedmioty, formy oraz osoby, ich życie i więź z Bogiem. Jeżeli Chrystus walczył z formalizmem, czynił to dlatego, by uświęcić egzystencję człowieka, by w samym życiu ludzkim dokonać promocji owej wartości sacrum, a to przez miłość, jaką ludzie będą mieli jedni ku drugim. Dlatego za jedno przykazanie uznał i ogłosił przykazanie miłości bliźniego i Boga. Była to sprawa oczywista dla św. Tomasza z Akwinu, dla którego świętość realizuje się nie w rzeczach ale w człowieku, który rzeczy używa dla swego uświęcenia.

Często materializowano sacrum aż do traktowania go magicznie czy zabobonnie, dlatego istnieje potrzeba powrotu do Ewangelii, zresztą także do Proroków, gdyż i oni występowali przeciw formalnemu rytualizmowi.

Czy to oznacza, że należy zlikwidować liturgię? Są ludzie o nastawieniu radykalnym, którzy idą w tym kierunku, twierdząc, że jedyną liturgią w zlaicyzowanym świecie jest ludzkie życie i przemiana świata. Ale nastawienie to absolutnie nie jest punktem widzenia Kościoła.

Właściwy problem leży w należyтым określeniu relacji

* Dyskusja została potem opublikowana w serii „Verse et controverse” wyd. Beauchesne — Paris 1974 pt. *L'Eglise a-t-elle trahi?*

między znakiem rytualnym a jego celem, to jest tym, by życie Boga, który jest miłością, weszło w życie ludzkie osobiste i społeczne, aby formy liturgiczne nie stały się alibi, by nie zasłaniały, ale prowadziły do Boga drogą nawrócenia. Owa wędrówka jest przede wszystkim przemianą ludzkiego serca i świata, tak by Bóg był wszystkim we wszystkim. I taka jest rzeczywista domena sacrum”.

Jakie konkluzje? Najpierw ta, że nie wolno zapominać, jak wielkim szokiem jest odgórne wprowadzenie zmian. Nawet we Francji, która ma nieraz opinię źródła wszelkich okropności w Kościele, tylko 52 proc. uważa, że zmiany wprowadzone przez Sobór są dobre i dobrze się skończą (badania „Sofres”). Co do łaciny — dodajmy nawiasem — oplakuje ją tylko 18 proc. a wśród zwolenników języka narodowego przeważają robotnicy i średnie klasy urzędnicze.

Druga konkluzja, wynikająca z pierwszej: nie wolno zaдрęczać ludzi rodzajem integralizmu progresistycznego. Nowy wykład chrześcijańskiej wizji człowieka, świata i Boga jest trudny, liturgia wynikająca z nowej teologii i wyrażająca ją jest trudna dla tych zwłaszcza, którzy przez rozszyfrowanie liturgii muszą dopiero docierać do treści, jeśli nie nowych, to ukazywanych w nowym świetle.

Po trzecie, nie należy lękać się, że nowe formy są rozwiązaniem problemu. Wielu ludzi równie źle się czuło i nie mogło odnaleźć w starej liturgii, jak i w nowej. I o tym zresztą wspomniał o. Michałowski w cytowanej już kilkakrotnie wypowiedzi: „Bo właściwie (nowa liturgia mszalna) to jest schemat: wzorzec tego, co powinno być. Ale jeżeli się stosuje wzorzec *tel quel*, to nic dziwnego, że się otrzymuje martwego noworodka. Na pewno! Gdy się widzi w »nowej mszy« tylko »nowe rubryki«, to nic dziwnego, że rezultaty będą raczej smutne”.

I wreszcie, po czwarte, liturgia jest wyrazem wiary, jak powiada stara zasada *lex orandi — lex credendi*. Kościoł wyraża swą wiarę i wyklada ją przez uznawanie i wprowadzanie rytów, sposób modlenia się Ludu Bożego jest wyrazem jego wiary. Należy więc pilnie słuchać, co „Duch mówi Kościołowi”.

Przeczytałem gdzieś niedawno, że cztery nowe modlitwy eucharystyczne, na używanie których zezwolono w Szwajcarii w związku z Synodem 1972, zostały ostatnio przyjęte także przez Konferencję Episkopatu Austrii oraz biskupa Luksemburga. Kongregacja do Spraw Kultu Bożego udziela zgody na używanie tych nowych tekstów. Jest to wyraźnym potwierdzeniem tezy, że teksty liturgiczne ustalone w związku z soborową reformą mszału mają charakter modelu, że reforma oznacza dalszy, żywy rozwój.

SPRAWA ECÔNE

Sprawa Ecône jest wydarzeniem z całą pewnością wartym przemyślenia. Pierwszy raz usłyszałem o seminarium pod wezwaniem św. Piusa X trzy lata temu. Ktoś z moich znajomych zabrał autostopowicza w sutannie. Kleryk w sutannie stopujący na szosach Francji samochody to widok raczej osobliwy. Kleryk był sympatyczny. Opowiadał o swoim seminarium, które kształci niemal wyłącznie Francuzów, znajduje się w Szwajcarii i jest absolutnie tradycyjne, tak tradycyjne, że biskupi francuscy nie chcą przyjmować księży tam wyświęconych; że księża wywodzący się z konfraterni św. Piusa X proszą o parafie „najgorsze”, takie, gdzie ludzie nie chodzą do kościoła, gdzie nie ma wiernych. Kleryk był ogromnie żarliwy i sympatyczny. To się zdarzyło mniej więcej wtedy, gdy konferencja Episkopatu Francuskiego wystąpiła dość ostro przeciwko Ecône, oświadczając, że może angażować do pracy duszpasterskiej jedynie księży przygotowywanych w ośrodkach, których wybór uzgodniono z episkopatem.

Założyciel Ecône, biskup Marcel Lefebvre (ur. w 1905), biskup Dakaru i dawny biskup Tulle, odpowiedział, że międzynarodowe seminarium w Ecône powstało w wyniku zapotrzebowania, wobec wielkiej ilości kandydatów napływających do konfraterni, że powstało przy zachęcie kardynała Charles Journeta i miejscowego biskupa. Założyciel Ecône twierdził następnie, że kongregacja z kardynałem Wrightem na czele jest au courant spraw fundacji oraz że seminarium to nie zależy od żadnej konferencji episkopatu i nie potrzebuje autoryzacji biskupów francuskich. Zaraz potem zresztą ukazał się w „La Croix” list

kardynała Journeta, dementujący mieszanie go do historii powstawania seminarium.

Biskupi określili seminarium w Ecône jako „seminarium dzikie”. Dla opinii publicznej było to miejsce spotkania ludzi, którzy pozostali wierni przywiązaniu do dawnej liturgii. Księża Ecône odprawiają mszę po łacinie, według rytu Piusa V. Okazało się jednak, że sprawa nie sprowadza się do łaciny. Było rzeczą coraz szerzej wiadomą, że za formalnym tradycjonalizmem kryła się gwałtowna negacja wszystkiego, co można nazwać ewolucją czy reformą w Kościele. Coraz poważniej zastanawiano się nad przyszłością księży wychodzących z Ecône.

W styczniu 1975 r. do konfraterni skierowanych zostało przez Rzym dwóch belgijskich prałatów celem odbycia wizytacji kanonicznej i sporządzenia raportu na temat jej ortodoksyjności, a właściwie ortodoksyjności programu seminarium, w którym studiowała prawie setka kleryków, i które stopniowo zaczynało wywierać wpływ na terenie Szwajcarii. Konfraternia (Fraternité) została założona w 1969 we Fryburgu, zainstalowała się w Ecône, w diecezji Sion i w 1971 roku przybrała formę seminarium. Założyciel, bp M. Lefebvre znany był w swoim czasie z wystąpień przeciwko reformom soborowym.

Konkluzją wizytacji była sugestia, by bp Lefebvre udał się do Rzymu, co w rzeczywistości nastąpiło. W Rzymie odbył on szereg rozmów w kongregacjach. Ale tuż przed tą podróżą ukazał się w „Itinéraires” tekst manifestu zredagowany już wcześniej przez założyciela konfraterni i do niej adresowany. Był to prawdziwy pamflet antyrzymski. Siedemdziesięcioletni prałat pisze tam m. in.: „Odmawiamy i zawsze odmawialiśmy postępowania za Rzymem w tendensjach neo-modernistycznych i neo-protestanckich, które ukazują się jasno w II Soborze Watykańskim i po soborze we wszystkich wywodzących się z niego reformach”. A o reformie liturgicznej: „Reforma ta wywodzi się z liberalizmu, modernizmu i jest całkowicie zatruta. Wywodzi się z herezji i do herezji prowadzi, nawet jeśli poszczególne akty liturgiczne nie są formalnie heretyckie. Jest więc rzeczą niemożliwą dla świadomych i wiernych katolików przyjęcie jej lub poddanie się jej w jakikolwiek sposób...” Potem „Osservatore Romano” zamieścił artykuł, gdzie mowa jest o „globalnie negatywnej orientacji

seminarium, negatywnej wobec episkopatu i wszystkich, którzy pracują w służbie Chrystusa". Biskup diecezji Sion, Nestor Adam oświadczył, że „seminarium nie jest wobec nikogo w porządku”, i że „odrzuca autorytet papieża oraz decyzje soboru”, że „postępuje na wzór sekty”.

Mimo narastającego wobec sprawy Ecône szumu, nie podejmowano żadnych decyzji ostatecznych. Wielu wiernych szukało w Ecône „prawdziwej mszy”, środowiska skrajnej prawicy popierały akcję sędziwego biskupa. Wreszcie decyzje podjął biskup Genewy, Lozanny i Fryburga msgr Mamie (konfraternia istnieje do tej pory także we Fryburgu), odbierając seminarium misję kanoniczną. Decyzję podjął w porozumieniu z biskupem Adamem i z całą pewnością z Rzymem. Biskup Lefebvre odwołał się do Trybunału Sygnatury Apostolskiej. Sygnatura odrzuciła rekurs.

Wśród odgłosów związanych z tą decyzją można odnotować artykuł w „Afrique Nouvelle”, gdzie katolicy Dakaru popierają decyzję biskupa Mamie i oświadczają, że przybycie misjonarzy z Ecône byłoby dla Afryki kompromitacją soboru i autorytetu papieża. (Dawny arcybiskup Dakaru Lefebvre pełnił również funkcję delegata apostolskiego dla Afryki francuskiej.) Kardynał Doepfner w pierwszych dniach czerwca wyraził również publicznie poparcie dla biskupów szwajcarskich. Jego wypowiedź uzasadniona jest tym, że założyciel Ecône odbywał w ostatnim czasie podróż po Niemczech Federalnych, wygłaszając odczyty o swojej akcji. Z zasady nie porozumiewał się z miejscowymi biskupami.

Zanotowałem tę historię, dla wielu zapewne — zwłaszcza dla młodych, którzy wstępowali do seminarium w Ecône — dramatyczną i bolesną, bo wydaje mi się, że po zastosowaniu sankcji wobec tych, którzy okazywali się zbyt „otwarcni”, surowa postawa Watykanu wobec „skrajnej prawicy” pokazuje wyraźnie, jak trudna jest realizacja prawdy, że Królestwo Niebieskie podobne jest do człowieka gospodarza, który ze skarbcza wyjmuje rzeczy nowe i stare.

*

No i stało się. Stolica Apostolska zastosowała wobec ks. biskupa Marcela Lefebvre'a sankcję „suspensy a di-

vinis". Od tej pory, precyzuje komunikat Stolicy Apostolskiej, założyciel konfraterni Piusa X w Ecône nie ma prawa wykonywania funkcji wynikających ze święceń biskupich, kapłańskich i diakońskich, nie może odprawiać mszy św., sprawować sakramentów ani głosić kazań. Biskup Lefebvre otrzymał rodzaj ultimatum, dającego mu dziesięć dni na podporządkowanie się Stolicy Apostolskiej. W odpowiedzi skierował do papieża list, podtrzymując swoją postawę, która ściągnęła nań zagrożenie karą kościelną. Po raz pierwszy tego rodzaju decyzja przekazana została do wiadomości publicznej za pośrednictwem watykańskiego Biura Prasowego.

W komentarzu do tego wydarzenia podanym przez katolicką agencję prasową KIPA ojciec G. Cottiers OP pisze m. in., że biskup Lefebvre jest biskupem katolickim, który nie uznaje autorytetu II Soboru Watykańskiego oraz papieża Pawła VI, kiedy ten stosuje decyzje i dyrektywy ostatniego Soboru. W imię „tradycji” wbrew wszystkim biskupom odrzuca Sobór i ze wzrastającym nasileniem kieruje przeciw Soborowi oskarżenia, nie poparte zresztą rzeczową argumentacją, a sprowadzające się do twierdzenia, że magisterium Kościoła głosi naukę i dyrektywy pastoralne sprzeczne z wiarą. W tym duchu seminarium Ecône formuje kleryków. Jest to, podkreśla komentarz, odrzuceniem magisterium Kościoła sprawowanego przez Sobór w formie, według wyrażenia kard. Journeta, „uroczyście kościelnej”. Zrywając jedność z biskupami i papieżem i powołując się na swój własny autorytet, biskup Lefebvre zrywa z najstarszą regułą Tradycji, według której wspólnota z Piotrem uznawana jest za kryterium ortodoksyjności. Biskup Lefebvre był wielokrotnie upominany i ostrzegany, i Rzym nie może być oskarżony o działanie pośpieszne.

Biskup udzielający święceń, który nie jest ordynariuszem ani wyższym przełożonym zakonnym, ma obowiązek posiadania dokumentu, świadczącego, że nowo wyświęceni księża są przedstawieni do święceń przez wspólnotę diecezjalną lub zakonną. Udzielając święceń bez takiego dokumentu biskup wpada *ipso facto* w suspensę. Założyciel Ecône w ten właśnie sposób udzielił ostatnio święceń, mimo wyraźnego zakazu.

Sprawę Ecône określa się często mianem dramatu.

Z ośrodkiem tym związali się ludzie, którzy albo przeżywają nostalgię za dawnym stylem Kościoła, albo tacy, którym wydawało się, że znajdą tam schronienie przed zamieszaniami, jakie zdaje się panować w Kościele w dziedzinie nauczania, duszpasterstwa ekumenicznego i liturgii.

GŁOSY W DYSKUSJI O SPRAWIE ECÔNE

„Podział chrześcijan może zmienić się w wojnę religijną. Taka wojna zaś musi pociągnąć za sobą ruinę chrześcijaństwa na Zachodzie. Jeśli integryści i progresiści utworzą dwa wrogie Kościoły, powtórzy się sytuacja Afryki Północnej, gdzie donatyści przejęci heroizmem i chrześcijanie wierni Rzymowi walczyli przez wieki. Potem Arabowie podbili jednych i drugich, a wiara chrześcijańska znikła zupełnie z ziemi afrykańskiej. Przestańmy pracować przez naszą nietolerancję i ukrytą nienawiść na rzecz »nowego islamu«, który stoi u drzwi...”

Tak napisał ostatnio p. Gerard Soulages, działacz katolicki z Chateauroux w „Prośbie adresowanej do episkopatu francuskiego i arcybiskupa Lefebvre'a”, której powielony egzemplarz niedawno dostałem do rąk. Zaś ojciec Ives Congar w książeczce *La crise dans l'Eglise et Mgr Lefebvre* (Cerf 1976) przyznaje, że dopiero teraz, kiedy się zapoznał z ogromną korespondencją, jaka do niego napłynęła po artykule w „La Croix” (20 VIII 76; artykuł napisany w związku z dramatem *Ecône*), zdał sobie w pełni sprawę z głębokiego zniechęcenia, jakie ogarnęło szerokie kręgi chrześcijan posoborowego Kościoła.

Soulages jest jakby lepiej zorientowany w szczegółach i opisuje konkretne dramaty wynikłe z nieodpowiedzialnych pseudoaplikacji Soboru i nowej teologii. Katecheza, przygotowanie księży i liturgia są poważnie zagrożone, panuje zamieszanie w dziedzinie moralności seksualnej, w imię psychoanalizy kwestionuje się zasady tradycyjne, polityzacja prowadzi do pomieszania pojęć: „zbawienie w Jezusie Chrystusie” miesza się z „wyzwoleniem człowieka...”

Ojciec Congar podejmuje wiszące w powietrzu pytanie: czy przyczyną kryzysu był Sobór? I stanowczo odpowiada, że nie, że gdyby trzymano się dokładnie dekretów i kon-

stytucji soborowych, takich jak „O Objawieniu”, jak „O posłudze i życiu kapłanów”, „O apostołstwie świeckich” — krótko mówiąc, gdyby trzymano się reguł Vaticanum II, tego kryzysu by nie było.

Drzewo sędzi się po owocach... ileż dobrych spraw wynikło przecież z Soboru.

Ale i ten gorący obrońca Soboru przyznaje, że Sobór także odegrał swą rolę w tym, co określa się jako kryzys. Dyskusje o niezwyklej zasięgu tematycznym i terytorialnym sprawiły, że obraz Kościoła monolitycznego, stałego, mającego odpowiedź na wszystkie pytania, odszedł do historii. Przez szczerotę i otwartość tych debat został położony kres „bezwaryunkowości systemu” — tj. skodyfikowanemu zespołowi nauk, reguł działania określonych niemal kazuistycznie, metodom nadzoru i kontroli, rubrykom regulującym kult. Sobór, który głosił, że jest Soborem pastoralnym, nie ogłosił kanonów zamkniętych klauzulą: „jeśli ktoś twierdzi inaczej ... anathema sit — niech będzie wyklęty” — i stąd dał podstawy przekonaniu, że otworzył drzwi Kościoła na ruchy i idee, które go przekraczają lub wprost nadużywają.

Decydującą jednak o kryzysie sprawą — zdaniem o. Congara — było otwarcie okien i drzwi na to wszystko, co dzieje się w świecie. Kościół bowiem nie mógł być rezerwatem, bezpiecznym wprawdzie, ale żyjącym w izolacji, oddzielnym... Wiele zjawisk zwiastowało już od lat idące zmiany. Zielone światło dla „dialogu ze światem” sprawiło, że to, co tym światem wstrząsa, wtargnęło do Kościoła. Kościół stanął przed pytaniami, których nie da się zbyć wzruszeniem ramion: krytyka wszelkich instytucji, establishmentu, wszystkiego co narzucone człowiekowi, potrzeba odnalezienia się, pierwszeństwo dawane przyszłości, zachłystnięcie się wizją szczęścia bez transcendencji, wolność seksualna, świadomość dramatu świata zagrożonego zagładą...

W rezultacie obserwuje się oplakane w skutkach tendencje do zerwania z przeszłością.

„Twierdzimy — pisze o. Congar — że główną przyczyną kryzysu jest szok, jaki wywołały w Ludzie Bożym problemy, walki i zmiany, jakie pojawiły się w społeczeństwie globalnym”.

Twierdzenie, że przyczyna kryzysu tkwi w nadużyciach

z zakresu liturgii, teologii, katechezy i duszpasterstwa, jest niesłusznym uogólnieniem. Zbyt wielu jest lojalnych i gorliwych duszpasterzy i teologów — odchylenia zaś niekoniecznie płynąć muszą z ducha zdrady, lecz często są szukaniem odpowiedzi na nowe, stawiane przez świat pytania, które — rzeczywiście trudne — ciążą nad wiarą wierzących.

Rozgorycznie i zniechęcenie wielu chrześcijan, jakie doszło do głosu w związku ze sprawą arcybiskupa Lefebvre'a, musi być oczywiście przedmiotem poważnej refleksji w Kościele. Niemniej należy dobrze rozróżnić, skąd ono płynie i czego jest wyrazem. Istnieje bowiem często alergiczna wręcz niechęć do jakichkolwiek zmian. Rzeczy dobre lub obojętne budzą sprzeciw dlatego tylko, że są nowe: kobieta czytająca lekcję w Kościele, pozytywne powołanie się na pastora Kinga (heretyka!), muzyka bitowa w czasie liturgii...

Potępia się gwałtownie to, co jest brakiem taktu lub wyczucia sytuacji.

Oczywiście, są i obiektywne nadużycia. Opracowano np. do tej pory i wydrukowano ok. 300 modlitw eucharystycznych („kanonów”), z których wiele dość daleko odbiega od wiary Kościoła. Co prawda w pierwotnym Kościele modlitwa eucharystyczna była improwizowana przez przewodniczącego liturgii, improwizacja ta jednak zawsze trzymała się bardzo ściśle ustalonego schematu.

Wiele mówi się o ekscesach teologów. Ojciec Congar przyznaje, że takie nadużycia mają miejsce, lecz powołując się na swoją kompetencję zapewnia, że nie są one aż tak liczne, jak to się często sugeruje. Bywa, że podejrzana książka trafia do powołanej przez biskupa komisji i ta nie znajduje w książce nic niewłaściwego. Zresztą teologowie piszą na własną odpowiedzialność. Publikując — poddają się krytyce innych teologów, a przede wszystkim autorytetowi biskupa. Nie należy załamywać tych poszukiwań — pisze o. Congar — istnieją rzeczywiście trudne problemy i teologia musi mieć odwagę je podejmować. Nie wystarczy powtarzanie starych formuł. Nieraz myśl niedoskonała zawiera duże bogactwo — jak choćby w przypadku Teilharda de Chardin.

Polityzacja wreszcie, która budzi tyle słuszych nawet obaw — jest wyrazem potrzeby odczuwanej przez wielu

chrześcijan, by realizować nakaz służby bliźniemu (Mt 25, 21—45).

Co robić?... Mnożą się rady, pisma kierowane do episkopatu, publikacje. Ojciec Congar, którego głos tchnie spokojem i wiarą, powiada: niech Kościół będzie Kościołem.

A więc najpierw wiara. Wiara czysta przez powrót do źródeł i pełna przez wierność życiu Kościoła w czasie i przestrzeni. Katecheza, kaznodziejstwo, nauczanie muszą być zgodne z normami wiary Kościoła.

Miłość — szukająca pojednania i jedności. Powołanie i misja — nie propaganda i prozelityzm: dobrodziejstwo, jakim jest Ewangelia, mamy rozszerzyć na wszystkich ludzi w ich życiu, tam gdzie są.

Kościół ma być Kościołem, nie więcej i nie mniej... Potrzebny jest „ekumenizm wewnątrz Kościoła”. Ojciec Congar nie pisze o ewentualności wojny religijnej: „Wszystko lub prawie wszystko nas łączy” — ekumenizm taki obiektywnie powinien być łatwiejszy niż ten z innymi wyznaniem.

O BRONIENIU I REKLAMOWANIU PANA BOGA

Festiwal filmów amerykańskich w Krakowie. O bilety, jak zwykle w takich wypadkach, trudno. Oglądałem, i to właściwie przypadkiem, tylko jeden film. Na ekranie młody pan docent ponurym głosem wprowadzał patrzących w świat, z którym stale się stykając ludzie niemal nie mają pojęcia, jak jest okropny. Film nosił tytuł *Owady*. Kiedy pan docent mówił o tym, jak szybko owady przystosowują się do wszystkich zanieczyszczeń, zatruc i napromieniowań środowiska zabijających po trochu człowieka, jak przyzwyczajają się do trucizn, którymi człowiek usiłuje z nimi walczyć, jak błyskawicznie się reprodukują, jak ze ślepą determinacją walczą; kiedy spokojnie informował, że owady były na ziemi już wtedy, gdy nas (tzn. ludzi) na niej nie było i jak pozostaną, kiedy my ostatecznie pozabijamy się i potrujemy, a one nas zjedzą, na ekranie już nie było pana docenta, tylko to wszystko, o czym mówił, w doskonałych, kolorowych zbliżeniach. Ludzie na sali czuli wręcz, jak chodzą po nich stada robali. Nie zdziwiłbym się, gdyby po tym filmie ktoś usłyszawszy w pokoju brzęczenie muchy wyskoczył z okna trzeciego

piętra, wybierając prosty, stary i znany rodzaj śmierci. Jeszcze mam w uszach potworne chrupanie, mlaskanie, piśki, świrgoty, bzykania, które pan docent nagrał na bardzo czułym magnetofonie, a które na filmie uzupełniał doskonały, krew w żyłach mrozący podkład muzyczny.

Kiedy po filmie wychodziliśmy (dyskretnie się drapiąc, bo uczucie, że roje tego świństwa lażą po człowieku, nie chciało ustąpić) spytał mnie ktoś, czy film ten nie obudzi w patrzących pretensji do Stwórcy, że świat stworzony przez Niego jest tak okrutny: rośliny pożerają pszczoły, pszczoły mordują osy, jedne mrówki zabijają drugie, miliardy szarańczy niszczą pola uprawiane przez człowieka, człowiek atakuje z samolotów szarańczę; ślepe prawa, które każą jednym termitom walczyć w obronie kopca na śmiertelnie prażącym słońcu, podczas gdy ich siostrzyce zamurują wejścia, zamykając tym samym przed obrońcami jedyną drogę ratunku.

I przypomniła mi się piosenka, która zrobiła furorę na jednym z sacrosongów: „Kto stworzył latające ptaszki, mrugające gwiazdki? kto stworzył ciebie i mnie, ciebie i mnie?... Nasz Ojciec w niebie...”

*

Od ludzi wierzących, a zwłaszcza od księży wymaga się, żeby byli adwokatami Pana Boga, a co gorsza, oni poczuwają się do tej beznadziejnej funkcji. Mówiąc o wymaganiach moralnych, usiłują za wszelką cenę wytłumaczyć, że to jest dobre dla zdrowia, a tamto, w danej chwili trudne, opłaca się na dalszą metę. Potem stajemy bezradni wobec pytania o celowość: po co Pan Bóg stworzył pchłę?

Z tą pchłą oczywiście żart. Ale problem może być mały jak pchła i Pana Boga nie potrafimy wytłumaczyć. Nie potrafimy obronić. A może nie trzeba Go tłumaczyć, może potrafi obronić się sam?

*

Tyle o bronieniu Pana Boga. Teraz o reklamowaniu. Albo wierzymy, że religia jako taka ma siłę atrakcyjną, albo nie? Oczywiście wierzymy. Ale... Jest zwykle tak, jak byśmy nie byli zupełnie pewni, czy rzeczywiście. Więc przedstawia się Kościół tak, jakby nie było w nim ludz-

kich słabosci. Może były kiedyś, ale dziś nie! Albo afisze. Przez jeden rok każdy wykład (w każdym tygodniu dwa) ogłaszałem atrakcyjnymi, pięknymi afiszami. Potem jeden wykład ogłaszałem afiszem, drugi małą karteczką z wypisaną na maszynie informacją. Karteczkę umieszczałem w gablotce. Afisz na drzwiach kościoła. Okazało się, że wielkość afisza nie pozostaje w żadnym stosunku do frekwencji. Na wykład o nauce społecznej Kościoła (afisz duży) przyszło kilkanaście osób, na wykład „Współczesny rachunek sumienia — jak się spowiadać?” (karteczka) ponad trzysta.

Atrakcje liturgiczne: w kaplicy pod Zakopanem przez kilka dni po mszy św. ksiądz wyświetlał przezrocza. Kaplica była pełna. Odprawiałem tam zaraz następnego dnia. Ksiądz od przezroczy wyjechał. Przyszła gromadka dzieci: proszę księdza, a będzie dzisiaj film? Cóż, nawet gdyby do liturgii wprowadzić tańce sakralne, zawsze teatr TV będzie „atrakcyjniejszy” od mszy św.

*

Spowiedź zwykle się oceniać zaleźnie od tego, czy ksiądz zrozumiał, czy poradził, czy pocieszył. Bardzo dobrze, że można w spowiedzi znaleźć to wszystko. Ale spowiedź jest sakramentem przebaczenia. Znakiem skutecznym odpuszczenia win. To jest najważniejsze.

*

Uroczyść. Człowiekowi jest potrzebne przeżycie więzi, przeżycie społeczne. Wielkie tłumy, wielkie nastroje. A przecież msza jest jednakowo wielka przy bocznym ołtarzu z kilkoma modlącymi się obok i ta na wałach wobec tysięcy ludzi. A w tych tysiącach ważny jest każdy. Nie dlatego, że tysiące, ale dlatego, że on, że człowiek, że przeznaczony do wiecznego zbawienia.

Człowiek, który wierzy. Mówią mu, że wychowanie, że projekcje, że alienacje, że to, że tamto. Nie jest idiotą, słyszy. Pytają, dlaczego wierzy, więc tłumaczy, tań, żeby tych co pytają jakoś zadowolić. Tłumacząc szuka racji z kategorii tych, które pytający chcą usłyszeć. Ale na dobrą sprawę wie, że te wszystkie racje to w najlepszym wypadku tylko część prawdy. On po prostu wierzy.

*

Otrzymałem list w sprawie wielkotygodniowych grobów: „...jakie należy poczynić kroki, aby uniemożliwić w przyszłości »radosną twórczość« niektórym gospodarzom kościołów?...” Autorka listu podaje konkretny kościół, ale *nomen sunt odiosa*, niech wystarczy sam opis: „...był orzeł polski, kościół Mariacki, wieże, chyba Rzym sugerujące, papież, kardynał, pozytywna modelowo rodzina katolicka (nowoczesna, pan z bródką, lecz odpowiedzialny, córka w mini). Postacie z dykty miękły i gięły się w różne dziwne pozy... Było wiele jeszcze rzeczy, ale grobu się nie widziało. Mąż obserwował reakcje ludzi — prawie nikt na tym jarmarku (przepraszam najmocniej) nie klękał, pchało się, przyglądano, dumano, pod którym numerem na Floriańskiej mieszka przedstawiona rodzinka...”

Nie widziałem tego grobu; kilka lat temu widziałem w tymże kościele grób z monstrialnymi aniołami, które miały wyszminekowane usta i twarze koleżanek Marii Magdaleny sprzed nawrócenia. Widać tam już taka tradycja. Wiem nawet, jaki argument może być podany w obronie owego panopticum: ludziom się podoba.

Jakie kroki poczynić?... Chyba żadne. Nie tylko dlatego, że diecezjalne komisje artystyczne mają dość pracy z projektami urządzeń trwałych, a obarczenie ich dodatkowo obowiązkiem zatwierdzania projektów grobów jest żądaniem niewykonalnym. Wydaje mi się, że problem leży głębiej. Ten opisany grób miał za cel przypomnienie Tajemnicy Wielkiego Piątku i Soboty oraz ekspozycję Najświętszego Sakramentu. Jak z opisu wynika, nie spełnił żadnego z tych celów. Ale przyciągnął wielu ludzi. Może autorzy bali się, że motyw tradycyjny już się opatrzył? Może w ich odczuciu monstacja stanowi zbyt małą atrakcję (od łacińskiego słowa — przyciągać)? Wobec tego należało według nich rzecz uatrakcyjnić...

Jest to mały przyczynek do dużego problemu uatrakcyjniania chrześcijaństwa. Oczywiście, nie można arbitralnie, w imię kanonów estetyki odrzucać z pogardą tego, co odpowiada potrzebom tak zwanych mas. Jak daleko można iść za tym, co się ludziom podoba? Od Kościoła na przykład oczekuje się tego, aby był znakiem trwałości, spokoju, ładu; tych wartości, których brakuje dzisiejszemu światu. Czy oczekuje się tego słusznie? Oczywiście, że słusznie. Zmiany dokonywane „pod publiczność” w Ko-

ściele są trudniejsze do zniślenia niż gdziekolwiek indziej. Ale jeśli Kościół jest nosicielem żywych treści?... Jeśli jest czymś więcej, niż muzeum starych form i tradycji ludowych?... Pisałem o „protestacyjnych” mszach odprawianych według rytu Piusa V. Chodzi tam o coś więcej, niż o sam sposób odprawiania mszy. Od samego początku zmiany soborowe spotykały się z protestami. W takiej Francji kościoły straciły sporą ilość „klientów” właśnie na skutek wprowadzonych zmian; jeśli były to zmiany w stylu wyszminekowanych aniołów i gnących się makięt z dykty, przedstawiających rodzinną sielankę, zamiast twardej rzeczywistości grobu i śmierci — mieli rację odchodząc. Ale mogą być zmiany wprowadzane naprawdę nie „pod publiczność”; dokonywane po to, żeby odsłonić lepiej treść, która nie zawsze jest tym, „co ludzie lubią”, która została przesłonięta (właśnie dlatego) całą masą łagodzących form. Ktoś mi napisał, że przyprowadził na moje kazanie, dotyczące spraw wiary, swego znajomego, ateistę: „...pozwoliłem sobie zrobić eksperyment”. Tak to określili. Wynik eksperymentu: „...utwierdziłem się jeszcze bardziej w przekonaniu, że właśnie ja mam rację...” stwierdził ów eksperymentalny ateista. „To musi być precyzyjnie wyreżyserowany spektakl” — napisał w tym liście nieznanym słuchacz — argumenty, logika, tempo”.

Niektórzy mówią mi: walczysz z liturgią, tradycją itd. Bzdura, nie walczę, zresztą, nawet gdybym był tak szalony i walczył, liturgii nic bym nie zrobił, bo ona przetrwa, i nowa forma mszy stopniowo wzbogaci się w nowe, prawdziwie piękne elementy, zaczerpnięte z dobrej tradycji Kościoła, bo przeżywanie sacrum domaga się wyrazu także w pięknie zewnętrznych form. Pytanie zasadnicze znalazłem w jakimś artykule omawiającym ostatnią kongregację generalną jezuitów: „Czy należy z uporem podtrzymywać tradycję, która już się sprawdziła, dopuszczając kilka adaptacji, czy przeciwnie, bez zniechęcania się szukać sposobów integracji posłania ewangelicznego w ewoluującą kulturę, podejmując związane z tym ryzyko?”

SPOTKANIE Z KSIĘDZEM ALEKSANDREM

W pięknej książce *Rozważania o ludzkim rozwoju* Elżbieta Sujak pisze o „ciemnym dniu” ludzkich spotkań. Nie-

zależnie od naszej świadomości powstają odruchy sympatii lub antypatii. Odruchy te, o dziwo, mają źródło w nas, a nie w tym, kogo spotykamy. Nie zdając sobie z tego sprawy czujemy się np. zagrożeni we własnym mniemaniu o sobie, które może zostać naruszone przez porównanie, wypadające na naszą niekorzyść. Dr Sujak pisze, że spotkania z postaciami literackimi, fikcyjnymi nie budzą takich odruchów i że dzięki bohaterom dobrej literatury można nauczyć się spotkania żywych ludzi.

*

Do której kategorii spotkań zaliczyć to spotkanie? Co prawda w słowie pisanym, ale przecież nie w fikcji literackiej i nie z postacią fikcyjną. Książka z serii „W nurcie zagadnień posoborowych” nosi tytuł *W Kościele dzisiejszym*. Autor — ks. Aleksander Fedorowicz. Już wiele o nim pisano. Kilku ludzi, którzy go znali, opowiadało mi o nim. Może po tym wszystkim inaczej teraz czytam tę książkę. Do wspomnień o nim sięgnąłem raz jeszcze. Ale ta książka jest bardzo osobliwa. Jakby ktoś ze starych szuflad wygarnął wszystko, co tam po zmarłym jeszcze zostało. Przykuca się na chwilę przy takiej szufladzie otwartej przypadkiem i zaczyna się czytać na chybił trafił: listy, notatki, karteluszkę, zapiski w starych kalendarzykach. Potem człowiek ze zdumieniem stwierdza, że już kilka godzin siedzi tak i wertuje. Podnosi się ze zdrtwiałych kolan, jakby ze snu, z głową pełną myśli o tym, który zostawił ten ślad swoich dni, tego, czym żył. To nie literatura. Zapiski najczęściej robione nie dla innych, ale dla siebie, do własnego użytku, jakby w biegu, na tamto dawne „teraz”. Książka, która jest właśnie wielkim stosem księżowskich papierów: praca magisterska, listy, kilka artykułów już gdzieś publikowanych, notatki do kazań, skrawki zanotowanych myśli, zaczęte artykuły, dyspozycje do konferencji, zapisy z taśm magnetofonowych, ale bez retuszu, zachowane w formie mówionej, z powtarzającymi się „jakoś”, „jakiś taki” i „jakoś tak”. Obok pięknych konferencji rekolekcyjnych dla siostr sakramentek, listy do brata z podziękowaniem za spodnie, które „mają pewne błędy, sięgają za wysoko, a za to są ciasne poniżej pośladków i pękły już na szwie”.

*

Z listów widać, ile czasu zajęło w jego życiu chorowanie, a jednocześnie inne papiery świadczą, jak nigdy nie uległ pokusie ucieczki w chorobę. Pod koniec życia był proboszczem w trudnej podwarszawskiej parafii, wybudował wielki kościół. Często powołuje się na swoje doświadczenia proboszczowskie. Z tego, co napisali świadkowie, z tego, co pisze sam, widać, że żył sprawami otrzymanej misji. I był optymistą. A przecież „duży kościół był za duży na garstkę wiernych, którzy tu przychodzili, i powietrze, o które tak walczył ciągle, było nie wyzyskane. Nie doczekał się, by wszyscy parafianie zechcieli zaczętnąć w nim oddechu. Nie zdawał się tym martwić. Czy ja wiem — mawiał — czy mam rację, gdy namawiam dzieci i młodzież do chodzenia na mszę świętą? Przecież gdy taki malec pójdzie paść krowy czy kolebać braciszka, bo tak mu matka kazała, to przecież będzie ważniejsze i on naprawdę jest uczestnikiem mszy świętej. Więc nie martwił się. Kościół był duży, piękny, ale na co dzień dość pusty.

Raz przecież napelnił się po brzegi, ludzie stali aż za jego progiem, choć deszcz lał jak nigdy w owo lipcowe popołudnie jego, proboszcza, pogrzebu. Leżał w wielkiej, drewnianej, nie malowanej trumnie i czekał cierpliwie, aż jego parafianie się wypowiedzą...” (Anna i Klara Jarozyńskie: *Proboszcz ks. Aleksander Fedorowicz 1914—1965* w pierwszym tomie z serii „W nurcie zagadnień posoborowych”).

Przygotowując jakąś konferencję, a może artykuł (wydawcy podali tylko, że tekst dotychczas nie opublikowany — zachowany w rękopisie) zanotował: „Życie religijne w Polsce jest zjawiskiem wielkim i bardzo ciekawym zarówno z punktu widzenia psychologii, jak z punktu widzenia moralności, sztuki i wielu innych dziedzin. Bóg, a w szczególności Chrystus, jest rzeczywiście tym przysłowiowym kamieniem węgielnym. (...) Depcze się u nas dzisiaj przykazań boskich, ale w grzeszeniu nie jesteśmy zuchwali. Na ogół uznajemy swoje braki i szczerze przyznajemy się do nich, ale nie zdobywamy się na skuteczną poprawę. Prawie każda prostytutka jest w Polsce niedoświadczoną Marią Magdaleną, pijany robotnik, gdy spotka na ulicy księdza, najczęściej zaczyna się spowiadać i tłumaczyć, dlaczego się upił (...) Ja, będąc księdzem katolickim,

w przywiązaniu do wiary katolickiego społeczeństwa widzę szczególny dar Boży...”

W liście do przyjaciela zamieszkałego za granicą pisał w 1948 r.: „Katolicyzm dzisiaj u nas bez porównania zdrowszy i głębszy niż przed wojną. Dawniej formy życia katolickiego, nawet u elity, były powierzchowne i płytkie. Zebrania, referaty, herbatki itd. Dzisiaj sporo ludzi odpadło, ale się tego nie zauważa, natomiast postawa wierzących katolików bardzo się oczyściła i pogłębiła...”

*

Trudno tu robić bez końca wypisy z tego ponad 400 stron liczącego tomu. Cytowane już Anna i Klara Jarczyńskie zapisały: „Przed samą śmiercią powiedział do kogoś: «wszystko co chciałem w życiu zrobić, pokazać czy powiedzieć, sprowadzało się do jednego...» I zdania tego nie dokończył”. Niech kończą ci, którzy będą o nim pisali książki, bo to wszystko, co do tej pory opublikowano, jest wspaniałym materiałem do takiej książki czy książek. Książki o polskim księdzu lat 1942—1965.

Przypomniało mi się, że kiedy byłem klerykiem pierwszego roku, ksiądz Aleksander Fedorowicz został zaproszony z kazaniem na mszę św. pontyfikalną z okazji uroczystości 8 grudnia. Mnie wyznaczono „ad contionatorem”, tj. do zaprowadzenia kaznodziei na ambonę i potem z ambony do stalli. Wtedy kazanie wydało mi się długie i mało ciekawe. Teraz, wertując przez trzy dni niebiesko oprawny tom, spotkałem księdza Aleksandra Fedorowicza drugi raz. Ale teraz wiem, że spotkałem bardzo świętego księdza, który mówiąc całkiem o czym innym, powiedział mi w jakimś momencie, mnie, księdzu od kilkunastu lat: chodź, powiem ci, jak to u ciebie jest...

O SYNODZIE BISKUPIM 1974

Z informacji prasowych o Synodzie Biskupów w Rzymie: Biskup Etcheagaray w raporcie dotyczącym ewangelizacji Europy powiedział m. in.:

„Kościół, który nie ma nic więcej do powiedzenia niż to, czego człowiek może nauczyć się sam od siebie, niebawem nie będzie miał nic do powiedzenia człowiekowi...”

„...Kościół, który się odnawia, by lepiej głosić Ewange-

lię, jest Kościołem, który zgaza się na to, by sam był ewangelizowany...”

„...przeżywamy dziś «wielkie herezje» pierwszych wieków oscylujące pomiędzy miłością do człowieka oddzielającą od Boga i miłością Boga, która odrywa nas od człowieka. Tylko za cenę rzeczywistego wyprostowania rozumienia wiary, wiara ta odnajdzie na nowo swą ewangeliczną świeżość...”

„...brak nam nie tyle słów, które trzeba powiedzieć, co wiarygodnych ludzi do wypowiedzenia tych słów...”

„...obraz Kościoła narcystycznego, który robi wrażenie, że wszystkie siły zużywa na rozwiązywanie swych własnych problemów, nie ma w sobie nic pociągającego...”

WIARYGODNI

Znalazłem w notatkach z Paryża pod datą 9 I 1974:

Jedna ze zwykłych dyskusji, jakie toczyliśmy przy obiedzie, tu na plebanii. Dziś Maurice, proboszcz, przygotował przemówienie na temat tożsamości księdza. Chce ukazać księdza jako znak łączności wspólnoty lokalnej ze wspólnotą Kościoła Powszechnego. Cały wywód bardzo skomplikowany. Długa dyskusja na temat „tożsamości” księdza. Robert, z którego zdaniem wszyscy tu się bardzo liczą, bo zwykle ma coś ważnego do powiedzenia, ani razu się nie odezwał. Potem, kiedy wyszliśmy z jadalni, powiedziałem mu, że oni, Francuzi, są na mój gust za wielkimi teoretykami: życie chcą dostosowywać do teorii; jeżeli się nie da, tym gorzej dla życia. Na to Robert, żebym na chwilę wszedł do niego. I pokazuje mi zdjęcie, które przywiózł z Polski: bloki mieszkalne Nowej Huty, morze głów i na pierwszym planie sylwetka kardynała Wojtyły w mitrze, z pastorałem, wspaniała, spokojna. Robert: Ci tu nie pytają, po co jest ksiądz. Oni wiedzą. On do nich mówi, oni przyszli go słuchać. Kiedy się wie, nie ma potrzeby dyktowania.

POSTĘP

Biskup Marsylii Roger Etchegaray mówił w telewizji o Synodzie Biskupów. Kiedy odpowiadał na zarzuty, jakie

stawiane są obecnie Kościołowi, powiedział: „Nie zawsze i nie każda ewolucja jest znakiem postępu. W pewnym momencie kwestionowanie wszystkiego staje się cofaniem”. Odnosiło się to do takich problemów, jak stosunek Kościoła do rozwodów czy przerywania ciąży, spraw, w których Kościołowi zarzuca się, że staje przeciw aktualnym prądom.

Mówiąc o swym raporcie odnoszącym się do stanu ewangelizacji w Europie, biskup przypominał, że Europa to tylko mała część świata, licząca 12% mieszkańców globu. Ale nie zmienia to faktu, że sposób, w jaki Europa przeżywa chrześcijaństwo, ma ogromny wpływ na resztę świata.

MISJE

Arcybiskup Yaounde (Kamerun) Zoa powiedział na konferencji prasowej z okazji Synodu Biskupów, że krążące na Zachodzie twierdzenia, iż kraje afrykańskie nie potrzebują misjonarzy, są całkowicie nieprawdziwe. Chodzi jedynie o zmianę form pracy, gdyż miejscowe Kościoły mają swoje programy pastoralne, które przybywający misjonarze powinni respektować. Chodzi o wzajemny szacunek.

W związku z tą wypowiedzią przypomniła mi się historia, jaką słyszałem od księdza (Francuza), który wiele lat spędził w Republice Malgaskiej. Do jego parafii nadeszła figura Matki Boskiej z Lourdes. Na szczęście — jak powiedział — rozbita w kawałki. Ucieszony, że słodko-cukierkowa figura z gipsu nie stanie w kościele, misjonarz wezwał jednego z Malgaszy, pokazał mu matkę, która właśnie przyszła z dzieckiem do chrztu: zrób mi taką.

Malgasz myślał nad zamówieniem przez cały dzień, ostatecznie zamknął się w w jednym z pokoi misyjnych. Prosił misjonarza, żeby w jego obecności dzieła nie oglądał. Wieczorem oświadczył, że skończył, wziął pieniądze i poszedł. Misjonarz z latarką poszedł oglądać dzieło: płasko-rzeźba — kobieta z dzieckiem na ręku. Tak, to żona i dziecko artysty. Rzeźbiarz nie był chrześcijaninem, jego żona była w katechumenacie. Dzieło było bardzo dobre. Ustawił w pokoju. Każdego z przychodzących pytał o zdanie.

Podobało się. Do kościoła?... Biedny Malgasz przerażony: jego żonę i dziecko do kościoła?! Więc ksiądz tłumaczy, że dla wyrażenia Matki Boskiej artyści przedstawiają to, co kochają itd. Ostatecznie zgoda. Biskup, stary biskup Europejczyk, który lata tu przeżył, w czasie poświęcenia krótko przemawia, a potem proponuje, by ten, kto wykonał rzeźbę, sam wytłumaczył. Więc Malgasz tłumaczy, macha rękami, płacze się, wreszcie woła żonę z dzieckiem: „...to jest to, to jest to. Żeby zrobić to, wziąłem to...”. Jasne.

W sumie wielkie przeżycie, które doprowadziło potem do chrztu. Nie o to jednak chodzi. Kilka lat później — nowy biskup. Z miejscowych. Studia w Rzymie, sakra biskupia, powrót do własnego kraju. Wizytacja. Wobec całej parafii biskup zatrzymuje się przed ołtarzem, wskazuje na Madonnę: „Cóż to za śmieć? Czyż nie stać parafii na kupienie porządnej figury?...”

ZAKON

Jaka jest specjalna rola zakonów w misji ewangelizacji? Biskup Etchegaray w raporcie synodalnym o sytuacji w Europie powiedział, że soborowe pytanie o solidarność z człowiekiem obudziło Kościół w fikcyjnej, pustynnej krainie, z dala od rzek, nad którymi toczy się ludzkie życie, i że w ciągu dziesięciu lat Kościół przebył wielką drogę, by odnaleźć ludzi tam, gdzie żyją i pracują. A zakony? Wobec niezwykłego wyczulenia na wszelkie udawanie i mistyfikacje oraz wobec głodu autentyczności mogą być znakiem czytelnym: impulsem. Także dowodem na to, że możliwe są wspólnoty i społeczności, w których człowiek człowiekowi nie jest wilkiem: wspólnoty zgromadzone w imię największej Miłości. Przez ubóstwo można pokazać (nie powiedzieć, bo to nikogo specjalnie nie wzrusza), co to jest wolność od władzy nad sobą rzeczy posiadanych lub upragnionych. Także mogą być znakiem uwolnienia spod władzy „mitu skuteczności”. Zakony powstały nie po to, żeby coś zrobić (z czego nie wynika, że tam nic się nie robi), ale żeby inaczej być. Żeby autentycznie przeżyć swoje związanie z Bogiem, należenie do Kościoła. Miara sukcesu jest inna niż wymierne wyniki ilościowe. To miara miłości. Na wielkie, narastające za-

interesowanie modlitwą, także modlitwą kontemplacyjną, zakony mogą odpowiedzieć doświadczeniem modlitwy wspólnoty zakonnej.

POJEDNANIE WEWNĄTRZ KOŚCIOŁA

W grudniu 1975 ojciec św. ogłosił ekshortację apostołską skierowaną do biskupów, kleru i wiernych o pojednaniu wewnątrz Kościoła. W skłóconym świecie Kościół ma być znakiem pojednania; żeby spełnił tę rolę, musi być wewnętrznie pojednany. Bez określenia, kogo ma na myśli, papież mówił o tych, którzy wprowadzają do Kościoła ferment niezgody zagrażający jedności. Prawdziwy pluralizm w Kościele, pluralizm, który jest wyrazem powszechności Kościoła, to pluralizm poszukiwań i myślenia, to różnorodność w sposobie zgłębiania dogmatów, ale zawsze z uszanowaniem ich obiektywnej identyczności. Źródłem różnorodności badań i wyrazu jest Chrystus, którego niezgłębione bogactwo przekracza możliwości wszystkich epok. Ale co powiedzieć — zapytuje papież — o pluralizmie, który nie traktuje wiary jako wspólnego dziedzictwa Kościoła, uważając ją za owoc wolnej krytyki i indywidualnego odczytania Pisma?... Tylko w oparciu o nauczanie Kościoła można zachować jedność z Chrystusem.

Papież mówił o grupach, które lekceważąc Tradycję i nauczanie Kościoła, w praktyce stają się autokefaliczne; o grupach, które własne przeżycia przenoszą w formie żądań na cały Kościół, podczas gdy Wielki Kościół jest miejscem uświęcenia wszystkich.

Grupy, które papież wzywa do nawrócenia — według słów ekshortacji: — są bardzo nieliczne wobec ogromnej większości wiernych.

Pomijając sprawę domysłów, kogo miał na myśli papież (jeśli on sam nie uważał za potrzebne wymieniać nikogo *nominatim...*), rzecz jest subtelna; ojciec św. sam przyznaje, że ci wszyscy dysydenci uważają, iż oddają cześć Bogu: małe wspólnoty uznane były na synodzie za zjawisko pozytywne, a sobór stanowił swojego rodzaju reakcję na przerost instytucjonalizmu w Kościele. Nowe tendencje zdają się grozić przerostami w przeciwnym kierunku. Nie łatwo być papieżem Roku Pojednania w tej sytuacji.

Na sympozjum ekumenicznym w Lublinie o. Waczyński mówił m. in. o rewizji rozumienia słowa „wiara”. Jeśli Chrystus pochwalił setnika, mówiąc mu, że „takiej wiary nie znalazł w Izraelu”, nie miał z pewnością na myśli tego, że człowiek ów zna doktrynę wiary. Także zrewidować winniśmy podejście do rozumienia tradycji: niekoniecznie należy zatrzymywać się przy tradycji najstarszej, tradycja bowiem, która wytrzymała próbę czasu, późniejsza, ma swój specjalny walor. Na sympozjum nie było prawosławnych, ale w ich imieniu zabierano głos kilka razy. Ciekawy był spór o model: czy należy odwoływać się do modelu Kościoła pierwotnego (innego modelu jedności nie mamy), czy należy raczej reorganizować kształt Kościoła w imię życia i z wiarą w działanie Ducha św. w Ludzie Bożym. Pierwsza koncepcja jest koncepcją teologii Wschodu, drugą reprezentowali ewangelicy i niektórzy teologowie katolicy.

*

Po sympozjum, na którym powiedział jeden z wykładców, że ekumenizm nie może przypominać rozgrywek pomiędzy klubami piłki nożnej, trafiłem na taką notatkę w prasie: „Lagos; 9 listopada odbył się mecz piłki nożnej na stadionie Ado-Ekiti (Nigeria) pomiędzy ekipą pastorów anglikańskich diecezji Ekiti a ekipą księży katolickich tej samej diecezji. Na trybunach zasiedli biskupi obu Kościołów”.

SÓBOR MŁODYCH W TAIŻÉ

Przeczytałem w „La Croix” o Soborze Młodych w Taiżé. Michel Lelong pisze uprzejmie o sprawozdaniach prasowych z tego niezwykłego zgromadzenia modlitewnego 35 tysięcy młodych, że były tam i aspekty socjologiczne, i społeczne, i polityczne, itd. Czytając te różne sprawozdania miałem wrażenie, że „wysłannicy specjalni” byli nieco zagubieni w tym wszystkim, co zobaczyli. Zresztą napisanie sprawozdania prasowego z całości było prawdopodobnie niemożliwe. Wiem, jak tam jest. „Najważniejsze jest niewidzialne dla oka”. Najważniejsze dzieje się w małych zespołach, w przypadkowych rozmowach, w kościele.

Lelong opisuje piękny moment, który jego zdaniem najlepiej wyraża to najważniejsze: brat Roger Schutz występujący na zakończenie wieczornego oficjum. Siedzi otoczony przypadkowymi ludźmi. Ale są tam i specjalnie zaproszeni. Mówi o tym, że wielu rzeczy musimy się uczyć od dzieci i od ludzi starych. A obok niego stary, cichy człowiek, włoski chłop, Roncalli, brat Papieża Jana. Nie potrzebuje nic mówić. Jest. Wielkie, entuzjastyczne oklaski. A potem brat Roger zwraca się w drugą stronę: kobieta, również już starsza, Polka, matka i żona powstańców, sama brała udział w ruchu oporu. Mówi kilka prostych zdań. Znow oklaski. Dalej refleksje Lelonga o tych, o których tak wiele jest w Ewangelii, a którzy tak rzadko są słuchani. I że klimat owego otwarcia się na wszystkich znamionował dni otwarcia Soboru Młodych. Tytuł notatki: „Sobór dla wszystkich”.

*

Przeczytaliśmy w gronie przyjaciół list Brata Rogera z Taizé, w którym pisze bardzo dużo o potrzebie miłości. Rozmowa, jaka potem się wywiązała, świadczyła, że obowiązek pomagania ludziom będącym w potrzebie jest łatwo zrozumiały, natomiast sprawą dużo trudniejszą jest rozróżnianie pomiędzy zwalczaniem zła i tępieniem człowieka. Bardzo łatwo w imię „chrześcijańskiej” delikatności milcząco tolerować zło, byle tylko nie zrobić przykrości czy nie zaszkodzić, a także, w imię walki ze złem, zaciekle niszczyć bliźniego z zupełnie bezinteresownym uporem, na przykład przez opowiadanie na lewo i na prawo o jego grzechach. Wynikła też sprawa eliminowania ze społeczeństwa przestępców i przy tej okazji obecny wśród rozmawiających biolog gwałtownie wystąpił przeciw twierdzeniu o biologicznej determinacji (genetycznej) typów przestępczych.

NIE CHCIAŁ ŻYĆ

Do późna w noc lektura listów A. Nie chciał żyć... W jakiejś chwili ciężar samotności, może ciężar znoszenia siebie samego stał się zbyt wielki. Byłem wtedy za granicą i kiedy dostałem wiadomość, o tej śmierci z trudem zbierałem strzępy tego, co o nim wiedziałem. A niby go znałem. Kiedyś przewędrowaliśmy razem spory kawał Polski

idąc z Krakowa do Częstochowy piechotą. Kilka razy przychodził porozmawiać. Bywał, może nie za częstym, uczestnikiem naszych tłumnych spotkań. Wtedy odzywał się raczej rzadko. A może nie pamiętam?... I teraz te listy. Pisane do kogoś, kto go kochał, wydawało się, miłością, która zaczynała nadawać sens jego życiu.

Że był chory? W dołączonym liście ktoś z rodziny napisał „był chory na straszną chorobę”. Leczono go i on godził się na leczenie. Jego umysł pracował przez cały czas sprawnie. Radził sobie na studiach. Przez jakiś czas wydawało mu się, że znajdzie sens życia zostając księdzem. W seminarium górował nad kolegami. Ale górował w nauce. Sam napisał, że mimo tej przewagi wszyscy go przewyższają. Umieją żyć. On nie umiał żyć. Wrażliwość ponad miarę tego, co przywykło się uważać za normalne. Widzenie siebie jakby z boku. Widzenie siebie ostre, aż za bardzo ostre jak na przyjęte normy. W listach powtarza się w różnych wariantach jak rozpaczliwy krzyk: „Wytrwać, wytrwać, wytrwać!...”. Dostałem też po nim dwie książki. Na jednym z marginesów w rozważaniach Newmana nagryzmolił: „Boże, jak mało ja mam cierpliwości, jak jestem nieustabilizowany duchowo!” W drugiej książce, powieści, pozakreślane jego ręką fragmenty, w których mowa jest o przyjaźni, miłości, spokoju.

W czasie tamtej wędrowki, gdzieś może w połowie, bez wyjaśnień odłączył się od nas i trzeba było wiele się naszukać, by znaleźć kogoś, kto widział, że na najbliższej stacji wsiadł w pociąg idący do Krakowa. Jakoś zbyt łatwo przyjęliśmy potem jego ogólnikowe wyjaśnienia.

O ROZMOWACH

Rozmawialiśmy o minionych wakacjach. Pojechali razem w góry. Ponieważ wiele razy dawniej tak chodziliśmy razem i zawsze było to trochę więcej niż tylko łącznie, spytałem, czy razem przemyśleli jakiś problem. Nie. Zabrali co prawda książkę, zdaniem jednego z nich zawierającą masę materiału do ważnych dyskusji, niby to mieli o niej rozmawiać, ale okazało się, że tylko połowa osób książkę przeczytała, że wieczorem są zmęczeni wędrowką, że trzeba gotować kolację. Nic z dyskusji nie wyszło.

Przypomniało mi się, jak doskonale wychodziły dyskusje

czy raczej dzielenie się przemyśleniami w Taizé. Ludzie z różnych krajów, środowisk, o różnym wykształceniu jakoś natychmiast ze sobą rozmawiają o ważnych sprawach. Przyjeżdżających dzieli się na małe grupy i podaje się tematy na każdy dzień. Tematy wychodzą od doświadczeń każdego z uczestników. Najpierw prowokuje się do mówienia o motywach przyjazdu, o sytuacjach, w jakich się żyje. Późniejsze tematy prowadzą dalej. Przenoszenie metod seminarium naukowego na wędrowną nie wychodzi.

Przy okazji rozmowy o tych wakacyjnych wędrownych zaczęliśmy mówić o tym typie rozmów, które najczęściej prowadzimy. O rozmowach, które zamiast ludzi zbliżać, budują między nimi mur. Opowiada się kawały, mówi o pogodzie, o programie wycieczki, o znajomych. A każdy przecież ma jakieś większe czy mniejsze sprawy, które chciałby skonfrontować z doświadczeniem przyjaciół.

Przed wyjazdem do Francji nieraz słyszałem o zebraniach tamtejszych katolików, na których ludzie opowiadają sobie wzajemnie najintymniejsze sprawy. Moje obserwacje tylko w części potwierdziły to, co słyszałem. Po pierwsze, sprawy nie są tak znowu intymne, choć granica intymności u Francuzów czy Włochów przesunięta jest dalej niż u nas. Po drugie, wcale nie przychodzi im to łatwo. Kiedyś jednemu z przyjaciół Francuzów powiedziałem, że oni mają całkiem inne temperamenty niż my, że im tak łatwo o szczerość i prostotę. Popatrzył na mnie jak na wariata: łatwo?... Ty wiesz, ile lat pracowaliśmy nad tym, żeby być ze sobą prawdziwi, żeby zdobyć się na zdjęcie maski? A i teraz jeszcze niektórym brak odwagi. To jest z a w s z e trudne.

SZKOŁA WIARY

W mojej redakcyjnej skrytce na listy znalazłem odbity na powielaczu list świąteczny ojca Jacques Loewa ze znakiem „Ecole de la foi” — kotwica, krzyż, serce. Dzięki temu listowi trafiłem na książkę *Jacques Loew, albo zagadka ewangeliczna Marie-Paule Preat*, książkę o człowieku, którego życie przyprawia o zawrót głowy, a trochę i o za-zdrość. A więc urodzony w rodzinie ateistycznej, wychowany w szkole protestanckiej, ateista, potem dominikanin, z wykształcenia prawnik, z praktyki doker, współtwórca (z

ojcem Lehret i René Moreaux) „Economie et Humanisme”, ksiądz-robotnik należący do tych, których decyzja Rzymu odwołała od ich pracy, twórca „Mission de Marseille” i Misji Robotniczej Piotra i Pawła, która działa dziś na wszystkich kontynentach. Był na Saharze, w Polsce, Brazylii, Urugwaju, Chile, Afganistanie, Hiszpanii itd., bynajmniej nie w celach turystycznych, ale by realizować to, co może najpełniej znalazło wyraz w Szkole Wiary. Kaznodzieja głoszący rekolekcje w Watykanie, laureat Wielkiej Nagrody Literatury Katolickiej 1970, człowiek, o którym autorka książki w miejscu, gdzie kładzie się motto lub dedykację, napisała: „Ta książka przedstawia myśl i dzieło człowieka żywego. Należało zapomnieć o Wielebnym Ojcu Jacques Loew i powiedzieć, jak mówią wszyscy jego przyjaciele na czterech krańcach świata: Jacques”. Oczywiście jest czymś niemożliwym w tak wynotowanym skrócie powiedzieć cokolwiek o tym życiu.

Więc o Szkole Wiary. Celem tego przedsięwzięcia nie jest formowanie nauczycieli, dogmatyków, egzegetów, czy nawet katechetów. Zaczęło się od tego, że o. Loew spotkał gdzieś w Brazylii księży, z których wypowiedzi wywnioskował, że kapłaństwo wybrali jako zawód, jak inne zawody... A więc cel Szkoły: „Tworzyć ludzi, którzy są szczęśliwi dlatego, że mogą głosić Pana Jezusa Chrystusa”. „Trzeba sprawić, by na nowo powstała rasa głosicieli Ewangelii, ludzi przesiąkniętych Ewangelią...” Styl życia Szkoły, trzy zasadnicze kierunki: słuchanie Słowa, sprawowanie liturgii wiary, życie braterskie. Okres przebywania w Szkole — dwa lata.

Szkoła otwarta jest dla duchownych i świeckich. W klimacie ciszy, kontemplacji i poważnego studium, we wspólnocie, uczniowie pochodzący z pięciu kontynentów mają „zaimpregnować się” Ewangelią, by wrócić do tych miejsc, z których przybyli do Fryburga. „To, czego brak apostołom dnia dzisiejszego — to nie kontakty. Tych kontaktów mamy często więcej, niż jesteśmy w stanie unieść, brak natomiast entuzjazmu, pewności, że Bóg może wszystko i że On oczekuje od nas jedynie owej odrobiny wiary jak ziarno gorczyczne, by cały świat ogarnąć swoją obecnością... Jestem pewien, że święty jutra, ten, którego my przygotowujemy dziś przez długi i konieczny okres stawania się, będzie człowiekiem Bożego absolutu, dla którego »zbawie-

nie przez Chrystusa« nie będzie formułką podręcznikową, ale krzykiem ludzkim, krzykiem, jaki wydaje człowiek w sytuacji katastrofalnej, kierując się ku jednemu ratunkowi, ku jedynej możliwości, jaka może ocalić mu życie...”

Program studium. Jest w nim cały ojciec Loew: podobnie jak w rekolekcjach watykańskich kanwą jest historia zbawienia. Najpierw, w pierwszym roku, od początku dziejów narodu wybranego do Chrystusa, w drugim od Chrystusa do Pawła VI. Na tej kanwie zjawiają się problemy teologiczne, egzegetyczne, refleksja misyjna, liturgiczna. Małe sesje z udziałem osób kompetentnych zajmują się problemami takimi jak rozwój gospodarczy, prostytutka, literatura, modlitwa...

SŁOWO

Doświadczenie siły i bezsilności słowa jest doświadczeniem nas wszystkich.

Siła — kiedy czyjaś decyzja, wola wyrażona w słowie: nie przyjęty na studia, przyjęty; pięć lat więzienia, uniewinniony; załatwić pozytywnie — negatywnie... decyduje o ludzkim losie. Opowiadał mi przyjaciel Kubańczyk, że kiedy przywódca jego kraju wygłasza przemówienie przez radio, ulice są wyludnione, wszyscy mieszkańcy wyspy słuchają tego co mówi, gdyż jedno zdanie potrafi pociągnąć za sobą całkowitą zmianę kształtu życia gospodarczego. Zawsze w tęsknocie za tym, by stać się jako bogowie, człowiek tęsknił do stanowisk, gdzie jego słowo będzie mogło zmieniać kształt rzeczywistości.

Słabość słowa — nasze niepotrzebne nikomu zapewnienia o lojalności, kiedy nas „odpisano na straty”; podania z długimi uzasadnieniami, których silniejszy od nas — ten co decyduje — nawet czytać nie raczy; bezsilne przekonywania ludzi słabszych, zależnych, którzy muszą szukać czegoś mocniejszego niż słowa, by słowa stały się skuteczne: poparcia kogoś silnego, pieniędzy, układów, buntu.

Jest jeszcze trzecia kategoria słów — silne i bezsilne zarazem. Moc składa w nie ten, kto je wypowiada, ale uruchomienie owej mocy spoczywa w rękach tego, do kogo ono jest skierowane: słowo o miłości. Najwspanialsze z ludzkich zapewnień: *kocham cię* — eksploduje zawartą w sobie mocą jedynie wtedy, kiedy zostanie przyjęte, jeśli kochany zechce uwierzyć.

I dający siebie samego w tym słowie, które jakże bardzo zmienia rzeczywistość, jest zdany na tego, któremu się od-

daje; wspaniała rzeczywistość, jaką słowo o miłości niesie, zależy od tego, czy zostanie ono przyjęte. Przyjęcia tego wymusić ani kupić, ani układami wymanewrować się nie da. Ludziom, którzy wyrosli na nauce o absolutnej skuteczności wszechmocnego słowa Bożego, Boga Stwórcy, Jezus, rozpoczynając swoje nauczanie o Królestwie Bożym, mówi — że Słowo Królestwa jest słowem owej trzeciej grupy: wszechmocne — zależne... słowo o miłości.

Zagrożenie zewnętrzne, Szatan, prześladowania, to wszystko, co z miłością ową chce konkurować...

A że to słowo o miłości skazane jest na przyjęcie albo odrzucenie, na przyjęcie byle jakie, pozorne, albo całkowite, na przyjęcie niestałe, kapryśne, nieprawdziwe — temu, który je przynosi, pozostaje drżenie oczekiwania na odpowiedź, pozostaje smutek, że kwiaty nie zakwitną, że nie będzie plonu — albo wspólna radość owoców miłości.

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA 1974

Siłą miłości jest jej pokora, jest to, że nie zagraża. Trudne do pojęcia dla nas, którzy nieustannie atakujemy, wszędzie wężąc ataki na siebie. Atakujemy ze strachu. On nas znał i dlatego najpierw prowadzi nas do żłobka. A w żłobie Dziecko. Nie trzeba się bać. Tylu ludzi, którzy zwykle nie chodzą do kościoła, przyszło na pasterkę, może dlatego przyszli, że wiedzą: dziś nikt na nikogo nie będzie krzyczał, nie będzie gromów. Dziś gospodarz niesie do stajni opłatek, żeby i z bydłem się podzielić. Śmiesznie wyglądają ludzie, którzy nawet dziś muszą stroić się w swoją ważność, dziś, kiedy Najważniejszy jest bezbronnym dzieckiem.

Każde święto ma nam coś do powiedzenia o Panu Bogu i nigdy nie wiadomo, która z tych wiadomości będzie nam najpilniej potrzebna, z którą w tej chwili najbardziej współbrzmie nasze życie. O tym myślałem przez ostatnie dni adwentu. Chodziłem do domu, w którym umierał człowiek. To też było przygotowanie do Bożego Narodzenia. Odchodził. W wielkim cierpieniu, z godnością, świadom wszystkiego. Stopniowo coraz więcej spraw zostawało za nim, spraw, które nie były już warte, by dla nich podejmować wielki wysiłek przebijania się przez mroki cierpienia. Mówili mi: Chyba jest nieprzytomna, albo śpi. Pochylałem

się nad łóżkiem. Ciężki oddech, zamknięte oczy. Mówiłem cicho, że przyniosłem Pana Jezusa. I oczy się otwierały, cień uśmiechu, gest głowy: to dobrze... „Przebaczenia, odpuszczenia, darowania grzechów nich ci udzieli Pan...”, ręka zdawała się bezwładna, kreśli znak krzyża.

A w drugim pokoju fikał nóżkami kilkumiesięczny bobas, wnuk. Niebieskie jak samo niebo oczy, szeroko otwarte, ciekawe...

Boże Narodzenie. Życie, śmierć. Śmierć — jak mówiono niegdyś — narodzenie dla nieba.

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA 1975

W „Znaku” fragment książki Masłowa *Towards a Psychology of Being*: „...podobnie jak większość ludzi, przywykłem myśleć o twórczości w kategoriach wytworów, tym samym nieświadomie zacieśniając to pojęcie do pewnych tylko dziedzin ludzkiego działania. Zakładałem też — jak się okazało błędnie — iż k a ż d y malarz, kompozytor, czy poeta prowadzi życie twórcze. Przy takim podejściu twórczość stawała się wyłącznym przywilejem określonych zawodowców”. Dalej amerykański psycholog pisze o ludziach, których nie zwykło się zaliczać do kategorii twórców, jak np. pewna prosta kobieta, świetna gospodyni, żona, matka, pełna inwencji pani domu. „Od niej — czytamy dalej — i wielu podobnych nauczyłem się, że pierwszorzędną zupa jest czymś bardziej twórczym niż przeciętne malowidło, że ogólnie biorąc takie czynności, jak gotowanie, zarządzanie domu i wychowanie dzieci mogą być twórcze, podczas gdy poezja nie musi być twórcza...”

Mówi się, że Boże Narodzenie z jego tradycjami polskimi, to święto dzieci. Jest wielki błąd w tym myśleniu. To jest t a k ż e święto dzieci. Ale — pomijając jego liturgiczną treść — jest to święto tej właśnie twórczości, o której mówi Masłow. Spokój wigilijnej kolacji, radość z radości dzieci i to, że one wiedzą, jak bardzo radość ich jest radością dorosłych, którzy im tę radość przygotowali, kolędy przy choince i to coś nieuchwytnego:

...Jest cicho. Choinka płonie.

Na szczycie cherubin fruwa.

Na oknach pelargonie

blask świeczek złotem zasnuwa,
a z kąta, z ust brata, płynie
melodia na okarynie:
lulajże, Jezuniu...

(K. I. Gałczyński *Przed zapaleniem choinki*)

Ta powtarzająca się co rok sytuacja za każdym razem jest inna.

Gdyby chodziło o malarstwo, o rzeźbę czy pisarstwo, można by powiedzieć: podsumowanie rocznego dorobku. Tu słowo to zupełnie nie pasuje. Nikt niczego nie podsumowuje. A jednak — dzieci przed rokiem i dziś... Ich reakcje, radość, rozmowy. Zresztą nie tylko dzieci. I my sami. Wielka dziedzina twórczości, która ma na imię dom.

Uraża się często, że uwaga koncentruje się na jedzeniu. Jeśli tak, to źle. Ale możliwe, że to tylko bardzo powierzchowne spojrzenie i ocena. Uroczysty stół jest jednym z elementów tego wernisazu.

Na ten dzień pracuje się przez cały rok. Klimatu nie można stworzyć na poczekaniu. Dom musi istnieć, żeby można było świętować dom. Tak jak starość przygotowuje się przez całe życie, jak prawdopodobnie przez całe życie przygotowuje się człowiek na śmierć.

NOWY ROK

Noc. Zaraz skończy się jeden rok, zacznie się następny. Jakże banalnie to brzmi. Zresztą... data, rzecz umowna. Noc. Mój drewniany dom pełen skrzypień i szmerów. Może włączę radio, żeby dokładnie wiedzieć, kiedy wypadnie ten moment. Tymczasem zapalam wszystkie lampy w domu, żeby Nowy Rok przywitać w świetle. W tę noc bardziej niż kiedykolwiek indziej czuje się, jak przepływa czas. Jak to jest, że u Boga nie ma czasu? W naszych sprawach z Nim czas jest obecny. I to jakże bardzo. Każdą mszę zaczynam od zwrócenia się ku czasowi przeszłemu: „że zgrzeszyłem bardzo myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem...” To jest czas przeszły. A te grzechy — myśli, słowa, czyny, zaniedbania?... Przeszłe grzechy? Czy one nadal są? Czy też jestem tylko ja, zmieniony przez tamte myśli, słowa, czyny i zaniedbania? I jest On, dla Którego nie ma „przedtem” ani „potem”.

Każda msza kończy się czasem przyszłym: „...idźcie w pokój, ofiara spełniona”. Kiedyś byłem zmęczony i powiedziałem zamiast: „idźcie w pokój” — „idźcie do domu, ofiara spełniona”. A przecież nie o to chodzi: mniej o ruch przestrzenny, raczej: idźcie w przyszłość, w to, co was czeka, w czas przyszły. Ku spełnieniu, które jest ponad czasem.

Słysząc tu, jak dzwoni Zygmunt. Dobrze, że nie włączyłem radia. W katedrze na Wawelu odprawia się w tej chwili msza. Wiele razy odprawiałem mszę św. w momencie przełomu lat. Tradycja jest taka, że wita się Nowy Rok szampanem, tańcem, śpiewem, śmiechem. To są gesty optymizmu, wiary, że czas przyszły będzie lepszy, będzie dobry. Trochę jakby chciało się zauroczyć los. Jeśli ze śmiechem zacznę, cały dalszy ciąg dni będzie taki. Chociaż doskonale się wie, że to nie musi się sprawdzić. A może jest w tym, gdzieś głęboko ukryty, strach przed przemijaniem. Przemijanie, coś, w czym nieustannie jesteśmy zanurzeni, ale kiedy na „liczniku czasu” przesuwa się cyferka i jest już nie 5 tylko 6, może ogarnąć strach. Ilość danych mi lat skurczyła się o jeden rok.

W czytaniach liturgii na dziś jest mowa o Matce Boskiej, która zachowywała i rozważała w sercu wszystkie wydarzenia. Jest to jakby przeciwwaga do sylwestrowego wchodzenia w Nowy Rok. Tam odruch ucieczki, tu: „zachowywała i rozważała”. Bo zachowywać zmuszeni jesteśmy wszyscy. Mimo wszystkich zaczynań od nowa, w nowe wchodzi się zawsze ze starym zapisem w sercu. Człowiek nie może oderwać się od przeżytych lat. To co Ona rozważała, dotyczyło spraw pomiędzy Bogiem a Nią. Czas pisze w nas, strona po stronie, dzieje naszych spraw z Nim i Jego z nami. Bóg człowieka dorosłego nie jest już Bogiem jego lat dziecinnych. To nie Bóg się zmienia. Także w liturgii dzisiejszej jest Pawłowy tekst o danym nam Duchu Syna, w którym wołamy Abba — Ojcze. Słowo „Abba” ma w języku aramejskim to ciepło uczuciowe, co polskie słowo „tata”. To nie jest „imię ojca” z rubryki podania o paszport, ale nieoficjalne, własne. Zapis naszych spraw z Nim staje się w ciągu lat coraz prostszy, coraz mniej w nim słów. Dojrzałość lat nastąpi wtedy, kiedy rozważając ów zapis serca, znajdziemy w nim tylko jedno słowo: Abba. Słowo, które pisze w nas Duch.

Można pogasić światła. Już nie słyhać dzwonu Zygmunta. Już jest rok 1976.

MĘDRCY

Opowieść o Mędrkach ze Wschodu, to opowieść o ludziach, których drogi są zupełnie inne niż te wytyczone, pewne, znane, opisane w przewodnikach i podręcznikach podróży. Szli nie wiedząc, co czy raczej Kogo znajdą u kresu drogi. A kiedy już doszli... Pewnie, że mogli być zaskoczeni, kiedy cała wyprawa, wszystkie kłopoty z władzami, światło gwiazdy, wszystko to, tak trudne i niezwykle, doprowadziło ich do Kołyski Dziecka. Ale w opisie nie ma mowy o tym, by czuli się zawiedzeni lub kwestionowali to, co znaleźli. Oddali hołd i odeszli. Żaden z nich nie został duchownym, apostołem świeckim ani niczym takim. Odeszli, tak jak przybyli, swoją własną drogą. Droga powrotna była inna niż ta, którą tam szli, to prawda. Poszli tą swoją drogą i tylko legenda ściga ich przez wieki, domyślając się, jakie mogły być ich dalsze dzieje.

Bez względu na wszystkie naukowe interpretacje opisu, jest on ważny dla nas. Zdaje się zapraszać do tego, żeby stojący niejako *ex professo* obok Narodzonego rozsunęli się nieco i pozwolili podejść także i tym, którzy tu przybyli bez legalnego rodowodu: żeby uznali możliwość istnienia gwiazdy przewodniczki, o której sami nic nie wiedzą, i żeby nie uważali, że jeśli tamci doszli, jeśli oddali pokłon, to już koniecznie muszą zostać w gronie tych *ex professo* z mesjańskimi rodowodami, ale że mogą mieć jeszcze swoją dalszą drogę do przewędrowania.

ZNOWU WIELKI POST

Pokuta, post, szczypta popiołu na włosach: „Pamiętaj, jesteś proch i w proch zostaniesz przemieniony...”. Panie, ja pamiętam i wszystko mi o tym przypomina, a życie moje, które szare jest jak popiół, zostawi po sobie ślad mniej trwały niż ten ślad popiołu na moich włosach dziś.

...Może dawniej, kiedy ulicami przelewały się karnawałowe tłumy, a jurny śmiech wstrząsał miastem, miało to jakiś sens. Ale nie dziś, kiedy każdego dnia wszystko mi

mówi: obrócisz się w proch, ty i cały świat, a radioaktywny popiół może w mgnieniu oka przysypać to wszystko, czym żyjesz. Wystarczy jeden, wykonany nie wiadomo gdzie, szaleńczy gest.

— „Obudź się, który śpisz!...” Idziemy jak gdyby śpiąc, przez rytm naszych dni. Istniejemy jakby nie istniejąc. Somnambuliczny świat. Jeszcze wydaje mi się, że to ja wpływam na wypadki, ale to one wpływają, rządzą mną; myślę, że posługuję się zmysłami, ale nie, to one mną, mój gniew mną rządzi, nie ja nim, nie ja palę papierosa, papieros spala mnie. Tak chciałem być obecny, usiłowałem wejść w nurt bieżących spraw, a dziś wiem, że one są, nie wiem zaś, czy moja obecność ma na rzeczywistość wpływ choćby najmniejszy.

„Obudź się, który śpisz!” Kiedy mówiłeś do swoich proroków, odpowiadali: — „Oto jestem, Panie. Twój sługa słucha Cię. Jestem tu!” Być! Naprawdę być obecnym...

Błogosławieni, którzy łakną i pragną, błogosławieni ludzie pustych rąk. Biada sytym, których serce pokryte jest tłuszczem, którzy istnieją w tym, co mają lub co pragną mieć. Obudzić się, uwolnić, otworzyć — to jest właśnie post. Radość: szczęśliwi spragnieni i głodni.

Post — obliczony przepisem?... Przepis jest sugestią; niemal symbolicznym językiem wskazuje kierunek. Sama litera zabija. Także dziś. Faryzeusze umieli dawać, podobnie jak wielu tak zwanych porządnym ludzi, zadowolonych z siebie, którzy nie wiedzą, co to jest pragnienie i głód, wiedzą za to, jak miło mieć poczucie, że wszystkie przepisy wypełniło się dokładnie. Faryzeusze nie umieli prosić. Prosić, jak Jezus prosił o chleb na drogach Galilei, o wodę u stóp góry Garizim, jak szalony Franciszek, jak pokutnicy pierwszych wieków, którzy przed drzwiami kościoła prosili o jałmużnę modlitwy tych, którzy wchodzili. (Potem uznano, że to zbyt trudne i zwyczaj zanikł.)

Umrzeć, ażeby żyć. Panie, jestem gotów wiele dać, ale nie każ mi prosić, zwłaszcza o przebaczenie, bez żadnego „ale”, bez dodania, że racja jest pewnie w środku, że proszę o przebaczenie, ale i ja mam to i owo do przebaczenia...

Wszystko mi przypomina, że jestem proch — ale są granice!... — Nie, nie ma granic. „Miarą miłości jest miłość bez miary” — jak powiada św. Bernard. I to jest post.

Pod koniec dnia czterdziestu zamilkną w kościele organy.

Komu dziś przeszkadzają organy?... A takie małe przyjęcie z tańcami?... czy to jest grzech? „Hucznych zabaw i tańców...”

— „Obudź się, ty, który śpisz!” Nad pustynią wznosi się spalona słońcem, samotna góra, na której przebywałeś czterdzieści dni. Sam. Boję się być sam. Tyle wymyślono urządzeń, żebym nie wiedział, nie myślał o tym, kiedy przychodzi mi zostać samemu z sobą: telewizor, radio, kino, proszki na sen. Boję się owej góry, nie chcę na nią wejść już nie na czterdzieści dni, na czterdzieści minut nawet. Nie, nie, nie.

Post. Jałmużna. Modlitwa. Odpowiada na to świat, w którym żyję: zaspokojenie, zapłata, rozrywka. Post? Jałmużna? Modlitwa? — odpowiada na te słowa śmiech. Czy śmiech? Sytych, zasłużonych, wypoczętych...

Jeszcze raz wchodzę w Wielki Post.

ŚRODA POPIELCOWA

Ponieważ sporo ludzi w kościele, pomagam księdzu Kazimierzowi w posypywaniu głów popiołem. On używa nowej formuły: „Nawróćcie się i wierźcie Ewangelii”, ja starej: „Pamiętaj człowieku, że prochem jesteś i w proch się obrócisz”. To zdanie jest takie długie, że każdego roku zastanawiam się, czy należy wypowiadać je nad każdym osobno, przedłużając ceremonię (a ludzie spieszą się przecież do pracy), czy rozkładać w ten sposób, żeby do jednego mówić „pamiętaj”, do drugiego „człowieku”, do trzeciego „że jesteś prochem” itd. Mówię do każdego z osobna cały tekst, bo takie rozdzielanie wydaje mi się trochę bez sensu, ale co jakiś czas łapię się na tym, że szybciej sypię popiół niż wymawiam słowa i ludzie odchodzą po usłyszeniu „pamiętaj”, bez usłyszenia, co mają pamiętać. Lubię tę szokującą, wręcz brutalną formułę. Czytałem gdzieś rozważania na jej temat. Autor zwracał uwagę, że Kościół nie mówi nam: „...składasz się z prochu i duszy, która jest nieśmiertelna”, ale „jesteś prochem”. Ten tekst jest z samego dna Biblii (Rdz 3, 19; Ps 103, 14; Job 4, 19; Rdz 18, 27). Proch, kurz, pył... coś, z czego nie da się nic ulepić, najbardziej anonimowy, jedno ziarenko takie same jak inne, coś, co jest nic nie warte, banalne, niestałe, nijakie, bez wyrazu, miotane przypadkowymi podmuchami, coś co

znajduje się wszędzie i nigdzie. Przypomnienie doświadczenia bardzo znanego. W chwilach złego nastroju tak właśnie odczuwa się własną egzystencję.

Ale nie mówią nam dziś: „nie jesteś niczym więcej niż prochem”. Kiedy we Francji uczestniczyłem w ceremonii Środy Popielcowej, zgodnie z tamtejszym zwyczajem rysowałem na czołach podchodzących ludzi znak krzyża. Potem w metrze i na ulicy spotykałem ludzi z tym szarym krzyżykiem na czole. To było jakby odczyszczenie popiołem znaku, jaki zrobiono nam w czasie chrztu. Powiedzenie: „człowiek jest prochem”, jest praktycznie tym samym, co powiedzenie „człowiek jest ciałem”. I w tym kontekście Pawłowe przypomnienie: „Bóg zesłał swojego Syna w ciele podobnym do ciała grzesznego” (Rz 8, 3)... Krzyż na czole i przypomnienie tego, co było powiedziane w raju, to jakby przypomnienie o nowym stworzeniu człowieka: z prochu ziemi ulepił go. Ulepił go na nowo. To jest zachwycające wyprowadzenie z pesymizmu, ku któremu ciągnę, ulepiony z prochu, z mułu ziemi.

*

Z dzisiejszym dniem zaczyna się Wielki Post, dziś należy przestrzegać surowych przepisów odnoszących się do ilości i jakości jedła. Ktoś kiedyś określił (w gramach) dla ludzi o skłonności do skrupułów, ile można zjeść na jaki posiłek. Niektóre episkopaty zwolniły swoich wiernych od tych przepisów, w Polsce obowiązują nadal i każdy, kto próbował ich przestrzegania, wie, że ten zewnętrzny znak wejścia w okres pokuty, post podjęty wspólnie z innymi, wcale nie jest praktyką anachroniczną, że człowiek może w nim odnaleźć radość, jaką przynosi nawet małe zwycięstwo nad sobą. Jednocześnie widzimy, że sam „post spożywczy” to jeszcze nie to, o co chodzi.

Zresztą liczne despensy w tej dziedzinie zawsze obwarowane są przypomnieniami o konieczności zachowania ducha pokuty.

Przypomnieć sobie, że jesteś prochem — ale dzięki Wcieleńiu, dzięki znakowi krzyża, dzięki temu, czym jest chrzest, jesteś czymś znacznie więcej niż proch... Taki chyba ma być styl owego ducha pokuty. W dzisiejszym brewiarzu czyta się tekst św. Cezarego, który powiada, że nawet jeśli ktoś nie może zachować postu od mięsa i wina

i nie ma możliwości dawania wsparcia potrzebującym, zawsze ma możliwość zachowania miłości. To też jest styl postu i pokuty.

„VADEMECUM POKUTNIKA 1976”

A więc moje propozycje: Odrobienie zaległości, które są zamiedbaniami miłości bliźniego. Na przykład odpisanie na listy czekające od dawna, napisanie do tych, którym każdy list sprawia ulgę w ich samotności, przyszyć guzików, załatanie dziur, przybicie wieszaka, który oderwał się w przedpokoju podczas bożonarodzeniowych najść licznych gości, zrobienie porządku w szafie, umycie okien, czyli zrobienie wreszcie tych rzeczy, o których zwykle się mówić każdego wieczora, że zrobi się je jutro, rzeczy, które służą bliźnim, które i tak trzeba zrobić, tylko że zawsze jest coś pilniejszego do zrobienia.

Zagonieni, którzy takich pokut nie mogą sobie nałożyć, gdyż życie ich upływa na przyszywaniu guzików, przybijaniu wieszaków, naprawianiu żelazek i froterowaniu, powinni iść do teatru, kina albo przynajmniej na spacer z najbliższymi, dla których taka wyprawa więcej może znaczyć, niż świecąca podłoga. Ci, którzy w kieracie codziennych zajęć „dosłownie nie mają czasu nic przeczytać, najwyżej gazetę po łebkach” — niech przeczytają książkę, i to niekoniecznie traktat teologiczny czy filozoficzny.

Naprawianie krzywd: oddać pożyczone książki, pieniądze, maszynkę do mięsa i inne cudze rzeczy, które już nie są potrzebne i czekają od dawna na chwilę czasu potrzebną na ich odniesienie.

Inna dziedzina: zastanowić się nad tym, czy znam ludzi, z którymi spotykam się każdego dnia w miejscu pracy, których „zafiszkowałem” — posłuchać uważnie, co oni mówią. Przy okazji można sprawdzić, czy ci, których uważa się za „okropne typy”, nie są przypadkiem całkiem miłymi ludźmi.

Tu zostawiam puste miejsce dla wypisywania własnych pomysłów. Nie radzę mechanicznie stosować pokut, które odbijają się na bliźnich. Na przykład palaczom niekoniecznie zaleca się natychmiastowe przerwanie palenia. Rozdrażnienie takiego pokutnika odbija się na otoczeniu. Dużo lepsza jest praktyka ustalenia normy pokutnej i rygory-

styczne jej przestrzeganie. W odniesieniu do alkoholu (jeśli ktoś w tej dziedzinie zechce pokutować) należy zalecać metodę prostą — nie pić.

Ważne pole pokutnej przemiany to dziedzina modlitwy. Nie zaleca się (Ewangelia) długich modlitw kosztem obowiązków, ale czas pokuty, to czas modlitwy.

Została do opracowania sfera przebaczenia, opanowywania nerwów, cierpliwości, ale także lenistwa, bierności i braku poczucia humoru.

ZAPISKI PRZY LEKTURZE KSIĄŻKI O SPOWIEDZI *

Czy owa kumulacja jest dobra, czy nie, pozostaje faktem: okres Postu jest czasem spowiedzi. Do tego przygotować się muszą nie tylko moi penitenci. Czy mi się to podoba, czy nie, spotkam ludzi, którzy ze spowiedzią spotykają się raz do roku albo rzadziej. Mówi się, że tu i tam maleje ilość spowiadających się, bo zanika poczucie winy, grzechu. Może czasem tak, ale może być i przeciwnie: poczucie winy, grzechu może być tak silne, że rytualna spowiedź, spowiedź, na której powtarza się formułki, te same od lat, wydaje się środkiem niedostatecznym wobec odczuwanej winy.

Są dwie pułapki, w jakie łatwo wpadamy w związku ze spowiedzią i rachunkiem sumienia — widzi się Boga tylko w praktykach religijnych: rachunek sumienia z opuszczonych mszy, pacierzy, postów... albo tylko w bliźnich: wiara staje się swojego rodzaju moralizmem.

Często myśli się bardziej o tym, co należy powiedzieć spowiednikowi, niż o tym, czego żałować, by w obliczu Boga przemienić swoje życie...

Metody przygotowania się do spowiedzi. Są tacy, którzy nigdy nie robią rachunku sumienia, w ciągu kilku minut są gotowi do spowiedzi. Ma to ten plus, że uwalnia od schematycznych, martwych formułek, ale grozi, że wiele obszarów życia pozostaje w cieniu. Czy można opierać się jedynie na własnym wyczuciu? Czy wystarcza taki rachunek sumienia wobec siebie samego? Nauka o grzechu także została nam objawiona przez Chrystusa. Zauważyłem, że np. ten sposób przygotowania do spowiedzi obejmuje wyzna-

* Th. Rey — Mermet: *Laissez-vous réconcilier... La confession aujourd' hui?* Centurion 1972.

nie o gniewie, o zaniedbaniu modlitwy, a bardzo rzadko o tym, że nic się nie robi dla bliźnich.

Ci, co opierają się na gotowych rachunkach sumienia (byle nie przez całe życie na tym samym tekście, który służył w dzieciństwie do pierwszej spowiedzi), mogą wyjść poza zakres własnych nawyków i rutyny. Niestety, bardzo dużo drukowanych rachunków sumienia opiera się na Prawie z góry Synaj, tak jakby nie było Góry Błogosławieństw. Na szczęście coraz rzadziej. Byle nie zapomnieć, że tekst drukowany jest narzędziem przebudzenia uwagi, że wymaga osobistej refleksji nad życiem.

Teksty te, jeśli nawet są dobre, mimo woli ustawiają człowieka bardziej wobec prawa, przepisów (chrześcijańskich, oczywiście), niż wobec Chrystusa. Przecież ostatecznie chrześcijaństwo nie jest systemem moralnym, ale związaniem swojego życia z Kimś, z Osobą, z Ojcem... Już lepiej, kiedy przygotowanie, refleksja opiera się na zdaniu sprawy z odpowiedzialności — wobec rodziny, pracy, wobec siebie samego, wobec społeczeństwa, w którym się żyje. Ale najistotniejsze jest przypomnienie, że nie grzeszy się przeciw prawu ani przeciw moralności. Grzeszy się przeciw Osobie... Chyba do rzadkości należą wśród nas tacy, którzy jako podstawę swego życia wzięli Ewangelię, w której On sam pokazuje, kim i jacy mamy być wobec Ojca i wobec innych ludzi. Ewangelia nie jest dla chrześcijan ideałem fakultatywnym!... Spotkałem się z taką praktyką: ktoś podkreślił w tekście Ewangelii to, co w nauczaniu Jezusa wyznacza granicę, poniżej której nie można już mówić o chrześcijaństwie; potem innym kolorem podkreślił te partie, które rzeczywiście kształtują jego własne życie. Różnica między podkreśleniami wskazywała miarę niewierności...

Tyle napisałem o tej stronie przygotowania do sakramentu pokuty, że boję się o najważniejszą sprawę: przebaczenie wyprzedza nasze wyznanie. Kiedy syn marnotrawny wracał, bynajmniej nie z najwyższych pobudek zdecydował się na powrót. Była bieda, a on nie potrafił się w życiu urządzić. Nie wiedział też, że zostanie przyjęty z powrotem jako syn. Ojciec na niego już czekał, nie wyznanie sprawiło przemianę, ale oczekująca go miłość, o której nie myślał, której nie wziął pod uwagę, kiedy planował, z jakim przemówieniem zwrócić się do ojca, którego tak głupio porzucił.

Przed mszą św. chciałem odwiedzić cmentarz, wyszedłem więc wcześniej z domu. Był wieczór i taka mgła, że na kilka kroków nie było nic widać: cmentarz leży dwieście metrów od mojego domu. Był pusty i rzęsiście oświetlony lampkami. We mgle i mroku wyglądało to tajemniczo i smutno. Myślałem o umierających, dla których wiara, nadzieja i miłość są takim migoczącym w ciemności drogowskazem. Wydawało się, że nic nie istnieje poza tą mgłą. Potem nie mogłem trafić do autobusu, chociaż wydawało mi się, że znam drogę. Dopiero spotkani ludzie pokazali mi, którą mam iść. Pełen tych moich zaduszkowych rozmyślań, dumalem o umierających, o tych ludziach wchodzących we mgłę i o tym, że jeden Jezus Chrystus może pokazać drogę. On już tam był. Jest stąd i był tam. Kiedy mi pokazali drogę i nawet podprowadzili kawalek, mgła stała się jakby mniej przytłaczająca.

POWOŁANIE APOSTOŁÓW

Pierwszych powołał nad Jordanem wtedy, kiedy przyszli czynić pokutę wiedzeni potrzebą oczyszczenia. Tych powołał nad jeziorem. Zostawili wszystko i poszli. Potem będzie i taki, któremu zaproponuje, żeby także poszedł z Nim, ale on nie zechce. „Był bowiem bardzo bogaty”. Czy ci byli biedni? Tak łatwo opuścili wszystko. Albo celnik Mateusz. Ten biedny nie był. Ale on był celnikiem, społeczeństwo pomagało mu ochoczo, by trwało w nim poczucie winy. Może więc bliższy był tym znad Jordanu. Czytałem niedawno, że warunkiem nawiązania kontaktu z drugim człowiekiem jest przeżycie braku. W drugim odkrywam to, czego mi brakuje. W odniesieniu do nawrócenia: przeżycie dramatycznego stwierdzenia własnej przemijalności otwierania człowieka na kontakt z Żyjącym.

Jezus nie zaczynał od wykładu doktryny lub przedstawienia poglądów na sytuację polityczną. Powiedział im: Pójdźcie i zobaczycie. Chodzili z Nim przez te trzy lata. Nie byli gronem fanatyków, nie zapisano, by oddawali się specjalnym modlitwom czy postom. Ze zrozumieniem szło im raczej ciężko. „A myśmy się spodziewali...” Oni się spodziewali, ciągle spodziewali się czegoś innego niż przynosiła

rzeczywistość. Bo łatwo iść nie za Chrystusem, ale za swoim wyobrażeniem o Nim. Więc zgorszenie, zaskoczenie, że to tak, że to tylko tak. Dopiero Duch św., kiedy — zdawało się — zostali sami, zdani już tylko na siebie, przemienił ich w świadków. W świadków bynajmniej nie ograniczających się do samej obecności w świecie. Świadków mówiących o Słowie. Przepemieni tym, co rozpoczęło się owym „chodźcie i zobaczcie”, musieli mówić, wyznawać, dzielić się otrzymanym.

PRZEMIENIENIE

Piękny Mateuszowy opis Przemienienia. Jeżeli zaliczyć je do cudów Pana Jezusa, to trzeba powiedzieć, że od większości innych opisanych cudów ten różnił się tym między innymi (dla mnie jest to najważniejsza różnica), że ci, którzy go doznali, nie prosili, ba, nie oczekiwali czegoś takiego, a nawet chciałoby się powiedzieć: nie potrzebowali tego. Ślepiec wołał: „Jezusie Synu Dawidów, zmiłuj się nade mną”, rzesze na pustyni były głodne i miały daleko do domu, a wszystko to „z winy” Jezusa; paralytyk nad Owczą Sadzawką czekał na cud; Marta zapewniając „gdybyś tu był, nie umarłby mój brat” i wyznając swoją wiarę w zmartwychwstanie w dniu ostatecznym, jakby prowokuje Pana, by przyjaciela ratował; zwątpienie, jakie ogarnęło uczniów podczas burzy, niejako domagało się interwencji...

Tamte wszystkie cuda są odpowiedzią na wiarę, na prośbę, na oczekiwanie, jakie niesie w sobie powstała sytuacja.

Ale to?... Na zboczu góry Tabor, nieco poniżej szczytu, ukryty jest w zaroślach stary, bodaj przez krzyżowców postawiony kościółek z napisem nad drzwiami: „Niłkomu nie powiadajcie o tym, coście widzieli”. Sekret miał przestać obowiązywać dopiero po zmartwychwstaniu. Ale nawet wtedy, czy opowiadzenie o cudownym przeżyciu będzie miało moc apologetyczną? Czy zresztą da się w ogóle opowiedzieć dostatecznie przekonująco?...

Przemienie należy do tych zdarzeń opisanych w Ewangelii, gdzie pragmatyczne „po co?” jest pytaniem bez sensu. Jest dalszym ciągiem owego dialogu, który rozpoczynał się wezwaniem: „Pójdź za mną”, skierowanym często do ludzi, którym ani się śniło coś w swym życiu zmieniać, jak Mateusz-Lewi; dialogu, w którym drugim słowem było

pójdzie, nierozsądne, z pozostawieniem wszystkiego. Przemienienie było dalszym słowem dialogu, w którym na pytanie: „Mistrzu, gdzie mieszkasz?” odpowiedzią było: „chodźcie i zobaczcie”...

To bardzo ważne, żeby nie zapomnieć, iż w wierze jak w miłości pytanie „po co?” nie zawsze ma sens. Głos z obłoku, obłok, dwaj zjawiający się Mężowie towarzyszący Jezusowi, cała doktrynalna strona przeżycia jest przez Mateusza odnotowana wiernie, ale nie ulega wątpliwości, że najbardziej zapamiętano własne wzruszenie, zachwyty, bicie serca, pragnienie, żeby tak już zostać... Potem jeszcze Piotr w chwili próby okaże się słaby, podczas gdy Jan będzie stał pod krzyżem, bo, podobnie jak w każdej miłości, nic nie jest załatwione z góry raz na zawsze. Z pragmatycznego punktu widzenia można powiedzieć, że Przemienienie było „po nic”. I to jest właśnie cudowne, że w wierze jest wiele rzeczy pragmatycznie rzecz biorąc do niczego niepotrzebnych. Jak w miłości, gdzie pytania o użyteczność gestów, słów i „traconego” czasu są pytaniami całkiem nie na temat.

ZACHEUSZ

Jaką drogą Zacheusz doszedł do nawrócenia? Setnik, któremu Pan uzdrowił sługę, był pokorny, wierzył. Albo Maria Magdalena — kochała, obmywała łzami stopy Mistrza, nie żałowała olejku. Nikodem — miał problemy, przychodził prosić o ich rozwiązanie. Piotr zaufał, kiedy trzeba było wypłynąć na beznadziejny połów. Wyjechał, bo ufał. Nawet tłumy na pustyni, nakarmione chlebem, słuchały nauk przez cały dzień. Zacheusz nie słuchał kazań, nie miał problemów, nie kochał. Zacheusz był ciekawy.

Nie był dobrym człowiekiem. Sporo miał potem do naprawienia; zresztą wiadomo, kto to byli celnicy. Ciekawość odróżniała Zacheusza od tych, którzy nie mogli uwierzyć, od tych specjalistów, znawców spraw boskich i ludzkich, którzy uważali, że wszystko wiedzą i że nie istnieje nic, co mogłoby ich zaciekawiać. Musiał też mieć sporo prośoty. Ostatecznie wysoki urzędnik, który włazi na drzewo...

Jeżeli potem w rozmowie przy kolacji w domu Zacheusza wynikła sprawa jego grzechów, na co Jezus powiedział, że przyszedł właśnie do tych, co grzeszą, można wy-

ciągnąć wniosek, że grzech niekoniecznie musi zamykać Panu Bogu drogę do człowieka. Byle ten człowiek ocalił trochę owej mądrej ciekawości, byle czasem zaryzykował i przynajmniej wszedł na drzewo.

ŚWIĘTY STANISŁAW KOSTKA

Co miałem powiedzieć o św. Stanisławie Kostce długowłosym chłopcom i sympatycznym dziewczynom, którzy wiernie przychodzą na te rekolekcje? Co ich może interesować w życiu tego rówieśnika, który jednak żył już dość dawno? Że przykład czystości? Hm, jednak warunki były nieco inne. Pobożność? Chyba też nie. Ale niezależnie od epok i kultur, w jakich im żyć przypadają, święci są przykładem ludzi wolnych. Chodzi oczywiście nie tylko o „wolność od”, ale o „wolność ku”. Zaangażowanie życia w wielką sprawę zwalnia czy raczej uwalnia od zniewolenia przez względy, od oglądania się na to, „co sobie pomyślą”, „co powiedzą”. Nadaje życiu wielki rozmach.

BŁGOSŁAWIENI UBODZY

Jeżeli przypowieść o bogaczu i Łazarzu (Łk 16, 19—31) przyjąć za komentarz do tego błogosławieństwa...

Nie chodzi o znikomość nadziei pokładanych w bogactwie, jak to ma miejsce w przypowieści o innym bogaczu, który nagromadził bogactw i powiedział sobie, że teraz może używać do woli, nie wiedząc, że właśnie miał się przeprowadzić na tamten świat. Nie chodzi też o oszustów i krzywdzicieli tuczących się na krzywdzie innych. Bogacz z przypowieści nie jest ukazany ani jako oszust, ani jako krzywdziciel. To człowiek, który nie był zdolny zobaczyć. Nie wie, nie wyobraża sobie. Więcej wiedzą psy, które przychodzą lizać rany biedaka-Łazarza.

Bogaty nie spostrzega, nie wie.

Jest to ten rodzaj braku wyobraźni, który erudycie filozofowi (są różne rodzaje bogactwa) każe się dziwić, wręcz nie dowierzać, że ludzie mogą męczyć się z problemami, które dla niego są banalne, które już rozstrzygnięto w ważnych dziełach wielkich myślicieli.

Jest to ten rodzaj braku wyobraźni, który ludziom mającym znośne, spokojne gniazdko uniemożliwia wyobrażenie sobie, do czego może doprowadzić gniewanie się latami we wspólnym mieszkaniu.

Jest to owa ślepotą, która tym, którzy nie upadli, którzy w jakiejś dziedzinie „są bez grzechu”, uniemożliwia zdobyć wiedzę o tym, co przeżywa ktoś, kto zgrzeszył.

Ślepotą właściciela samochodu, który będąc skądinąd całkiem dobrym człowiekiem, kiedy już jakiś czas zasiada przy kierownicy własnego auta, przestaje zauważać ludzi wracających z pracy do domu piechotą (bo autobus wypadł z rozkładu) „tylko” cztery kilometry, oraz autostopowiczów, którzy wybierają ten sposób podróżowania niekoniecznie z niemądrej fantazji, ale często dlatego, że po prostu nie mają pieniędzy na pociąg.

Przepaść nie do przebycia — powiada Abraham. Przepaść, którą bogacz wykopał sam. Gdzie jest twój skarb, tam i serce twoje...

Dlatego Chrystus mówi, że lepiej nie mieć niż mieć. Mówi to ludziom, którzy wtedy, podobnie jak i dziś, chcieli mieć. Wąska brama i tłum oślepionych wielbłądów, które walczą z sobą, przepychają się z wściekłością, rozbijają sobie głowy o mur. Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wejść do Królestwa. Nie znaczy to, że bogaty musi być przez to swoje bogactwo zaraz zły. Oślepił, bramy wymacać nie może. Szczęśliwi ubodzy...

Granica między nami, ludźmi, nie przebiega — jakby może chciał kto myśleć — pomiędzy tymi, którzy są bogaci i którzy nie. Każdy jest Łazarzem i bogaczem, biednym i bogatym. Tylko że nawet z sobą niechętnie rozmawiam o tych słabych miejscach ukrytych przed okiem innych, o moich ropiejących wrzodach, kalectwie. Obnosząc się z bogactwem, truchlejemy na myśl, że ktoś mógłby nas obnażyć i mogłoby się wydać, że my też...

O, szczęśliwi ubodzy, szczęśliwi, wolni nawet wtedy, kiedy odarci z ubrania zostajecie przybici do krzyża razem z Tym, który powiedział, że Królestwo jest otwarte dla ubogich. Można Go nie zauważyć. Któż bowiem przygląda się brudnym Łazarzom? Nieszczęśni bogaci, ślepi, którzy przechodzą nie widząc.